

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA+
SOBOTA



FOT. MICHAŁ RYŃIAK

KIEDY
POZWOLIĆ
PSU
ODEJŚĆ
►4



**WYSOKIE
OBCASY**
Katarzyna Warnke:
Seksbomba – nie boję
się tej etykiety



GAZETA

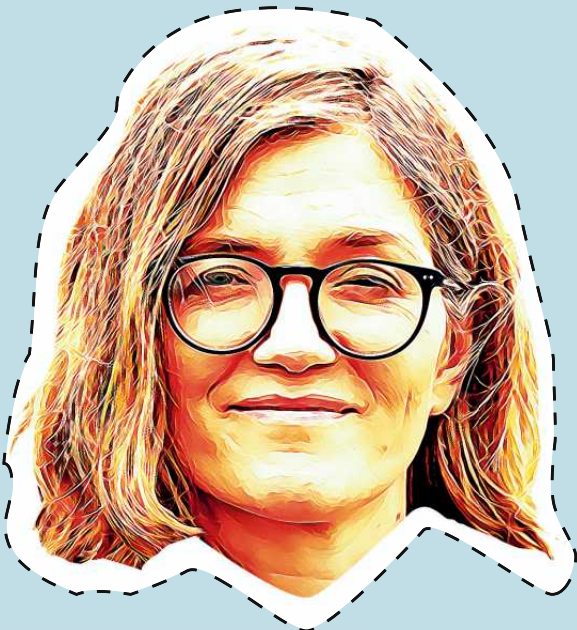
wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



**Jak się
robi
prezydenta
?**



**Dlaczego w Pol-
sce kobieta jest
niewybieralna**
►8



FOT. DAWID ZUCHOWICZ (2), MATEUSZ SKWARCEK,
MACIEK JĄŻWIECKI (2) / AGENCJA WYBORCZA.PL /
MONT. JAKUB PIOTROWSKI

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Librus i inne
zmory.** Co
nauczyciele słyszą
od rodziców ►12



**Kate Winslet
jako Lee Miller**
Kim jest kobieta
z wanny Hitlera ►28

FOT. MONOLITH FILMS

**AI nas
nie wyzwoli**
Dlaczego wolimy
fotel ze skazą ►34

**Zakochany
bohater**
i zdrajca
►40

Agnieszka
KublikMałgorzata Wasserman
błaga o empatię

W kolejną miesięcznicę katastrofy smoleńskiej wygłosiła błagalny apel do „wszystkich mediów”. A więc i do nas. Wysłuchałam jej. „Stajemy tutaj wraz z bliskimi i rodzinami nie tylko jako politycy. Stajemy tutaj co miesiąc, co roku przede wszystkim jako rodziny. Dla mnie jest rzeczą kompletnie niepojętą to, że w XXI wieku, w środku Europy, my jako bliscy nie możemy przyjść spokojnie i oddać holdu i pamięci naszym najbliższym, którzy zginęli 10 kwietnia (...). Proszę państwa, za pomocą wszystkich mediów, proszę wszystkich obywateli naszego kraju pomóżcie nam, w każdy możliwy sposób (...) W obliczu śmierci każdy człowiek powinien stanąć po naszej stronie”.

10 września na Placu Pilsudskiego doszło do przepychanek. Znowu. Zwolennicy PiS walczyli z wieńcem, który Zbigniew Komosa co miesiąc stawia przed pomnikiem. Z napisem: „Pa-

mięci ofiar Lecha Kaczyńskiego, który ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski. Stop kreowaniu fałszywych boha-

I tak się zastanawiam, czy
rodzinom ofiar związanych
z PiS więcej wolno?

terów!”. Ma prawomocny wyrok, że może taki wieńiec składać.

W tę ostatnią miesięcznicę Kaczyński miał dwa razy uderzyć Komosę w twarz. Sprawa w prokuraturze.

I tak się zastanawiam, czy rodzinom ofiar związanych z PiS więcej wolno? Moim zdaniem nie. Od 2010 r. zmuszali bliskich wszystkich ofiar, by wciąż i wciąż przeżywali tę katastrofę jako ruski zamach. Bo chcieli, żeby to był ruski zamach. Po to, by jedna osoba mogła nadać sens śmierci swojego bliskiego.

Zastąpienie katastrofy zamachem Putina w państwowych dokumentach się nie udało. Obowiązuje jedna wersja – rządowej komisji Jerzego Millera z 2011 r. – tupolew lecąc za nisko, za szybko w gęstej mgle, zawadził o brzozę, obrócił się i spadł.

Ba, w ogóle ten zamach na historię się Kaczyńskiemu nie udał. Bo nie mógł. Podkomisja smoleńska Antoniego Macierewicza wydała ciężkie miliony – nowa władza doliczyła się już ponad 30 – by manipulując, kłamiąc, niszcząc udowodnić, że zamachu nie było. Nawet przymusowe ekshumacje przeprowadzone przez prokuraturę Ziobry – rodziny błagały, by je powstrzymać, Wassermann to słyszała? – udowodniły, że doszło do komunikacyjnej katastrofy.

Macierewicz podczas rozpoczęcia roku szkolnego w Zespole Szkół nr 1 w Tomaszowie Mazowieckim, pouczał uczniów o „zbrodni smoleńskiej”, w której „zamordowano całą polską elitę narodową po to, żeby umożliwić sojusz rosyjsko-niemiecki”. PiS bliskim ofiar nie chce dać spokoju.

Może Małgorzata Wassermann ubłaga Macierewicza, by wszystkie rodziny mogły przeżywać tę tragedię, tak, jak chcą. A nie jak prezes PiS sobie wykombinował. Wassermann błaga o to, o co latami prosiły rodziny ofiar. O empatię. PiS nie chciał ich usłyszeć. I nadal tym odmowom państwowo-religijny wymiar. ●

Andrzej rysuje

Nowa klasyka
Łabędź nie jest kobietą

FOT. REUTERS/MINA KIM

„Swan Lake” Matthew Bourne’a grany jest od 1995 roku. Bourne akcję przeniósł na pokoje brytyjskiej rodziny królewskiej, a wiotkie tancerki w paczkach z pierwowzoru Czajkowskiego zastąpił umięśnionymi tancerzami w pierzastych spodenkach. Pozują przed kolejnym spektaklem w jeziorze w parku św. Jakuba w Londynie.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

10

MLD EURO
zaległych podatków będzie musiała zapłacić Irlandia firma Apple. Europejski Trybunał Sprawiedliwości ocenił, że Irlandia dała firmie nieuzasadnione przywileje podatkowe

Rockman pozywa Donalda Trumpa
Wara od mojego riffu, faszysto

Jack White lider zespołu The White Stripes i jego była żona, perkusistka Meg White, złożyli do sądu pozew o naruszenie ich praw autorskich przez sztab Donalda Trumpa. „Oto maszyna przeciwko faszystom” – napisał o pozwie gitarzysta.

To aluzja do słów barda Woody’ego Guthrie, który w latach 40. XX w., nakleił na swojej gitarze słowa: „Ta maszyna zabija faszystów”.

Pozwani to Donald Trump i Margo McAtee Martin, zastępczyni dyrektora ds. komunikacji jego sztabu wyborczego. To z jej polecenia na profilu Trumpa na platformie X pokazano pełen patosu filmik, na którym był prezydent wsiada na pokład samolotu lecącego do Michigan i Wisconsin, tzw. stanów wahadłowych, o których głosy Republikanie zażarcie walczą z Demokratami.

Filmik Trumpa miał wyrazić akompaniament, w którym Jack White i Meg White natychmiast rozpoznali klasyczny rockowy hymn „Seven Nation Army” z charakterystycznym riffem gitarowym wymyślonym przez White’a. Nikt ze sztabu wyborczego Trumpa nie zapytał go o zgodę na użycie efektownego riffu jako sugestywnego akompaniamentu.



FOT. RAFAŁ MALIKO / AGENCIA WYBORCZA.PL

White się wściekł. W pozwie napisał, że charakterystyczny motyw gitarowy został użyty przez ludzi Trumpa, aby dodać ognia i energii jego kampanii prezydenckiej, a także „wydoić” z podekscytowanych wyborców jeszcze więcej kasy na kampanię.

Już wcześniej White odgrażał się Trumpowi na Instagramie: „Nawet nie myśl o posługiwaniu się moją muzyką, ty faszysto” – napisał. „

Cztery lata temu Trumpa pozwał Neil Young. Jego „Rockin’ in the Free World” i „Devil’s Sidewalk” przygrywały Trumpowi na wiecu w Tulsie. Ostatecznie jednak muzyk wycofał pozew.

Jack White nie zamierza rezygnować. Nie jest pierwszym, który sprzeciwił się wykorzystaniu swojej muzyki przez Trumpa. Zrobili to m.in. Celine Dion, Foo Fighters, Beyoncé, Adele, Linkin Park czy Guns N’ Roses. ● Anna S. Dębowska

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Chcemy
zdrowych dzieci!

Osoby z niepełnosprawnością chcą refundacji in vitro. „Atakujecie nas za samo myślenie o rodzi- cielstwie, ale do in vitro I badań genetycznych nie dajecie nam dostępu”

Reportaż Marceliny Burzec



Czy PiS przetrwa

Jarosław Kaczyński, ksywa Hiob

Prezes liczy, że klątwa zostanie zdjęta, kiedy połknie kolejną przystawkę.

Wielowieyska



Różne plagi spadają na PiS. Na Nowogrodzkiej nieustająco trwa burza mózgów, jak reagować na kolejne kłopoty. Zatrzymanie w Londynie Michała K., współpracownika premiera Morawieckiego. Wyciekające zeznania podwładnych Michała K., bardzo go obciążające. Wielomilionowe obciążenie subwencji przez Państwową Komisję Wyborczą. Zatrzymanie Ryszarda Cz., byłego europosła, w związku ze sprawą uczelni Collegium Humanum, sprzedającej dyplomy MBA, a chwilę wcześniej szczegółły jego oszustw na kilometrówkach. Do tego prezes, który miota się na miesięcznicach albo opowiada, że brytyjskie sądy są złe tak jak polskie, służą rządzącej opcji i wymagają reformy.

Ta agenda jest dla PiS bardzo niekorzystna. A głównym problemem jest brak pieniędzy i perspektywa utraty rocznej subwencji partyjnej. PKW podejmie decyzję w październiku, na razie obciążyła PiS zwrot za kampanię wyborczą. Zbiórka pieniędzy od zwolenników trwa i przynosi efekty, ale nie ma szans, by zrekompensowała straty. Wkrótce fala solidarności opadnie, a sprawa PKW spowszednieje.

Nowogrodzka chce zrobić wszystko, aby tak się nie stało. Trzeba podtrzymać wzmocnienie wyborców, bo wtedy chętniej otwierają portfele. Temu służy manifestacja pod ministerstwem sprawiedliwości zaplanowana na sobotę 14 września.

Im temu służą miesięcznice smoleńskie. Im bardziej głośnie, ekspansywne i radykalne działania kontrmanifestantów z Lotnej Brygady Opozycji, tym lepiej dla PiS. Bo PiS chce się przedstawiać w roli męczennika prześladowanego przez obecną władzę i jej akolitów. Założenie miesięcznic jest proste: „Prezes z rodzinami ofiar smoleńskich składa wieniec, bardzo spokojnie i godnie. A nasi przeciwnicy nas obrażają”.

Problemem jest jednak sam Kaczyński, bo obiecał nie reagować na kontrmanifestacje, tymczasem jeden z uczestników zająć twierdzi, że dostał pięścią od prezesa. A popularna aktywistka Babcia Kasia została poturbowana. Nie taki był plan: poszkodowani i obrażani mieli być tylko ludzie PiS. Ale na Nowogrodzkiej można usłyszeć, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – szarpanina przyczyni do większej hojności zwolenników teorii zamachu.

Inny element ofensywy to nagłe oświadczenie Kaczyńskiego, że weźmie udział w Marszu Niepodległości. Nowogrodzkiej w badaniach wychodzi, że elektorat Konfederacji jest coraz bardziej przyjazny wobec PiS, bo negatywnym punktem odniesienia jest dziś dlań rządząca Koalicja 15 Paździelnika. Ma to szczególne znaczenie w wyborach prezydenckich.

Wcześniej Kaczyński za narodowcami specjalnie nie przepadał, swój marsz 11 listopada organizował w Krakowie (z wyjątkiem rocznicowego roku 2018). Ale wspomniane badania oraz fakt, że prokuratura zleciła przeszukanie w mieszkaniu Roberta Bąkiewicza i w siedzibie Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, przekonały prezesa, że przyjaźń z tym elektoratem trzeba pielęgnować.

A następnie go przejąć. Zwłaszcza że PiS właśnie zaliczył kolejną wizerunkową wtopę. Po sukcesie Campusu Polska Przyszłości, imprezy Rafała Trzaskowskiego, Kaczyński też zapragnął stworzyć takie forum wymiany poglądów dla młodzieży. Jego organizację powierzył Krzysztofowi Szczuciemu, byłemu szefowi Rządowego Centrum Legislacji. Lecz Przysiań Polska została ogłoszona – i od razu odwołana, z braku pieniędzy i kłótni pomiędzy frakcjami w partii, z których każda miała inną wizję wydarzenia. Aby więc zamaskować wpadkę, trzeba było skierować uwagę wyborców w inną stronę. I pojawił się pomysł wsparcia Marszu Niepodległości.

Konfederacji się to rzecz jasna nie spodobało. „Nie zapraszam Kaczyńskiego na Marsz Niepodległości. Niech zostanie w domu” – oświadczył w mediach społecznościowych Witold Tumanowicz, poseł Konfederacji i członek zarządu Ruchu Narodowego. Bo może wyborcy Konfederacji sympatyzują z PiS, ale jej politycy mają długą listę pretensji do Kaczyńskiego.

Przede wszystkim Nowogrodzka zakazała TVP za rządów Jacka Kurskiego wpuszczania konfederatów na antenę. Telewizja rządowa była głównym kanałem komunikacji z prawicowym wyborcą, a Kaczyński nie chciał, aby ktokolwiek poza nim kusił ten elektorat. Ludzie Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena mieli dostęp do telewizji na początku rządów następcy Kurskiego, Mateusza Matyszkowicza, ale Kaczyński zaraz go zdyscyplinował. Co więcej, w końcówce nastąpił frontalny atak na Konfederację, aby obniżyć jej notowania. A i po wyborach październikowych relacje nie były dobre: PiS był gotów głosować za odwołaniem Bosaka z wicemarszałka Sejmu przy okazji awantury Brauna z gaśnicą i świecami chanukowymi. Dopiero Przemysław Czarnek przekonał władzę partii, by tego nie robić.

To może się jednak zmienić, bo zaplecze ideowe „Konfy” patrzy na ten problem inaczej.

Idol narodowców Rafał Ziemkiewicz w TV Republika oświadczył, że reakcja Tumanowicza to przejaw „szczeniactwa”. Skrytykował też Mentzena i Bosaka za to, że wypominają PiS próbę przejęcia Marszu. „Konfederacja popełnia duży błąd taktyczny, to małostkowe i głupie”, bo zamiast cieszyć się, że PiS chce wesprzeć sztandarową imprezę prawicy, wklajają

się w konflikty. A tymczasem przeciwnik jest jeden: Tusk. A obrażanie elektoratu PiS to – zdaniem Ziemkiewicza – to sen „chorego idioty”. Ziemkiewicz stwierdził, że być może na Mentzena zbyt duży wpływ ma wpływowy poseł Przemysław Wipler, który – jako lobbysta – miał problemy ze służbami specjalnymi za czasów PiS. I chce się odegrać na Kaczyńskim. Publicysta zasugerował, że Menzten od tych złych doradców powinien się uwolnić.

Tyle tylko, że politycy PiS twierdzą, że tak naprawdę Wipler nawiązuje coraz więcej bliskich kontaktów w ich partii, choć nie z najbliższym otoczeniem Kaczyńskiego. Pewnie zakłada, że w końcu nastąpi jakiś przewrót i prezes odejdzie, a wtedy rozpocznie się nowe rozdanie, w którym Konfederacja sprzymierzy się z PiS. Ale póki jest Kaczyński, konfederaci będą słusznie podejrzewać, że prezes przebrał się w owczą skórę i deklaruje przyjaźń, a tak naprawdę chce Bosaka i Mentzena zjeść na przystawkę.

Awantura na miesięcznicy smoleńskiej, aresztowany Ryszard C., kłapa Przystani Polska – każdy wizerunkowy problem Nowogrodzka usiłuje przekuć w szansę

Ziemkiewicz tego nie rozumie, pewnie dlatego, że gdy konfederaci byli wycinani w telewizji, on sam prowadził w TVP program „W tyle wizi”, nieźle zarabiając. Wyrzucono go, dopiero gdy skrytykował „Piątkę dla zwierząt”, którą Kaczyński, mimo zdumiewającego oporu swej zawsze posłusznej partii, usiłował przeforsować w 2020 r.

Głównym bólem głowy prezesa jest wybór kandydata na prezydenta – i zwrot ku narodowcom się z tym wiąże.

Prezes w zasadzie pogodził się z faktem, że musi wybrać kogoś, kto nie za bardzo kojarzy się z PiS i nie będzie jego zaufanym żołnierzem, takim jak np. Mariusz Błaszczak. Nie jest zachwycony, bo wolałby polityka, który jest bezwzględnie posłuszny, a z tymi młodziami z dalszych szeregów to nigdy nic nie wiadomo. Ale wie, że tylko osoba z dalszego szeregu i niekoniecznie kojarzona z PiS, ma szansę na dobry wynik. Natomiast każdy rozpoznawalny polityk PiS ma spory elektorat negatywny. A do tego będzie musiał się tłumaczyć z kolejnych afer, które wychodzą i będą wychodziły na jaw.

Media pisały, że Kaczyński bardzo chciał, aby kandydatem został Witold Bańka, były minister sportu. Moi rozmówcy twierdzą z kolei, że prezes za Bańką nie przepada, bo nie miałby o czym z nim rozmawiać. Sport prezesa niezbyt interesuje. Zwracają uwagę, że głównymi promotorkami Bańki były Anna Krupka – kilkanaście temu jedna ze słynnych „aniołków Kaczyńskiego” mających ocieplić i odmłodzić wizerunek PiS, dziś szefowa struktur

w Świętokrzyskim – i eks-marszałkini Sejmu Elżbieta Witek. Ale okazało się, że sam Bańka nie ma do tej koncepcji przekonania.

Pozostaje więc „grupa BBN”, czyli europoseł PiS Tobiasz Bocheński, poseł Zbigniew Bogucki i szef IPN Karol Nawrocki. Prezes bacznie obserwuje teraz, co pojawia się w mediach na ich temat i na ile to może być dla nich obciążające. To takie nieformalne prawyby. Na liście pojawiał się też były ambasador Polski w Waszyngtonie Marek Magierowski, ale prezes go nie lubi, w dodatku Magierowski chadza własnymi drogami i relacje z nim byłyby jeszcze gorsze niż z prezydentem Andrzejem Dudą.

Otwartą kwestią jest termin ogłoszenia kandydata. Koalicja Obywatelska nie spieszy się z decyzją – Tusk zapowiedział, że zapadnie pod koniec roku. PiS miał ujawnić kandydata 11 listopada, ale w mediach pojawiły się informacje, że teraz chce ten moment opóźnić, bo nie jest pewny, kogo wystawi konkurencja. Jednak są też inne koncepcje w partii i ku nim prezes się skłania: nie ma co czekać na Tuska, tylko trzeba kandydata ogłaszać już. Bo trzeba zbudować mu rozpoznawalność i powinien on jak najszybciej ruszyć w teren. Niektórzy doradcy Kaczyńskiego uważają, że o ile KO może sobie pozwolić na późny start kampanii, bo ma narzędzia, którymi dysponują rządzący, o tyle kandydat opozycji powinien rozpocząć walkę wcześniej.

Ten scenariusz zakłada wystawienie osoby z dalszych szeregów, której nie da się przypisać odpowiedzialności za patologie w czasie rządów PiS. Z badań partii wychodzi, że ze „trójki BBN” wyborcy najlepiej kojarzą Bocheńskiego ze względu na start w wyborach na prezydenta Warszawy.

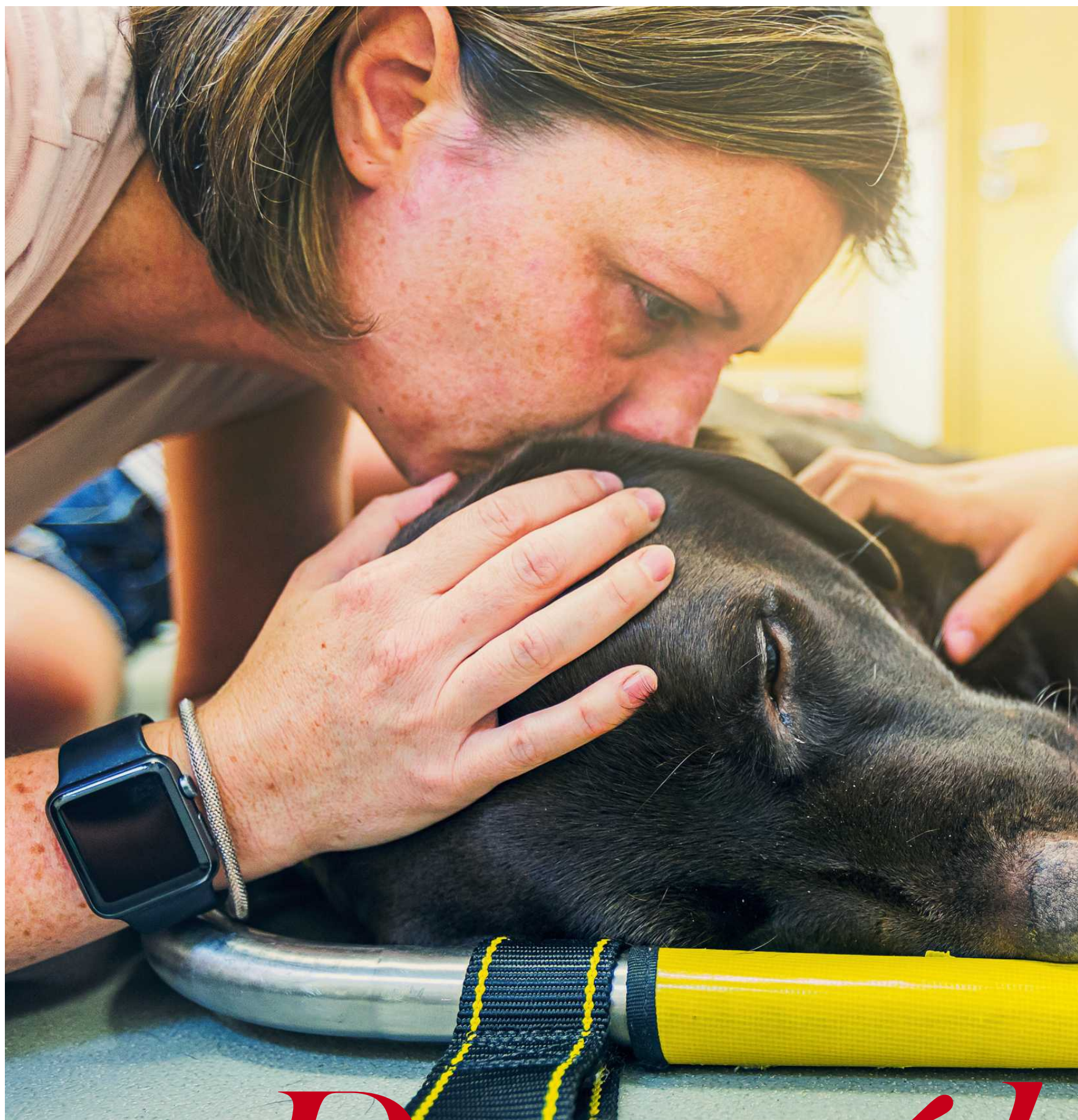
Ale to nie będzie decydujący czynnik, bo każdą postać można – zdaniem spin-doktorów – wykreować. Im mniej znany kandydat, tym większe pole manewru, a więc większe szanse na stworzenie zupełnie nowego, świeżego wizerunku. Dlatego najbardziej rozpoznawalni działacze nie mają szans na nominację. I dlatego ich ludzie rozpowiadają w mediach, że po długich testach prezes uzna, że kandydaci drugoplanowi nie są popularni i postawi na znaną postać. Ale moi rozmówcy uważają, że to mrzonki. Już bardziej prawdopodobne, że Kaczyński wyciągnie zza pazuchy jakąś nową kandydaturę, która nie pojawiała się na giełdzie nazwisk.

Wyboru pewnie nie ułatwią badania, które PiS zamawia, bo – jak słychać w partii – ich wyniki są różne, w zależności od tego, która frakcja je zamawia. W gruncie rzeczy będzie to osobista decyzja Kaczyńskiego. Co prawda działa specjalna komisja w składzie: Jarosław Kaczyński, Mariusz Błaszczak, Elżbieta Witek i były szef MSZ Zbigniew Rau. Ma zarekomendować najlepsze rozwiązanie, odpytuje kandydatów z życia rodzinnego, wyciąga z nich, jakie trupy mogą wypaść z szafy.

Ale w partii wodzowskiej jej wskazania będą miały ograniczony wpływ na decyzję „naczelnika”.
Dominika Wielowieyska

TEMAT NUMERU

Kochasz?



Pozwól

Piotr: – Myślę, że tak się czują ludzie przed egzekucją: jeszcze trzy godziny życia, jeszcze dwie, jedna. Tyle że to nie ty umierasz.



FOT. JUSTIN PAGE/GETTY IMAGES

odejść

Emilia Dłużewska

Kiedy kolega dowiaduje się, o czym piszę, wysyła mi wiersz Piotra Groblińskiego:

*nasze życie jest obliczone
na cztery psy
pierwszy tak się składa
zdycha gdy jesteś na wakacjach
ojciec bierze na siebie
jego śmierć*

*drugi umiera sam
nie masz akurat czasu
by mu pomóc płaczesz
dopiero gdy go chowasz w ziemi*

*trzeciego długo wozisz
po weterynarzach choć wcześniej
raczej się śmiałeś z tanich egzaltacji*

*z czwartym starzejecie się razem
spacerując coraz wolniej
coraz głośniejsz gadając do siebie
na ulicy*

*nasze życie jest obliczone
na cztery psy*

jest oblizane

Wiersz pochodzi z wydanego w 2012 r. tomiku „Inne sprawy dla reportera”. Grobliński opublikował jeszcze pięć innych tomików i dwa zbiory felietonów. Ale przyłgnął ten. „Tak jakoś wyszło, że zostałem – niczym autorzy „Macareny” – artystą jednego przeboju. »To pan jest tym poetą od psów?«” – opowiadał w 2021 r. w „Przekroju”.

Może dlatego, że niemal każdy z nas znał któregoś z tych psów. Według szacunków Europejskiej Federacji Przemysłu Żywnościowego Zwierząt Domowych w 2022 r. było w Polsce 8 mln psów. A przecież są jeszcze koty (ponad 7 mln), króliki, chomiki, świnki morskie (1,25 mln), papużki, gekony i masa innych stworzeń. Z badania Kantaru z 2017 r. wynika, że zwierzęta ma w domu większość Polaków (dokładnie 52 proc.). Gdyby doliczyć do nich wszystkich, którzy kiedykolwiek je mieli, procent zapewne jeszcze by wzrósł.

Z pewnością rośnie kwota, jaką na zwierzęta wydajemy: na karmy, gadżety, szkolenia, behawiorystów. I na leczenie, bo z jednej strony zmienia się nasze podejście do zwierząt, z drugiej rośnie dostępność usług weterynaryjnych. Rozwijają się zwierzęca onkologia, chirurgia, rehabilitacja, okulistyka, dietetyka, na rynek wchodzi mniej lub bardziej naukowe terapie eksperymentalne.

Możemy – i chcemy – leczyć zwierzęta w zakresie, który jeszcze 20 lat temu był dla wielu osób niewyobrażalny. Ale wraz z tą możliwością coraz częściej stajemy przed dylematem: czy to wciąż leczenie, czy już uporczywa terapia?

Terapia paliatywna w salonie

– Jedną z najtrudniejszych rzeczy była arbitralność ustalenia dnia i godziny. Powiedzenie: to się wydarzy teraz. Bo od razu jest myśl: czemu nie dwie godziny później? Albo jutro? Albo za tydzień? Że można jeszcze trochę poczekać, przedłużyć to – mówi Piotr Jakubowski, kulturoznawca, muzyk i opiekun dwóch psów. – A z drugiej strony wiesz też, że w pewnym momencie przedłużasz tylko cierpienie, nic więcej. I że robisz to jednak bardziej dla siebie niż dla niej.

Kotka Piotra pięć lat temu umarła na nowotwór. Wcześniej, jak mówi, dwa miesiące prowadził opiekę paliatywną w swoim salonie. – Miała chłoniać z przerzutami na nerki, było jasne, że wszystko zmierza w jedną stronę. Koszty weterynaryjne były ogromne, codzienne wizyty u weta to był dla niej stres, więc nauczyłem się zakładać kroplówkę. Marzyła w oczach, ale była niesamowicie dzielna. Leżała cierpliwie pół godziny, kiedy najpierw podłączyłem jej kroplówkę z butelki zawieszanej pod sufitem, a potem czekałem, aż powoli spłynie.

Aż przyszedł moment, kiedy kotka przestała jeść. A Piotr poszedł do Carrefoura. – Kupiłem poszewkę na poduszkę, ładny karton i szpadeł. Wchodzę do domu z tym, co miało służyć za całun i trumnę, z moim osprzętem grabarza, a ona na mnie patrzy. Poczulem się absurdalnie, irracjonalnie winny: że ja wiem, a ona nie. To był najgorszy moment.

Nie miał dobrej opinii o lekarzach z kliniki weterynaryjnej, która opiekowała się jego kotką. – Ale

była tam dwójka cudownych stażystów. Wrażliwe, empatyczne osoby. Mieli nocny dyżur, umówiłem się z nimi, że wtedy przyjedziemy – opowiada. – Myślę, że tak się czują ludzie przed egzekucją: jeszcze trzy godziny życia, jeszcze dwie, jedna. Tyle że to nie ty umierasz.

„Empatia” to słowo, które powraca w relacjach wielu opiekunów. Wymawiane z ogromną wdzięcznością: za wysłuchanie, towarzyszenie, potraktowanie poważnie. Koleżanka opowiada o lekarce, która przyjechała poddać psa eutanazji w jego domu. Przed zabiegiem przeprosiła, że nie będzie z nią i jej mężem płakać – wytłumaczyła, że nie dałaby rady wykonywać zawodu, gdyby się w takich sytuacjach nie dystansowała.

Leczyć czy nie leczyć? Sam dylemat to przywilej

Powraca też inne słowo: zaufanie.

Pisarz Michał Radomil Wiśniewski z kotami żegnał się kilkanaście lat temu. Widzi, jak w tym czasie zmieniło się podejście do zwierząt. – Wielu praktyk, które są dzisiaj powszechne, wtedy nie było. Dziś np. standardem jest siatka na balkonie. Kiedyś człowiek liczył się z tym, że co jakiś czas trzeba będzie zejść z drugiego piętra, wyciągnąć kota z krzaków, przepędzić psa, który na niego szczeka, i zanieść go z powrotem do domu.

– Nie jest tak, że o zwierzęta nie dbaliśmy – zaznacza. – Nasze koty były ubóstwiane. Sterylizowaliśmy je, leczyliliśmy, stosowaliśmy zabiegi, które mogły ulepszyć im życie. Ale kiedy były stare i ciężko chore, nasz weterynarz powiedział, że to już ten moment. Posłuchaliśmy go, bo mieliśmy do niego zaufanie.

Dużo później osobie z jego rodziny zachorował pies. – Odchodził wiele lat. Miał masę operacji, przechodził kolejne kryzysy, a weterynarz wciąż dawał opiekunom nadzieję: można jeszcze spróbować czegoś, jeśli nie zadziała, to może coś innego. Okropnie było na to patrzeć, zwłaszcza że niektóre rasy psów nie są komunikatywne. Cierpią, ale się nie skarżą. W końcu przy którymś kryzysie to opiekun powiedział „dość”. Choć weterynarz proponował dalsze zabiegi.

Brak zaufania jest problemem również w ludzkiej medycynie. W badaniu IP-SOS-u z 2021 r. zaufanie do lekarzy deklarowało 55 proc. ankietowanych – wyprzedzali nas nie tylko Niemcy czy Brytyjczycy, ale też Rosjanie, Włosi czy Amerykanie. W przypadku lekarzy weterynarii do generalnej nieufności Polaków dochodzi dodatkowa kwestia – pieniądze.

Leczenie zwierząt nie jest refundowane, zwykła wizyta na kontrolę lub szczenię kosztuje od kilkudziesięciu złotych wzwyż. W przypadku choroby koszty mogą iść w tysiące. Kto może, wykupuje polisę ubezpieczeniową. Inni żegnają się z oszczędnościami, zapożyczają albo organizują internetowe zrzutki.

Michał: – Sam fakt, że można mieć dylemat – leczyć czy nie – to symptom przywileju klasowego. Ale ci, których na leczenie stać, są gotowi wydać wszystkie pieniądze i wyrósł wśród tego biznes. Tak jak na nieuleczalnie chorych ludzi czekają hołsztaplerzy oferujący cudowne metody, tak są osoby, które zarabiają na miłości opiekunów do chorych zwierząt. Nie mówię, że wszyscy weterynarze tacy są, ale trudno mi im zaufać, bo wiem, jak działa kapitalizm: jeśli jest dostępnych wiele usług, a na każdej się zarabia, to są ludzie, którzy będą te usługi oferować, nawet jeśli nie mają one sensu. A z drugiej strony rozumiem, że czasem nie da się jednoznacznie powiedzieć, czy dany zabieg ma sens, czy nie.

Ile życia za trzy tysiące?

Wątpliwości opiekunów rozumie dr Natalia Strokowska, lekarka weterynarii i edukatorka. Choć, jak tłumaczy, przekonanie o ogromnych zarobkach klinik weterynaryjnych to mit. – Wiele osób nie zdaje so-



• W 2022 r. było w Polsce 8 mln psów. Wciąż rośnie dostępność usług weterynaryjnych, rozwijają się zwierzęca onkologia, chirurgia, rehabilitacja, okulistyka, dietetyka. Na zdjęciu: psia hydroterapia FOT. BRAZZO/GETTY IMAGES

Mamy skuteczne metody leczenia bólu – od leków przeciwzapalnych po silne leki opioidowe, m.in. fentanyl czy buprenorfinę. Możemy sprawić, że zwierzę dożyje końca w opioidowym upojeniu, w domu, bez bólu. Podobnie zresztą, jak robi się w przypadku ludzi

bie sprawy, że w porównaniu choćby z medycyną estetyczną czy stomatologią kliniki mają bardzo wysokie koszty.

Ceny opieki podbijają m.in. leki, dużo droższe od ludzkich. Unijne przepisy mówią, że przy tej samej substancji lekarz weterynarii musi najpierw przepisać preparat zwierzęcy, a dopiero jeśli ten nie jest dostępny, może wypisać receptę na lek ludzki. – Nie mamy wpływu na ceny w hurtowniach, które w ostatnich dwóch latach po pandemii wystrzeliły w górę – tłumaczy lekarka.

Taka podejrzliwość to nie tylko nadwłańska specyfika. Artur Urbanik studia weterynaryjne skończył w Polsce, ale od lat pracuje w Wielkiej Brytanii. – W Anglii system ubezpieczeń dla zwierząt jest rozbudowany, właściciel nie płaci za leczenie, ma tylko limit kosztów. Wiele osób uważa, że weterynarze tak ustawiają usługi, by do tego limitu dobić – opowiada. – Dla mnie to przykre i obraźliwe, ale rozumiem, że to przekonanie nie wzięło się znikąd. Tym bardziej kluczowe jest znalezienie osoby, której się ufa.

I Strokowska, i Urbanik podkreślają, że budowanie tego zaufania to też odpowiedzialność lekarza. Bo weterynaria to nie tylko praca z chorymi zwierzętami, ale też z emocjami – ich opiekunów i właścicielami.

Urbanik: – Nie zakładam, że jeśli ktoś wchodzi do mojego gabinetu, to powinien z miejsca mi ufać i nie kwestionować moich decyzji, bo ja mam dyplom, a on nie. Zadaniem weterynarza jest na to zaufa-

nie pracować: tłumaczyć, dyskutować, słuchać.

Strokowska: – Lekarz musi pozostać bezstronny, mając na szali z jednej strony dobrostan zwierzęcia, z drugiej potrzeby właściciela, a do tego uwzględniając fakt, że to jego praca, jakiś rodzaj usługi. Priorytetem jest ulżenie zwierzęciu w cierpieniu. Nie mogę ręczyć za każdego, mogę tylko powiedzieć, że ogromnej większości z nas naprawdę zależy na dobru zwierzęcia.

Budowania zaufania nie ułatwia to, że opiekunowie zwierząt często oczekują jednoznacznych odpowiedzi: która terapia jest najlepsza, czy zwierzę wyzdrowieje, ile dłużej będzie żyło. Tych czasem udzielić się nie da nawet w medycynie ludzkiej. W weterynarii jest to jeszcze trudniejsze. – Nie mamy do dyspozycji tylu badań naukowych spełniających wysokie standardy dowodu naukowego w myśl tzw. medycyny opartej na faktach – tłumaczy Strokowska.

Weterynarze często muszą bazować na mniej miarodajnych badaniach retrospektywnych. To np. analiza kilkudziesięciu przypadków z jednej kliniki. – Powiedzmy, że wynika z nich, że zwierzę ma przed sobą trzy miesiące, jeśli podamy taki lek, to sześć, a po dodatkowo wdrożonej radioterapii rok. Ktoś pyta: „Ile dokładnie zostało czasu?”. Nie jestem w stanie z pewnością odpowiedzieć, bo mam po prostu za mało danych – mówi lekarka.

Urbanik: – Jeśli mamy różne opcje, omawiamy z właścicielami sposoby leczenia, ryzyko, szanse powodzenia. Również

to, ile mogą wydać. Zdarza się, że przychodzi właściciel, mówi, że ma odłożone 3 tys. funtów, i pyta, na co to starczy. I na to też trzeba być gotowym.

Grymas twarzy fretki

Nawet jeśli opiekunowie mogą poświęcić na leczenie dowolną kwotę, czasem zwierzęcia uratować się nie da. A przedłużanie jego życia jest w gruncie rzeczy przedłużaniem cierpienia.

Michał: – Jeśli adoptujesz psa czy kota, to wiesz przecież, jak to się skończy, i musisz być gotowa, by zaopiekować się tą śmiercią. Nie jest łatwo się z tym pogodzić, ale trzeba mieć tego świadomość.

Tyle że sama świadomość nie wystarcza. Wiele osób, które żegnały swoje zwierzęta, po jakimś czasie przyznaje, że zrobiło to zbyt późno. Nie tylko ze względu na swoje emocje, ale samo poczucie, że to decyzja graniczna.

Zwłaszcza że współczesna kultura dba o to, byśmy ze śmiercią musieli się mierzyć jak najmniej. Ta ludzka jest coraz odleglejsza, w miarę możliwości chowana w szpitalach i hospicjach. Śmierć zwierząt hodowlanych – nadal masowo lądujących na talerzach Polaków – odbywa się w rzeźniach, do których osoby postronne nie mają wstępu, podobnie jak do laboratoriów testujących leki lub kosmetyki (choć to drugie w UE jest oficjalnie zakazane, firmy mają sposoby na to, by przepisy obchodzić). Nawet miejsce na szczurzą trutkę eufemistycznie nazywa się „karmnikiem deratyzacyjnym”.

Poza myśliwymi i wędkarzami zabicie zwierząt ograniczamy głównie do much i komarów. Tym trudniej nam zdecydować o zakończeniu życia istoty, którą kochamy i coraz częściej uważamy za pełnoprawnego członka rodziny. A, jak podkreślają weterynarze, nikt inny nie ma prawa tej decyzji podjąć.

– Są lekarze weterynarii, którzy walą prosto z mostu: zwierzę należy uspić – mówi Natalia Strokowska. – Tak nie można. Ludzie mają różną wrażliwość i my powinniśmy się w nią wczuć. Moim zdaniem taka rekomendacja powinna paść dopiero w momencie, gdy właściciel pyta, co dalej. Na przykład: co by pani zrobiła, gdyby to było pani zwierzę.

Artur Urbanik dodaje, że weterynarz może pomóc opiekunowi zobiektywizować decyzję o eutanazji zwierzęcia. Służą temu skale mierzące jakość życia. Jedną z najpopularniejszych jest kwestionariusz opracowany przez naukowców z Ohio State University. W wersji dostępnej na stronie uniwersytetu zawiera 25 pytań dotyczących stanu zwierzęcia (m.in. tego, jak je, jak dużo śpi, jak się porusza, ale też jakie ma nastrój), na które opiekun odpowiada w skali od 1 do 5, a następnie podlicza punkty.

Urbanik zaznacza, że nie ma arbitralnej granicy, od której zwierzę powinno być uspięne. – Powiedzmy, że pies ma zaawansowane zwyrodnienie stawów i prawie nie może chodzić. Ale choroba rozwijała się stopniowo, miał czas się przyzwyczaić. Jest zaopiekowany, dostaje leki przeciwbólowe, normalnie je. Nie powinien być poddany eutanazji – tłumaczy.

W sytuacjach niejednoznacznych prosi opiekunów, by wypełniali kwestionariusz co kilka dni przez kilka tygodni. Pozwala im to nie tylko zobaczyć, jak choroba postępuje, ale też pogodzić się z odchodzeniem zwierzęcia.

Skali Ohio State University regularnie używa też Natalia Strokowska. – Mamy też inne narzędzia, bardzo zaawansowane, kwantyfikowalne metody. Potrafiśmy oceniać nie tylko stan psa czy kota, ale również szczurów, frotek czy kawii domowych, korzystając ze skali badania grymasu twarzy. Problem w tym, że nie wszyscy lekarze weterynarii wiedzą o tych skalach – mówi.

Na pewno nie wie o nich wielu opiekunów. Piotr Jakubowski o kwestionariuszu dowiaduje się ode mnie. Żałuje, że nie wiedział o nim, gdy umierała je kotka. „Myślę, że zobiektywizowanie tej decyzji może wielu osobom pomóc, tak opiekunom, jak i weterynarzom” – pisze.

Świętość wygrywa z jakością

O to, kiedy pozwolić zwierzęciu odejść, pytam też profesora Andrzeja Elżanowskiego, zoologa i bioetyka. – Z punktu widzenia etyki lepiej trochę za wcześniej niż za późno – odpowiada. – I mówię to jako opiekun licznych zwierząt, który już kilkakrotnie musiał tę decyzję podjąć i odwlekał ją zbyt długo.

Jak tłumaczy prof. Elżanowski, kluczowym pojęciem jest tu „życie warte życia”. Odnosi się ono zarówno do zwierząt, jak i ludzi. – Chodzi o takie życie, w którym bilans doznań jest dodatni: przyjemność przeważa nad cierpieniem. Jak to w przypadku bioetyki bywa, to proste tylko w teorii. Bilansu doznań nie da się dokładnie zmierzyć – być może dałoby się ocenić aktywność poszczególnych grup neuronów, ale to metoda przyszłości. Są jednak symptomy, które widzimy: zwierzę jest w bólu, leży skulone, nie ma sił i chęci nic robić, nie może lub nie chce jeść.

Liczą się też koszty emocjonalne związane z leczeniem. – Dla takich ssaków jak psy czy koty każdy zabieg weterynaryjny to okropne przeżycie – cięższe niż leczenie kilkuletniego dziecka, bo dziecku można już zacząć tłumaczyć, że robimy coś dla jego dobra. W przypadku zwierząt możemy tylko starać się łagodzić stres, ale to nie wystarcza, by cierpienia nie było.

Tyle że jak na wiele innych kwestii bioetycznych, również na decyzję o uspieniu zwierzęcia rzutuje dominujący w Polsce katolicyzm. – Tłumaczyłem sobie, że przecież jestem zwolennikiem etyki jakości życia nad świętością życia, ale z drugiej strony i tak siła tego, co chlonałem od dziecka, czyli nauczania katolickiego, zgłaszała pewne obiekcje. Że nie jestem panem życia i śmierci – przyznaje Piotr.

Prof. Elżanowski uważa, że wpajane nam od dzieciństwa przekonanie o świętości życia prowadzi do specyficznego zaburzenia perspektywy: – W naszym kręgu kulturowym niedostatecznie dostrzegamy, jak złe jest cierpienie, a przeszacowujemy zło śmierci. To dziedzictwo judeochrześcijaństwa z jego przykazaniem „nie zabijaj” i specyficznym podejściem do cierpienia jako czegoś, co może człowieka wzmocnić, coś mu dać. Widać to na każdym kroku: o Holocauście opowiadamy niemal zawsze przez liczbę zabitych, a prawie nigdy przez pryzmat ofiar, które przeżyły.

Dr Natalia Strokowska poza Polską pracowała w Szwecji, Norwegii, Belgii, Anglii i Emiratach Arabskich. Widzi różnicę: – W Polsce mamy wpajane, że życie jest największą wartością. Słuchamy o „życiu poczętym”, nie pozwalamy usunąć nieprawidłowo rozwijającego się i obciążonego ciężkimi wadami zarodka. To przekonanie przekłada się na podejście do zwierząt, zwłaszcza u osób głęboko wierzących. I my to musimy uszanować – dodaje.

Porównanie zwierząt i ludzi może budzić kontrowersje. Choćby dlatego, że w przypadku ludzkiej eutanazji czy wspomaganego samobójstwa bardzo mocno akcentuje się podmiotowość człowieka wybierającego śmierć

Jak mówi, to kwestia delikatności: – W islamie eutanazja też jest zabroniona. Do kliniki w Dubaju przychodziły osoby ze znalezionymi na ulicy podłotami ze złamanym skrzydłem, którym nie dało się pomóc. Kładli na stole dużą kwotę i mówili: „Inshallah” (w rękach Boga). Zostawiamy go pani doktor. Jeśli nie da się wyleczyć, to pieniądze są na fundację pomagającą kotom”. Wiedzieli, jak to się skończy, ale zostawiali to mnie.

Fentanyl zamiast prokuratora

A co, jeśli mimo cierpienia zwierzęcia jego opiekun na eutanazję kategorycznie się nie zgadza? – Negocjujemy – odpowiada Urbanik. – Kluczowe jest przekonanie właściciela, że jesteśmy po tej samej stronie, tak samo zależy nam na dobru zwierzęcia.

W Anglii, jeśli negocjacje się nie powiedą, pozostają kroki prawne. Urbanik pracuje w całodobowej klinice, rodzaju zwierzęcego ostrego dyżuru. Osoba, która chce zabrać z niego nieuleczalnie chore, cierpiące zwierzę, musi podpisać dokument, że robi to wbrew zaleceniom lekarzy. A ci zgłaszają sprawę Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals. To najstarsza w Wielkiej Brytanii organizacja pozarządowa zajmująca się ochroną praw zwierząt. – RSCPA bada skargę i decyduje, czy zawiadomić policję, która może zwierzę właścicielowi odebrać, i czy podać tę osobę do sądu. W Anglii znęcanie się nad zwierzętami jest traktowane bardzo poważnie, skazani płacą ogromne kary, zdarza się, że idą do więzienia – mówi Urbanik.

W Polsce sprawa ma się inaczej. Choć ustawa o ochronie zwierząt mówi, że skazywanie zwierzęcia na cierpienie jest przestępstwem, w praktyce w takich przypadkach ukaranie opiekuna jest trudne podwójnie. – Sądy w Polsce działają opieszale, sprawy ciągną się latami – tłumaczy Strokowska. – Znam historie lekarzy weterynarii, którzy złożyli zawiadomienie, zostali powołani na świadków, mieli wyznaczone terminy, ale rozprawy były odraczane, odwoływane. Kompletnie dezorganizowało to ich pracę, zabierało czas, w którym mogliby ratować inne zwierzęta.

Lekarze sięgają raczej po środki pozwalające cierpienie minimalizować. – Mamy skuteczne metody leczenia bólu – od leków przeciwpalnych po silne leki opioidowe, m.in. fentanyl czy buprenorfinę. Możemy sprawić, że zwierzę dożyje końca w opioidowym upojeniu, w domu, bez bólu. Podobnie zresztą, jak robi się w przypadku ludzi.

Obydwoje zaznaczają, że to sytuacje ekstremalne. Bo w większości przypadków opór opiekunów nie wynika ze złych intencji, ale z miłości. – Ludzie mają ogromne wyrzuty sumienia w stosunku do swoich zwierząt, czują, że je zabijają. Ja w takiej sytuacji mówię: to jest nasza wspólna decyzja, nie jest pani sama, jestem w tym z panią. Widzę, że to przynosi im ulgę – mówi Strokowska. – Ocenianie właścicieli, traktowanie ich jak egoistów,

ale podświadomie nadajemy mu mniejszą wagę – zauważa prof. Elżanowski.

Skąd w nas takie przekonanie? Prawdopodobnie to wzorzec zaszczerpiony nam wraz z kształtowaniem się moralności. – Moralność była oparta na spójności wewnątrz grupy, wyrównywaniu rachunków: ty mi coś zrobiłeś, więc ja też ci coś zrobię. Odpowiedzialność za zaniechanie nie mieści się w tym schemacie. Jej rozpoznanie to już kwestia etyczna, wynikająca z krytycznej refleksji nad moralnością – tłumaczy.

Artur Urbanik o eutanazji zwierząt mówi: przywilej. – Coś, co dla ludzi jest niedostępne, nawet w przypadku ogromnego cierpienia. Ale tego przywileju nie można traktować lekko, bo decyzja o eutanazji jest ostateczna.

Porównanie zwierząt i ludzi może budzić kontrowersje. Choćby dlatego, że w przypadku ludzkiej eutanazji czy wspomaganego samobójstwa bardzo mocno akcentuje się podmiotowość człowieka wybierającego śmierć. Choć kwestia osób, które nie są w stanie wyrazić świadomej zgody, pojawia się w teoretycznych rozważaniach etyków, w debacie społecznej jest ona – niebezpiecznie – tabu. Czy więc w przypadku zwierząt samo pojęcie eutanazji (coraz powszechniej zastępujące eufemistyczne „usypianie”) jest uprawnione?

– Tak, bo nasze koty czy psy nie mają samoświadomości refleksyjnej – odpowiada-

da prof. Elżanowski. – Nawet jeśli asocjacyjnie są bardzo inteligentne i mają świadomość fenomenalną własnego ciała i tego, co się wokół nich dzieje. Nie są w stanie spojrzeć „z zewnątrz” na siebie. Tylko my możemy ocenić, czy ich życie jest warte życia.

Z tego samego powodu z punktu widzenia etyki podjęcie na czas decyzji o skróceniu cierpienia zwierzęcia jest nie tylko prawem. – Etyczne uśmiercenie nie może być pochopne. To decyzja, która musi być przemyślana, podejmowana w interesie zwierzęcia, przy absolutnej minimalizacji bólu i stresu – zaznacza. – Tak rozumiana eutanazja jest obowiązkiem opiekuna i jest to eutanazja w pełnym i właściwym znaczeniu tego słowa.

Natalia Strokowska odpowiada krócej: – Tak. Eutanazja oznacza „dobra śmierć”.

Piotr patrzył, jak jego kotka dostaje środek uspokajający, a gdy zasnęła, kolejny zastrzyk: – Kiedy Ruiczka już umarła, nie poczułem żadnej ulgi. Poczułem żal, smutek, poryczałem się trochę – nie mam porównania, ale chyba ani bardziej, ani mniej, ani nawet inaczej, niż gdyby umarła na swoich zasadach. Nie wiedziałem wtedy, że istnieją krematoria dla zwierząt, więc zakopałem ją w nocy na terenie, gdzie chodzę na spacer z psami. Wiem, to niezgodne z prawem, ale mam to kompletnie gdzieś. Mijamy to miejsce każdego dnia i zawsze wtedy o niej myślę. Czasem kładę tam kamienie.

Michał: – To strasznie skomplikowana sprawa, ale ostatecznie sprowadza się do miłości: czy kochasz tego kota na tyle, by pozwolić mu odejść. ●



PREZYDENT? KOGOŚ SIĘ ZNAJDZIE

Żeby był mądry, ale nie za bardzo, i żeby nie był kobietą.
Jak partie szukają kandydata

Arkadiusz Gruszczyński

Lastanawialiśmy się w Koalicji Obywatelskiej, czy nie powinniśmy w przyszłorocznych wyborach prezydenckich wystawić kobiety – mówi mi jedna ze współpracowniczek Donalda Tuska.

– Powody były jasne: po 15 października okazało się, że nadszedł w polityce czas kobiet. Wiele naszych polityczek dostało się do Sejmu. Widzieliśmy to samo po kampanii samorządowej, na przykład do rady Warszawy wprowadziliśmy najwięcej polityczek w historii. Ale szybko porzuciliśmy ten pomysł: w czasach niepewności, kiedy w Ukrainie trwa regularna wojna, kobieta nie wygra wyborów prezydenckich w Polsce. To nam wyszło z badań – przekonywała mnie jakiś czas temu działaczka Koalicji Obywatelskiej.

Podobnie myśli prezes PiS, który ostatecznie skreślił ze swojej tajnej listy kandydatów byłą premier Be-

atę Szydło. Chodzi nie tylko o brak zaufania do zbyt niezależnej i popularnej podwładnej, który ostatnio przerodził się w otwarty konflikt – pragmatyk Kaczyński byłby w stanie uznać, że cel uświęca chwilowe ustępstwo. – W tym czasie wojennym wydaje nam się, że kobieta nie miałaby wielkich szans. Trudno mi sobie wyobrazić nawet model tej pani, która byłaby tą kandydatką – stwierdził pod koniec sierpnia na antenie Radia Maryja prezes PiS.

Choć mój sąsiad – wyborca PiS – uważa, że akurat Szydło byłaby idealna.

– Ludzie pamiętają ją z pierwszych lat rządów, kiedy wprowadzała 500+ i firmowała obniżenie wieku emerytalnego. Nie wiem, dlaczego prezes nie myśli podobnie jak jego wyborcy

– zastanawiał się niedawno pan Edmund, z którym prowadzę regularny spór polityczny.

Była premier budzi w elektoracie PiS dobre emocje: jest postrzegana jako matka, która była twarzą rewolucji socjalnej, ludzie pamiętają też jej sprzeciw wobec przedłużenia kadencji Tuska na fotelu szefa Rady Europy. I choć dla wyborcy centrowego i liberalnego ten upór był absurdalny i nie-





• **Donald Tusk i prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski na Marszu Miliona Serc. Warszawa 1.10.2023 r.**

FOT. MACIEJ JAŻWIECKI, AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Kadry PiS: Europeoseł Tobiasz Bocheński i poseł Antoni Macierewicz**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



zrozumiały, to dla wyborcy PiS „walka o polskie interesy w Brukseli” stała od zawsze w centrum polityki międzynarodowej.

Trudno też sobie wyobrazić, która z innych polityczek największego prawicowego ugrupowania w Polsce miałyby realne szanse na nominację.

Owszem, coraz częściej u boku prezesa pojawia się Anna Gembicka. Była ministra rolnictwa w grudniowym tymczasowym rządzie Mateusza Morawieckiego na trybunie sejmowej potrafi zarówno popisać się merytorycznym przygotowaniem, jak i – co szczególnie podoba się Kaczyńskiemu – atakować polityków KO. Aktywność wykazuje Katarzyna Sójka, która zyskała rozpoznawalność, zastępując pod koniec rządów PiS Adama Niedzielskiego w resorcie zdrowia. Ale żadna z nich nie zalicza się – na razie, lecz do wyborów zostało raptem kilka miesięcy – do osób, które pociągnęłyby za sobą tłumy.

No i jest jeszcze stara gwardia, czyli była marszałkini Sejmu Elżbietka Witek, która nie ukrywa, że chciałaby kandydować, oraz Małgorzata Wassermann, już wypróbowana w niższej wadze – kilka lat temu poszło jej całkiem nieźle w Krakowie w samorządowym starciu z Jackiem Majchrowskim. Ale chadza swoimi ścieżkami, nie jest znana ze zbytnej pokory wobec decyzji prezesa.

Z kolei Witek prezes nie bierze pod uwagę z dwóch powodów. I wcale nie chodzi o wizerunek marszałkini, nadszarpnięty przez blokowanie miejsca na legnickim OIOM-ie przez jej męża, będącego w stanie wegetatywnym, oraz przez pamiętne reasumpcje głosowań – dla Kaczyńskiego to plus, dowód lojalności i determinacji. Po pierwsze: jest kobietą. Po drugie – nie może kandydować, skoro na-



• **Sławomir Mentzen na przedwyborczym spotkaniu ze zwolennikami Konfederacji w Szczecinie. 16.09.2023 r.**

FOT. CEZARY ASZKIEWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Radosław Sikorski podczas „Konwencji Przyszłości” PO w Radomiu. 2.07.2022 r.**

FOT. MARCIN KUCEWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Marszałek Sejmu Szymon Hołownia słucha exposé premiera Donalda Tuska. Warszawa 12.12.2023 r.**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

lazła się w zespole, który wybiera przyszłego kandydata.

Na kobietę chce postawić Nowa Lewica. Ugrupowanie Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia właśnie zamówiło szczegółowe badania, które następnie przerodzą się w strategię wyborczą. – Choć tak naprawdę nie chodzi nam o szczegółowy plan przed wyborami prezydenckimi, do których nikt się nie pali. Strategia będzie obejmowała szerszy kontekst społeczny i polityczny, przyjrzymy się, w jakim miejscu znajduje się lewica, czego wymagają od nas wyborcy, gdzie jest nasz elektorat i jakie hasła trafiają do ludzi – opowiada mi polityk Nowej Lewicy.

Innego działacza pytam, która z minister zdecydowała się na start w wyborach: pracy i rodziny Agnieszka Dziemianowicz-Bąk czy równości Katarzyna Kotula? – Szczepie? To nikt o tym kompletnie nie myśli, nasi liderzy nie zajmują się obecnie szukaniem potencjalnej kandydatki. Być może zdecydujemy się na prawybor, ponieważ Agnieszka nie ma zamiaru startować, bo nie chce walczyć o 3 proc., a Kaśka Kotula nie przejawiała nigdy takich ambicji. Poza tym nie chcielibyśmy mieć kandydatki kojarzonej wyłącznie z prawami człowieka i kwestiami światopoglądowymi.

– Słyszałem, że duże ambicje prezydenckie ma Magdalena Bieja, wicemarszałkini Senatu i współprzewodnicząca Lewicy Razem.

– I to jej główny minus: stara lewica i Biedroń nie zgodzą się na wspólną kandydatkę pochodzącą z Razem, choć Magda świetnie sobie poradziła w starciu z Trzaskowskim w Warszawie w wyborach samorządowych – mówi mi szczerze jeden z działaczy Nowej Lewicy.

Jednak wszyscy moi rozmówcy z lewicy są zgodni co do jednego: kandydatką będzie na pewno kobieta, tego wymagają od Nowej Lewicy wyborcy i wyborczynie.

A o co chodzi z 3 proc., których obawia się Dziemianowicz-Bąk? O to, że jeśli Trzaskowski zostanie oficjalnym kandydatem KO, z łatwością przejmie lewicowy elektorat,

który – tak jak to było w 2020 roku – od razu w pierwszej turze odda głos na polityka może nie 100-procentowo spełniającego ideologiczne kryteria, ale przynajmniej gwarantującego, że w Pałacu Prezydenckim wreszcie zaistnieje tzw. progresywna agenda.

To, że najprawdopodobniej tylko jedna licząca się siła wystawi kobietę na prezydenta, jest symptomatyczne dla polskiej sceny politycznej. Przez kilkanaście lat kanclerką Niemiec (i reszty Europy) mogła być Angela Merkel, w USA nominację partyjną Demokratów otrzymała Kamala Harris, kilka lat wcześniej Hillary Clinton, choć kosztowna i wyniosła, z Trumpem przegrała o włos, prezydentką Słowacji, która nie jest przecież w szpicy rewolucji obyczajowej, była Zuzana Čaputová, wciąż męczący Włosi wybrali sobie na premierkę Giorgia Meloni.

Co więcej: pierwszą premierką na początku sanacyjnej rewolty PiS została Beata Szydło, która zastąpiła na tym stanowisku Ewę Kopacz, liderkę zagubionej w tamtym czasie Platformy.

A jednak ani Tusk, ani Kaczyński nie mają zamiaru postawić w przyszłym roku na kobiety.

Pewnym wyjaśnieniem jest, jak już wspomniano, wojna za naszą wschodnią granicą. Podobno z badań zamówionych przez KO i PiS wynika, że wyborcy chcą widzieć w Pałacu Prezydenckim twardego, zdecydowanego polityka, który w razie czego chwyci za telefon i zadzwoni do Kijowa, Berlina czy Waszyngtonu.

Prezydent jest zwierzchnikiem sił zbrojnych – to może i brzmi jak formułka z podręcznika do WOS, ale ma niemały wpływ na społeczne wyobrażenia o tej funkcji.

Swoje mają więc do powiedzenia patriarchalne uprzedzenia: najwidoczniej według mężczyzn zarządzających polską polityką prezydentka nie byłaby w stanie podejmować szybkich i odważnych decyzji.

Umyka im, że rozkaz o przepędzeniu Argentyńczyków z Falklandów wydała Margaret Thatcher, a Ursula von der Leyen, dziś prowadząca twarde ręką Komisję Europejską, była ministrami obrony w Niemczech.

Pytanie, czy to Trzaskowski będzie reprezentował KO, wraca jak bumerang od kilku miesięcy, mimo

że Tusk dwa razy jasno i publicznie zadeklarował, że nie ma zamiaru ubiegać się o najwyższy urząd. – Naszym kandydatem na teraz jest Rafał – zapewnia mnie jedna z najważniejszych polityczek KO.

No właśnie, „na teraz”. Możliwe dlatego deklaracje premiera nie uciszyły plotek czy spekulacji. W kuluarach mówi się o spotkaniu Tuska z Trzaskowskim, w trakcie którego prezydent Warszawy usłyszał, że może być spokojny o nominację.

Podobno w szczerych rozmowach ze swoimi doradcami Trzaskowski wyraża „daleko posunięty dystans” wobec Tuska.

Niemniej powoli odpala kampanijną maszynę, zgromadził spin doktorów, specjalistów od prowadzenia kampanii wyborczych i speców od serwisów społecznościowych.

Ale ani on, ani sympatycy Koalicji 15 Października nie mogą zapominać o najważniejszym: w polskim modelu partii politycznych ostateczne decyzje kadrowe zapadają często w ostatniej chwili – i podejmują je liderzy, nikogo nie pytając o zdanie.

Wszystkie ciała doradcze, zarządy, egzekutywy, zjazdy, konsultacje są organami fantomowymi, co świetnie pokazuje moja ostatnia rozmowa w sejmowych kuluarach z politykami drugiego szeregu Koalicji Obywatelskiej. – W klubie parlamentarnym nie wiemy o żadnych inicjatywach rządu, premier w ogóle się z nami nie kontaktuje, nie istnieje przepływ informacji, posłowie dowiadują się wszystkiego z mediów albo w dniu, kiedy projekt ustawy trafia do Sejmu – wyliczają na jednym oddechu.

– Do dzisiaj nie wiemy, dlaczego niektórzy z ministrów uciekli do Parlamentu Europejskiego i kto będzie naszym kandydatem na prezydenta – żaliła się jedna z posłanek. – Dlaczego Tusk pozwala na piętrze nie się plotek o naszym kandydacie? Przecież mógł poprosić Radka Sikorskiego, żeby nie chodził po mediach i nie opowiadał, że świetnie nadaje się na prezydenta. Z jakiś powodów tego nie zrobił – rozważa jeden z europosłów.

W KO mówi się, że Tusk wręcz „kiwnął głową” i pozwolił Sikorskiemu rozpowiadać po mieście, że ma prezydenckie aspiracje.

– Rafał potrzebuje większej mobilizacji, dlatego szef napuścił na niego Sikorskiego.

Minister spraw zagranicznych udowodnił, że ma silne kontakty międzynarodowe na świecie, dobrze wypada w mediach, czyli ma te samego cechy, co Rafał. Zadziałało, prezydent Warszawy zaczął się poważnie obawiać o nominację – opowiada mi jeden z posłów.

Inna rzecz, że Sikorski naprawdę chętnie zawalczyłby o partyjną nominację, gdyby KO zdecydowała się rozpisnąć prawyborów nikt w KO nie jest przekonany. Rafał Trzaskowski tłumaczył mi niedawno, że sztabowcy PiS na bank wykorzystaliby je w późniejszej kampanii – kandydaci na kandydata musieliby się publicznie spierać, ich stronnicy zaczęliby wyciągać brudy.

A więc proces wyłaniania kandydata KO przed majowymi wyborami prezydenckimi będzie wyglądał tak, że decyzję ostatecznie podejmie Tusk, ale opinia publiczna będzie do końca trzymana w niepewności, kto stanie do wyścigu.

Podobny model podejmowania decyzji przyjął Kaczyński, który publicznie opowiada, że tajną listę z potencjalnymi kandydatami zna tylko on. – Mateusz Morawiecki przesiaduje na Nowogrodzkiej i próbuje przekonać prezesa, że będzie najlepszym kandydatem PiS w wyborach. Jednocześnie ludzie byłego premiera chodzą po mieście i twierdzą, że żaden z trzech nowych gwiazd, czyli były wojewoda zachodniopomorski i świeżo upieczony poseł Zbigniew Bogucki, Tobiasz Bocheński i prezes IPN Karol Nawrocki nie mają żadnych szans na nominację, że prezes się na nich zawiodł, że ostatecznie wypadli z gry – opowiada mi jeden z posłów PiS.

– Tyle że młodzi też chodzą po mediach i budują rozpoznawalność, najlepiej z okazji korzysta Bocheński, ale także Bogucki jest coraz lepszy. A prezes to wszystko ze spokojem obserwuje. Ostateczną decyzję podejmie w najbliższych tygodniach.

Sprawę nieco skomplikowała decyzja Państwowej Komisji Wyborczej o odebraniu części subwencji wyborczej partii Kaczyńskiego. W mediach zaczęły się mnożyć głosy, że w tej sytuacji to Morawiecki staje się jedynym sensownym kandydatem, bo ma wielki osobisty majątek. – W pozostałe nazwiska PiS będzie musiał sporo zainwestować, a on ma kasę i rozpoznawalność – mówi mi obrazowo jeden z polityków prawicy.

Lecz Nowogrodzka wcale nie musi się kierować przesłanką finansową – z punktu widzenia Kaczyńskiego utrata subwencji jest dotkliwa, lecz nie gardłowa. W końcu na konta działaczy PiS przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy spływały wysokie pensje ze spółek skarbu państwa, z rad nadzorczych, z mnożących się państwowych instytucji, więc teraz będą musieli się odwdzięczyć i wesprzeć chlebobdawcę.

Pewien element chaosu w rachuby Nowogrodzkiej wprowadza polityczny harcownik Patryk Jaki, który ogłosił, że chętnie weźmie udział w prawyborach. Tyle że prezes PiS nie zamierza organizować żadnego publicznego plebiscytu – co nie wszystkim w jego obozie, choć przyzwyczajonym do wodzowskiego modelu zarządzania partią, się podoba.

– Jarosław popełnia błąd. Przecież wie, że w drugiej turze najważniejsze będą głosy Konfederacji, Sławomir Mentzen ma szansę na trzecie miejsce. A Patryk ma zbliżoną agendę polityczną, mógłby ze spokojem przejąć głosy Konfy i wygrać z Trzaskowskim. Poza tym jest na tyle wyrazisty i rozpoznawalny, że nikt nie musiałby inwestować w jego wizerunek – przekonywał mnie jakiś czas temu poseł Suwerennej Polski.

I w tym rzecz – Jaki na kandydata pasuje jak ulał, ale nominując go, Kaczyński dałby nowe polityczne życie Ziobrze. A nie po to



• **Magdalena Biejat, senatorka i kandydatka na prezydentkę Warszawy na konwencji wyborczej Lewicy pod hasłem „Lewica walczy o prawa kobiet” Warszawa, 9.03.2024 r.**

FOT. MACIEJ JAŻWIECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

**Polityk Lewicy:
Nie chcielibyśmy
mieć kandydatki
kojarzonej
wyłącznie z prawami
człowieka
i kwestiami
światopoglądowymi**

tak usilnie pracował nad zmarginalizowaniem i wchłonięciem partyjki niedoszłego delfina.

Przynajmniej w Trzeciej Drodze sprawa jest prosta: kandydatem na prezydenta będzie Szymon Hołownia. – Wokół Szymona powstał dwór. Są w nim wyłącznie kobiety, które codziennie przekonują go, że jego czas się jeszcze nie skończył. Mówią, że na pewno wejdzie do drugiej tury – mówi mi jeden z posłów Polski 2050. – Ale nie byłbym tego pewny. Problem w tym, że wokół Szymona nie ma obecnie nikogo, kto mógłby mu powiedzieć, że start w wyborach i druga przegrana nas zatopią.

A może jednak ktoś taki jest? Bo od kilku osób z kręgu Hołowni słyszę, że planem awaryjnym będzie wystawienie ministrowi funduszy i polityki regionalnej, byłej ambasador w Rosji, Katarzyny Pelczyńskiej-Nałęcz.

Hołownia przynajmniej nie musi się mierzyć, jak Kaczyński, z ambicjami koalicyjnego partnera. – Władek nie zamierza startować – przekonują mnie działacze PSL. Zapytałem o to wprost, kiedy niedawno wicepremier i minister obrony narodowej wykonał radykalny i niespodziewany zwrot w konserwatywne prawo. Zważywszy na nastroje społeczne, kobiecy elektorat, galopującą laicyzację, wytłumaczenie mogło być tylko jedno – ale wszyscy moi rozmówcy gorąco zaprzeczali i zaprzeczają tezie, że Kosiniak-Kamysz ma tego rodzaju ambicje polityczne.

Na całym tym tle na najbardziej ogarniętą wychodzi Konfедера-

cja, która jako pierwsza oficjalnie wytypowała kandydata na prezydenta.

Sławomir Mentzen powinien spędzać sen z powiek Kaczyńskiemu, bo ma wszystkie cechy, o jakich wspominał prezes PiS, mówiąc o swoim wymarzonym kandydacie: zna języki, dobrze się prezentuje, ma pomiędzy 35 a 45 lat i generalnie podobają się kobietom.

Dodajmy do tego przebojowość Mentzena, który chwilami przypomina Aleksandra Kwaśniewskiego z połowy lat 90.

Jeśli Kaczyński się nie przejmuje, to dlatego, że Mentzen ma również poglądy. Kiedy w połowie zeszłego roku, tuż przed decydującymi o przyszłości Polski po ośmiu latach rządów prawicy wyborami parlamentarnymi, Konfederacja cieszyła się 15-procentowym poparciem, Tusk i pozostali demokratyczni liderzy zaczęli na każdym kroku przypominać o brunatnym rodowdzie Mentzena.

Teraz może być podobnie: w 2025 roku Polacy, nawet ci bardziej na prawo, nie zagłosują masowo na homofoba i antysemitę, nawet jeśli obiecuje niskie podatki. Nastroje społeczne są zupełnie inne niż jeszcze dekadę temu; lata rządów PiS sprawiły, że akceptacja dla związków jedнопłciowych i ogólna akceptacja dla osób LGBT znacząco wzrosła.

A jakby tego było mało, mimo starań konfederackich piarowców w tle Mentzena wciąż majączy Grzegorz Braun, z upodobaniem kreujący się na naczelnego antysemitę kraju, do tego z emploti ekscentryka – które gwarantuje wybieralność, zaskarbiając głosy rebelianckiej nisz, lecz niekoniecznie jest lubiane przez mainstreamowego wyborcę.

Po tych detalicznych korytarzowych rozkminkach zrobimy krok wstecz i spojrzmy na szerszy plan. A w nim rzucają się w oczy same ewenementy: żadna z polskich partii nie bawi się w prawyborzy i żaden lider – z wyjątkiem Mentzena – nie chce bić się o prezydenturę kraju, natomiast to oni jednoosobowo lub w bardzo wąskim gronie decydują, kogo namaszcza.

Z takim ujęciem nie do końca zgadza się specjalista dziejów najnowszych i publicysta prof. Antoni Dudek.

– Polityka nie rozgrywa się w przedstawiony przez pana sposób: lider nie wchodzi do pokoju, nie rzuca nazwiska przyszłego prezydenta, a cała reszta działaczy partyjnych kiwa głowami w uznaniu.

I Kaczyński, i Tusk muszą zaprezentować swoje argumenty, przedstawić badania, które uzasadnią dokonany wybór, muszą być gotowi na wewnętrzną debatę.

Jasne, liderzy dominują nad swoimi obozami, ale tylko w jednym przypadku partia nie mogłaby sprzeciwić się decyzji lidera: kiedy on sam zechciałby ubiegać się o prezydenturę – klaruje mi profesor.

Do historiika opisującego losy polskiej polityki po 1989 roku przyszedłem jednak z innymi py-

taniami: w jaki sposób szukano kandydatów na prezydenta w III RP? I co było kluczowe w procesie podejmowania decyzji o starcie w wyborach?

Po 1989 roku pierwszym prezydentem odrodzonej i demokratycznej Polski został w wyniku głosowania w parlamencie generał Wojciech Jaruzelski. Szybko jednak rozpisano wybory, w których niekwestionowanym liderem był Lech Wałęsa, legendarny przywódca „Solidarności”, laureat Pokojowej Nagrody Nobla.

– I to właśnie on był jedynym przypadkiem w historii ostatniego 35-lecia, który miał na tyle mocną pozycję osobistą, że mógł zdecydować samodzielnie o starcie. Co ciekawe, środowisko polityczne Tadeusza Mazowieckiego sądziło, że w wyborach powszechnych większe szanse ma pierwszy niekomunistyczny premier. Dlatego pomysł rozpisania wyborów prezydenckich wyszedł z kancelarii premiera – opowiada prof. Dudek.

– Wyszło inaczej: to Wałęsa cieszył się większą popularnością. Pięć lat później liczyła się już tylko osobista popularność Aleksandra Kwaśniewskiego, który w 1990 roku nie ośmieliłby się wziąć udziału w wyborach, dlatego Sojusz Lewicy Demokratycznej wystawił Włodzimierza Cimoszewicza.

W 2000 roku środowisko polityczne lidera Akcji Wyborczej Solidarność, jednoczącej po okresie „rozbitcia kanapowego” centroprawicę i prawicę, gorąco odradzało kandydowanie Marianowi Krzaklewskiemu, szefowi niby związkowej, lecz potężnej politycznie „Solidarności”. – Ten jednak był głuchy na argumenty polityków. Zlekceważył liczne ostrzeżenia i przestrogi, ale mógł to zrobić, ponieważ miał silną pozycję wewnątrz AWS – wspomina profesor.

Zupełnie inaczej było w wypadku trzeciej z ówczesnych potęg, „inteligentkiej”, centrowej Unii Wolności. – Która ani razu nie potrafiła dojść do porozumienia w sprawie wystawienia mocnego kandydata na urząd prezydenta. W 1995 roku został nim, przy szerokim sprzeciwie działaczy, Jacek Kuroń, a pięć lat później partia postanowiła nikogo nie wystawiać, co stało się jedną z przyczyn jej rozpadu – snuje opowieść prof. Dudek.

Kwaśniewski mógł zostać prezydentem, ponieważ społeczeństwo było po pierwsze rozczarowane i zmęczone kierunkiem zmian rynkowych, po drugie, skorzystał z podpowiedzi zagranicznych spin doktorów, sięgając po narzędzia i motywy w polskiej siermiężno-gabinetowej polityce nowatorskie, a po trzecie – po prostu był wówczas młody, przystojny, pełen energii i sporo mówił o przyszłości.

Prawdziwy przełom nie tylko stricte polityczny, ale i mentalny w społeczeństwie, nastąpił jednak dopiero w 2005 roku, kiedy do wyborów stanęli liderzy nowych ugrupowań, czyli Tusk i Lech Kaczyński. – Proszę pamiętać, że podział polityczny utrzymujący się do dzisiaj zawdzięczamy w głównej mierze Cimoszewiczowi, który kilka ty-

godni przed pierwszą turą wycofał się z wyścigu o Pałac Prezydencki. W innym wypadku doszłoby najprawdopodobniej do pojedynku między politykiem SLD a Kaczyńskim – przypomina prof. Dudek i płynnie przerzucił analityczny pomost do teraźniejszości.

– Pyta pan, dlaczego obecni liderzy nie marzą o Pałacu Prezydenckim, nie licząc Hołowni, który wykreował swój wizerunek właśnie jako kandydat na prezydenta.

Otóż Jarosław Kaczyński ma potężny elektorat negatywny, już raz kandydował w 2010 roku i nie chciałby więcej tego powtórzyć. To samo myśli Tusk, który przegrał w 2005 roku, choć ciągle jest podejrzewany, że w ostatniej chwili ujawni ambicje prezydenckie. Tylko nie wiadomo, po co miałyby to robić, skoro ma w rękach realną władzę, a prezydent w polskim systemie ma jedynie prawo weta, co i tak, jak widać dzisiaj, nie utrudnia rządzenia premierowi.

Według historyka prestiż urzędu prezydenta mógłby zostać odbudowany, jeśli do Pałacu Prezydenckiego przeprowadziłby się któryś z liderów partyjnych. Choć byłoby to trudne, szczególnie po upokorzeniu Andrzeja Dudy przez Tuska, kiedy służby podległe premierowi zatrzymały na terenie Pałacu Prezydenckiego Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Okazało się więc, że prezydent nie kontroluje już nawet własnego pałacu!

Prof. Dudek sądzi, że marginalizacja głowy państwa będzie się pogłębiała. – To paradoksalna sytuacja, ponieważ w polskiej tradycji politycznej prezydent wybierany w wyborach powszechnych cieszy się ogromnym mandatem społecznym, a ostatecznie może odpowiadać za część polityki międzynarodowej i obronnej.

Dlatego badacz proponuje zmianę w uprawnieniach lokatora Pałacu Prezydenckiego. – Należałoby w pierwszej kolejności wzmocnić samorządy wojewódzkie, które niezależniłyby się od rządu, a ich zwierzchnikiem zostałby prezydent, wówczas pozbawiony wpływu na politykę międzynarodową i obronną, bez prawa weta. W takiej sytuacji dzisiejszy proces naprawy systemu prawa przebiegałby o wiele sprawniej.

Mój rozmówca jest jednak realista. – Dziś nikt nie ma zdolności politycznej do zmiany konstytucji. Dlatego dwugłowa egzekutywa będzie trwała, mimo że najprawdopodobniej po majowych wyborach prezydent będzie kompatybilny z większością sejmową.

Wybór kandydata na prezydenta to mieszanica politycznej intuicji, wyników badań sondażowych i trafnej oceny kontekstu społecznego. Niektórzy uważają, że prezydentem w Polsce zostaje polityk, z którym każdy z nas mógłby pójść na piwo, mówiąc inaczej: ktoś, komu można zaufać i mniej więcej przypomina zwykłego Polaka.

Archetypem „zwykłego Polaka, który mógł zostać prezydentem” jest rzecz jasna Lech Wa-

łęsa. Robotnik, który od zawsze wypowiada się prosto i komunikatywnie, potrafi nawiązać kontakt z ludźmi, doskonale odczytuje społeczne emocje. Jego następca – Aleksander Kwaśniewski – wygrał, ponieważ odwołał się do ludowych doświadczeń. Tańczył do rytmu disco polo, jadł kielbasę na piknikach i pił wódkę. Był „taki jak my”, tylko trochę gładszy, a więc grał na aspiracyjnej nucie, nie wpędzając w kompleksy.

Kimś swojskim był bez wątpienia Bronisław Komorowski ze swoim wizerunkiem rubasznego wujka, który od czasu do czasu jeździ na polowanie i w każdej chwili może podzielić się dobrą radą. Andrzej Duda jest ubóstwiany w Polsce powiatowej, bo ludzie postrzegają go jako zwykłego chłopaka z sąsiedztwa, który kupuje piwo w Żabce, mówi prostym językiem, nie wstydi się lapsusów i pewne nieporadności i łatwo „łapie kontakt” na wiecach wyborczych.

Z tego peletonu swojaków wyłamał się jedynie Lech Kaczyński, który jako jedyny miał tytuł profesora, nie rozumiał emocji społecznych, najlepiej czuł się wśród książek i podczas dziejowo-ustrojowych dyskusji, a wygrał tylko dlatego, że trafił w krótką chwilę społecznej emocji, gdy wyborcy łaknęli wyższego standardu, „odnowy moralnej” po katastrofalnej wizerunkowo, koleśiowsko-aferalnej końcówce rządów Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

Pojawia się zatem pytanie, czy znający kilka języków Rafał Trzaskowski, którego znaczna część Polaków postrzega jako wyśzószonego inteligenta z dobrego domu, będzie w stanie przekonać do siebie wyborców z Polski powiatowej? Zawsze dobry w grze na ludyczno-bogoojczyźnianej nucie PiS tym razem też ma problem – czy eleganczy dr Tobiasz Bocheński, dr Karol Nawrocki lub kulturalny prawnik Zbigniew Bogucki zdobędą zaufanie polskich wsi i miasteczek, które tak naprawdę decydują o wyniku wyborów?

Całkiem możliwe. Bo wiele wskazuje na to, że po ośmiu latach polityki opartej na pokrzykiwaniu i arogancji oraz po 10 latach międzynarodowego zagubienia Andrzeja Dudy, wyborcy chcą mieć za prezydenta kogoś, kto nie przyniesie Polsce wstydu, kto mówi perfekcyjnie po angielsku i ma zbudowaną siatkę kontaktów międzynarodowych.

O kimś takim marzy również Kaczyński, co przyznał szczerze w Radiu Maryja. – Musi znać bardzo dobrze język angielski. Najlepiej, jakby znał dwa języki. Mamy kandydatów, którzy są doskonali i w angielskim, i we francuskim. Tak jak ten prawdopodobny przeciwnik w drugiej turze. Musi być obyty międzynarodowo. To powinien być człowiek, dla którego świat nie jest czymś obcym, który bywał na konferencjach, wykładach – opowiadał prezes PiS.

Tyle że przy tak ustawionych parametrach oczekiwań w wyścigu inteligentów z klasy średniej wyższej – bo tak zapowiadają się majowe wybory – na prowadzenie wychodzi prezydent Warszawy. ●

Dlaczego przyczepiłem się do Giertycha

„Zobacz, jakich łotrów wybrałeś” znaczy tyle samo, co „zobacz, jaki jesteś głupi i niemoralny”



Marcin Matczak

Dlaczego mimo afer PiS nie spada poparcie? Dlaczego ludzie głosują na przestępców, takich jak Trump? Szukam metafor, wygibasów, prowokacji, żeby to wytłumaczyć. I nic. Dzisiaj przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł.

Już dawno kłamstwem jest tekst piosenki „Wszyscy Polacy to jedna rodzina”. Obecnie Polacy to rodziny co najmniej dwie, i to jak Monteki i Kapuleti albo Pawłaki i Kargule, tylko że nie śmieszne.

Żeby zrozumieć, dlaczego PiS nie spada, pomyślmy o relacji „polityk-elektorat” jak o relacji rodzinnej. George Lakoff, amerykański neurolingwista, analizował w 2016 roku, dlaczego ludzie głosują na Trumpa. Pisał, że on odgrywa rolę ojca – surowego strażnika tradycyjnych wartości i hierarchii. To, że w rzeczywistości jest rozpustnikiem, nie ma znaczenia. Ma znaczenie, na kogo pozuje.

Elektorat utożsamia się z politykami podobnie, jak utożsamiamy się z członkami rodziny – nie racjonalnie, ale emocjonalnie. To utożsamianie jest szczególnie mocne po prawej stronie.

W każdym społeczeństwie, jak piszą politolodzy, jest około 30 procent unikaczy różnorodności – ludzie zazwyczaj konserwatywnych,

którzy chcą świata uporządkowanego i jednolitego: jednej wiary, jednej ideologii, jednej telewizji i wizji świata. Nie chcą wielu orientacji seksualnych czy tożsamości płciowych. Ma być po bożemu – tylko baba i chłop, oboje hetero.

Ci ludzie czują jedność z politykami, którzy obiecują, że ukrócą różnorodność. Stąd PiS oferował strefy wolne od LGBT (ma być jednolitość seksualna), nagonkę na imigrantów (ma być jednolitość etniczna) i wsparcie Kościoła (bo ma być jednolitość religijna i ideowa). Jednolitość, prawo i porządek dają złudne poczucie bezpieczeństwa i wyborcy są za to wdzięczni.

PiS i jego elektorat żyją w symbiozie emocji. Ta symbioza, jak relacja rodzinna, jest oparta na utożsamianiu się i przywiązaniu, nie na pełnej racjonalności. A rodzinę to ty szanuj, jak głosi stare prawidłowe powiedzenie. A jak ktoś ją atakuje, to jej broń. Gdy oskarżają ci ojca albo matkę, to nie analizujesz, czy są podstawy, racje, argumenty, tylko ich instynktownie bronisz.

Wyobraźmy sobie, że członek jakiejś rodziny popełnia przestępstwo. Naturalną reakcją jest zaprzeczenie – „Tata by tego nie mógł zrobić! Mój syn nie jest złym człowiekiem!”. Jeśli dowody są poważne, zaprzeczenie zamienia się w tłumaczenie – zrobił to dla dobra innych, a oskarżenia to zemsta.

Przenieśmy to na relację elektoratu i PiS. Jeśli relacja wyborcy z politykiem jest podobna do rodzinnej, ten wyborca zrobi wszystko, żeby zaprzeczyć złu, które się politykowi – a w pewien sposób także jemu – przypisuje. Są dowody, że zdefraudowali pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości? Zrobili to dla dobra innych. Były przekręty w finansowaniu kampanii? To polityczna zemsta.

Taki wyborca będzie wspierał swego polityka jak brata: powie, jak w internetowym filmie: „14-stkę całą oddam dla PiS-u, od ust odejmę i oddam PiS-owi”. Tak się mówi, gdy chodzi o kogoś emocjonalnie bardzo bliskiego.

Spróbujcie racjonalnie przekonać matkę, że jej córka to zła kobieta jest, spróbujcie rozbić symbiozę rodzinną, mówiąc „wszyscy jesteście patologią”. Nie da się. A tak wielu mówi do elektoratu PiS.

Oczywiście symbioza polityczna jest nieco słabsza niż rodzinna, bo nie ma tak silnych podstaw biologiczno-ewolucyjnych. Stąd jest szansa, że gdy odpowiednio przedstawi się prawdę, można te symbiozę rozluźnić.

Ale co to znaczy odpowiednio? Na pewno nie przez kpinę i poniżenie. „Zobacz, na jakich łotrów głosowałeś” znaczy tyle samo, co „zobacz, jaki jesteś głupi i niemoralny”. Pokazywanie synowi grzechów jego ojca z uśmiechem na twarzy jest zwyczajną torturą. I zamiast przekonywać, powoduje opór i dezawuowanie argumentów. A tak przeciwnicy PiS chcą „nawrócić” ich elektorat.

A można inaczej – na zimno, bez satysfakcji i kpin pokazywać zło, którego dopuścił się PiS. Bez triumfalizmu, ale w pewnym sensie z należnym tej sytuacji smutkiem. Bo czy mamy się cieszyć, że nas okradli? Mamy skakać z radości, bo w ten sposób udowodnili, że mieliśmy rację, uważając ich za zepsutych moralnie? Trzeba raczej się zamknąć, pokazywać dowody i pozwolić, żeby one działały. Żeby jakaś część elektoratu PiS powiedziała sobie – „dość, trzeba poszukać kogoś innego, bo tego nie da się obronić”.

Ci ludzie sami potrafią wyciągnąć sobie wnioski, nie potrzebują kpin. Większość nie zmieni preferencji politycznych, ale może część przestanie głosować na niszczycieli państwa. Wystarczy 5 procent i grupa „unikaczy różnorodności” spadnie poniżej 30 procent, co pozwoli, miejmy nadzieję, uchronić Polskę przed narzuconą jednolitością, czyli ryzykiem autorytaryzmu.

Dlatego to, co robią Silni Razem, jest tak bez sensu. Bo te kpiny i triumfalizm uruchamiają mechanizm obronny – irracjonalny, ale to nieważne. Ważne, że utrzymuje poparcie dla PiS. Dlatego, kiedy Giertych pyta mnie, dlaczego się do niego ostatnio przyczepiłem, to właśnie dlatego: on jest jak gość przyjeżdżający do rodziny przestępcy, żeby się z niej ponabijać. Z czego? Z tego, że ktoś ukradł nasze wspólne pieniądze? Że ktoś zbudował relację z człowiekiem, który nie był godny zaufania?

On nie rozumie, że triumfując i poniżając polityków PiS, poniża ich elektorat. Znajdując dowody na kolejne przestępstwa PiS, krzyczy, jak kiedyś Marcinkiewicz, „yes, yes, yes!” Bo wyszło na jego. Ale z czego tu się cieszyć? „Twój ojciec ma łupież, chodzi w za dużej kurtce, nie potrafi założyć krawatu i powiedzieć »Sztokholm«. Zostaw go i chodź z nami!”. Tak mniej więcej odbierane są kpiny z polityków, dla których ma szacunek elektorat PiS. Dalibyście się przekonać, gdyby ktoś tak mówił o waszym ojcu? O kimś, z kim się utożsamiacie emocjonalnie?

Przecież przy takim podejściu oni dadzą się pokroić, a nie przyznają drugiej stronie racji.

Bo co mają powiedzieć? „Tak, panie Giertych, jesteśmy skończonymi idiotami i patologią, bo głosowaliśmy na złodziei.

Teraz widzimy nasz błąd i będziemy od-tąd głosować już tylko na pana i pana kolegów z Platformy”?

Pokazujcie zło, ale nie kpjcie. To ma przeciwny skutek. ●

● O nowej książce Marcina Matczaka i Marcina Makowskiego „Jak zatrzymać koniec świata. Rozmowy o religii, prawie i polityce” ► **24-27**

RODZICE NASZYCH DZIECI

Dziennik elektroniczny to najgorsze, co je w oświacie spotkało.



FOT. SHUTTERSTOCK

Iwona Görke

Dziennik elektroniczny? Był dla mnie jak zbawienie. Nie musiałem nic wypisywać ręcznie – mówi Karol, nauczyciel informatyki oraz matematyki w szkole podstawowej. – Moje koleżanki ze szkoły, humanistki, że tak powiem, były pełne obaw, bo to komputer, bo coś zniknie, zawiesi się. Ale i one po jakimś roku korzystania były zachwycone systemem.

Początki nie były jednak kolorowe. Czasem zalogowanie do systemu trwało dobrych kilka minut. Nauczyciele musieli prowadzić podwójną dokumentację, bo nie w każdej pracowni był komputer. Jeżeli był – wystarczyło zalogować się do systemu, wpisać obecność czy ocenę. Jeżeli nie było komputera albo dostępu do internetu, nauczyciel musiał wypełnić specjalną kartę, w sekretariacie przepuścić ją przez skaner, który umieszczał dane w dzienniku elektronicznym.

Na początku funkcjonowania dziennika elektronicznego nie każdy rodzic miał do niego dostęp, bo korzystanie z niego nie było obowiązkowe. Te kilkanaście lat temu, w początkach Librusa, niewielu rodziców pisało do nauczycieli. Nie to, co teraz.

– Też jestem rodzicem. W tym samym momencie co moje dziecko wiem, jaką dostało ocenę z danego przedmiotu, wiem, czy jest w szkole, czy nie. Czasem, jeśli się pomyłę i wstawię nieobecność uczniowi, to minutę później mam wiadomość od rodzica z pytaniem, czy prawdą jest, że jego dziecka w szkole nie ma – opowiada pedagog.

Karol zdaje się pół żartem, pół serio mówić, że ten dziennik elektroniczny to najgorsze, co w oświacie spotkało dzieci. Ciągła kontrola.

Jego szkoła udostępnia rodzicom nie tylko wgląd do poszczególnych ocen, ale także średnią. – Dzięki temu rodzice wiedzą, co jego dziecko musi ewentualnie zrobić, by poprawić ocenę.

Delikatne naciski

Zdarza się, że rodzic jest ambitniejszy od dziecka. – Rodzic zaplanował dziecku jakieś świetne liceum, więc oceny muszą być najlepsze. A dzieci są różne. Jedno umie na piątkę, drugie na szóstkę, a ktoś na trójkę, a rodzic nie zawsze chce to zrozumieć – mówi pedagog.

Rodzice stosują czasem „delikatne naciski”, po to by nauczyciel dał dziecku szansę na poprawę oceny.

– Mówią, że dziecko chce iść do takiej szkoły, a my mu zamykamy drogę ku karierze, ku jego przyszłości – wspomina Karol. On na samym początku roku w dzienniku

elektronicznym wypisuje wszystkie możliwości, jakie uczeń może po drodze uzyskać, by podwyższyć sobie ocenę.

Gdy widzi, że uczniowi lub uczennicy niewiele brakuje do uzyskania lepszej oceny śródrocznej czy końcoworocznej – daje takiej osobie szansę. – Ale jeżeli ktoś le dwie wyciąga na czwórkę, a przychodzi i mówi, że chce piątkę, to tłumaczę, że nie ma takiej możliwości, i wspominam o wiadomości z początku roku – przyznaje nauczyciel.

Dziennik elektroniczny jest w takich wypadkach pewnym zabezpieczeniem, bo rodzic jest informowany o postępach w nauce swojego dziecka. – To podstawowe i obowiązkowe narzędzie komunikacyjne na linii nauczyciel – rodzic – tłumaczy informatyk.

Nie oznacza to jednak, że wywiadówki są niepotrzebne. Osobisty kontakt to zupełnie coś innego niż ten przez ekran. No i na wywiadówce rodzice mogą się spotkać z innymi nauczycielami.

– Czasem rodzic przychodzi i mówi: mój syn uczy się w domu, jest na każdej lekcji, dlaczego więc ma takie słabe oceny? I z takim rodzicem można porozmawiać, a nie pisać mu elaboraty. W takiej bezpośredniej rozmowie najczęściej wybieramy jakąś drogę mającą pomóc uczniowi poprawić oceny. Choć muszę przyznać, że ten kontakt z rodzicami jest coraz mniejszy. Zdarza się,

że po ogólnym zebraniu z wychowawcą podejdzie do mnie rodzic czy dwóch.

Ale na brak kontaktu z rodzicami uczniów nie narzeka. Od dwudziestu paru lat – jak mówi – „ma przyjemność być wychowawcą”.

Kuratorium – ostateczna broń

Relacje nauczycieli z rodzicami ich uczniów to trudny temat. – To są coraz młodszy ludzie, pierwsze roczniki gimnazjalistów, których uczyłem – precyzuje Karol. Oni są, zauważa pedagog, inaczej wychowywani, często przez rodziców, którzy – prowadząc biznesy u schyłku lat 80. i w latach 90. – nie mieli czasu dla swoich pociech, albo rodziców nieobecnych, bo często są to tzw. eurosieroty.

– I oni, jak mają teraz własne dzieci, to otaczają je kordonem bezpieczeństwa, trzymają w bańkach – tłumaczy matematyk. Wspomina, jak rodzic prosił, by przypomnieli jego dziecku, co ma zrobić w domu. Rodzice, mówi, dbają o wszystko, są nadopiekuńczy, nie dają się dzieciom chociaż trochę usamodzielniać. Przywożą do szkoły i z niej odbierają.

– Rodzice często nie rozumieją, że w szkole są między dziećmi konflikty, bo na przykład ktoś coś komuś zabrał. Ja jestem od tego, by pomóc je rozwiązać, a gdy one się powtarzają, mówię rodzicom, ale oni czasami, niestety, od razu idą do dyrektora.

Angażują się w konflikty i nie chcą uwierzyć, kiedy ich grzeczne dziecko okazuje się robić coś niestosownego. Wierzą tylko swoim pociechom i nie zawsze są w stanie zrozumieć, że wychowawca musi wysłuchać każdej ze stron.

Karolowi na ogół udaje się rozwiązywać konflikty i sensownie rozmawiać z rodzicami. – Chociaż zdarzają się sytuacje, w której na lekcji dziecko czytało książkę. Nauczyciel raz i drugi zwrócił uwagę. Uczeń nie zareagował, więc nauczyciel zabrał mu książkę. Rodzic został wezwany do szkoły. Przyszedł i powiedział, że nauczyciel ukradł książkę.

– Nie mam pojęcia, jak na takie słowa reagować, bo tu ręce opadają – wzdycha pedagog. Jedyne, co może nauczyciel, to tłumaczyć i jeszcze raz tłumaczyć. – Czasami między nauczycielem a rodzicem jest ściana. Rodzic wychodzi nieusatsfakcjonowany rozmową. I tyle. Albo czekamy, aż pojawi się pismo z kuratorium – przyznaje nauczyciel.

Rodzice chętniej sięgają po tę broń ostateczną – kuratorium?

– Tak się dzieje od sześciu-siedmiu lat. Brakuje rozmowy między nauczycielami a rodzicami – Karol mówi o sposobie, jaki jest w szkole na rozwiązanie problemów. Pierwszą instancją, korzystając z prawniczego języka, jest wychowawca. W razie niepowodzenia włącza się pedagog. Jeżeli dalej nie udało się rozwiązać sytuacji, w sprawę angażuje się wicedyrektor. Dalej nic? Włącza się dyrektor. Kuratorium to ostateczność.

– Teraz bardzo często rodzice pomijają te szczeble i albo od razu kierują się do głównego dyrektora, albo kuratorów. Dlaczego rodzice obierają taką drogę? Nie mam zielonego pojęcia, czy to jest na zasadzie lubienia lub nielubienia wychowawczy albo braku wiary w to, że może on pomóc. Trudno stwierdzić, co siedzi w głowie takiego rodzica.

Oczywiście, że to przykre. Bo jest brak zaufania. Możemy popełnić jakiś błąd, ale rozmawiajmy i próbujmy rozwiązać trudne sytuacje. Zdarza się, że już przy tej drodze urzędowej rodzic się reflektuje, że niepotrzebnie wszedł na tę ścieżkę. Ale tak bywa, gdy rodzice patrzą tylko na to dziecko i nic do nich nie trafia.

W szkole organizujemy dla rodziców szkolenia dotyczące wychowania i różnych zagrożeń. Ale nie jest tak, że zastajemy pełną salę. Oni myślą, że wszystko wiedzą lepiej. I uważają, że świat powinien dopasować się do ich dzieci. Nauczyciel się komuś nie podoba? Trzeba napisać pismo i zmienić nauczyciela. Nie ma podejścia, by porozmawiać i się dogadać.

Karol w nowym roku szkolnym dostał kolejną klasę. Czwartoklasistów.

W szkole prywatnej płacę i wymagam

Anna w szkole pracuje prawie 20 lat. Znaczoną część przepracowała w placówce prywatnej. Przeszła przez szkolną świetlicę, później uczyła języka polskiego.

– Praca z dziećmi jest trudna i bardzo odpowiedzialna. Ale dzieci jak to dzieci, gorzej pracuje się z rodzicami – przyznaje kobieta. – W szkole prywatnej są specyficzni rodzice. Bardzo wymagający. Ale mniej od dziecka, a bardziej od nas, nauczycieli.

„Płacę to wymagam”, takie mają często podejście – podsumowuje. Taki rodzic, opowiada, posyła dziecko do elitarnej placówki, by móc pochwalić się tym w towarzystwie. Chce, by szkoła funkcjonowała tak, jak jest mu wygodnie.

– Bez ich zaangażowania czy nawet zaangażowania dzieci. Mają postawę typu: oddaję dziecko do szkoły prywatnej i chcę mieć święty spokój.

Chcą, by z takiej szkoły wyszli geniusze mający fantastyczne relacje z rówieśnikami – opowiada Anna.

Tyle że – przypomina – to mrzonki. Dzieci mają swoje temperamenty, zdolności, ale także ograniczenia, z którymi szko-

ła na pstryknięcie sobie nie poradzi. – To wymaga zaangażowania. Samego dziecka i jego rodzica, a często jest tak, że ludzie nie mają czasu – podsumowuje polonistka.

Na razie trudno jej porównać szkołę prywatną z publiczną. W tej drugiej zaczyna dopiero drugi rok. A i ta szkoła okazuje się dość specyficzna. Jest w niej dużo młodych, 30-letnich rodziców, którym udało się szybko dorobić, kupić mieszkanie czy dom na przedmieściach miasta.

– Niektórzy z nich są podobni do tych rodziców ze szkoły prywatnej.

Anna widzi różnicę w sposobie wychowania dzieci. – Teraz popularne jest bezstresowe wychowanie. Ta idea raczkowała, gdy studiowałam i zaczynałam pracę, ale teraz dostrzegam, jak wiele się zmieniło – polonistka zauważa, że współcześnie wiele mówi się o prawach dzieci, ale bardzo rzadko zwraca się uwagę na ich obowiązki.

– Dla wielu dzieci szkoła jest taka niedobra, bo właściwie tylko w niej słyszą o obowiązkach. W domu ich nie mają. Jak rozmawiamy z dziećmi, szczególnie z tymi ze szkół prywatnych, to standardem w ich domach jest to, że do sprzątania przychodzi jakaś pani. I sprząta wszystko, nawet ich pokój.

Dzieci, przekonuje Anna, potrzebują pewnych zasad, bo one dają im poczucie bezpieczeństwa. Mogą się na nie złościć, ale one są ważne. Obecnie rzadko kiedy rodzice nakładają na dzieci zasady.

Nie pożycz ci kasztanów ani notatek

Rodzice są często roszczeniowi. Wymagają nie od dzieci, tylko od nauczycieli. Nie wspierają dzieci w nauce. – Słyszymy, że coś źle wytłumaczyliśmy, że nie daliśmy informacji zwrotnej, mamy zły system ocen. Dziecko z czymś sobie nie radzi? Nie osiągnęło sukcesu? Rodzic ma łatwe wytłumaczenie: wina nauczyciela – opowiada polonistka.

Pedagogom trudno bronić się przed takimi oskarżeniami. Bywa, że wpadają w depresję. Anna jednak mówi, że to pewien znak czasu, ludzie uważają, że wiedzą lepiej niż specjalista.

– Przychodzą do lekarza z diagnozą, bo się sami w Google’u zdiagnozowali. Tak samo jest teraz z rodzicami w szkole. Wydaje im się, że jak skończyli szkołę, to wszystko wiedzą. Człowiek próbuje rozmawiać i tłumaczyć. Czasem się uda, ale czasem trafia się rodzic, który oceni nauczyciela i skrytykuje, nakrzyczy na niego. Trzeba sobie radzić – podsumowuje.

Rodzic ma prawo przyjść do nauczyciela, zasięgnąć informacji o dziecku, porozmawiać o jego postępach w nauce, zapytać, co może zrobić, by dziecku pomóc. Anna jest otwarta na takie rozmowy. W szkole niepublicznej zdarzało się, że zamiast do nauczyciela rodzic siedł od razu do dyrektora. – Dyrektor zapewniał nas o wsparciu, ale dla niego rodzic jest ważniejszy, bo przynosi pieniądze. W szkole publicznej jest inaczej, jest rozmowa między nami a rodzicami – porównuje polonistka. I zapewnia, że również w publicznej placówce rodzice są ważni, bo szkoły rywalizują między sobą o dzieci.

W szkole publicznej Annie jest łatwiej. Także dlatego, że nie jest jedyną polonistką, może porozmawiać z koleżankami o podobnych problemach czy zasięgnąć

opinii. I w tej szkole, w której uczy teraz, jest szkolny psycholog. Wspiera uczniów, ale także nauczycieli, jest obecny przy trudnych rozmowach z rodzicami.

Zdaniem Anny wiadomości pisane w dzienniku elektronicznym nie zastąpią rozmowy z rodzicem. Nie o wszystkim się pisze. Polonistka patrzy na Librusa z dwóch perspektyw – nauczycielki i matki.

– Od początku edukacji mojego dziecka mamy Librusa. Okropnie mnie to zmęczyło. Zwłaszcza w klasach 1-3. Teraz też mnie to męczy, ale mam wyłączone powiadomienia. Wchodzę na niego wtedy, gdy chcę się dowiedzieć, co dzieje się w szkole – tłumaczy.

Rodzice są informowani o wszystkim – ocenie, uwadze, spóźnieniu czy nieobecności na lekcji.

– I zaraz rodzic się stresuje, zastanawia, co się dzieje z jego dzieckiem, gdzie jest, jeżeli nie w szkole. Tymczasem może po prostu dojść do pomyłki przy sprawdzaniu obecności – przypomina.

Rodzice, wspomina, oczekują od nauczycieli natychmiastowych odpowiedzi. Ale ten, gdy jest w szkole, prowadzi lekcje i nie zawsze ma czas, by odpowiedzieć. Podobnie w domu. Nie może cały czas siedzieć w Librusie.

Anna wspomina początki edukacji swojego syna. Jego wychowawczyni codziennie po zakończonym dniu w szkole pisała w dzienniku elektronicznym, co tego dnia robiły ich dzieci i co będą robić jutro. – To w pewien sposób upośledza dzieci. Wszystko jest napisane, rodzic wie wszystko i nie musi niczego od dziecka wymagać. Skoro nauczyciel pisze, że dziecko ma przynieść do szkoły kasztany, to jest to wiadomość do rodzica. A nie dziecka. Ono już o tym pamiętać nie musi. A jeśli nie przyniesie, to nie będzie to jego wina, tylko mamy, bo mama miała informację i zapomniała. W ten sposób nie uczy się dzieci, że same powinny pamiętać.

Anna mówi, że rodzice chcą, by nauczyciele pisali o wszystkim w dzienniku elektronicznym, a z drugiej strony wymagają od nich, by uczyli dzieci odpowiedzialności i samodzielności: – To nie idzie w parze.

Polonistka zauważa, że jeśli dziecko nie wzięło ze sobą plasteliny czy kasztanów, to nie potrafi sobie z tym poradzić. Nie organizują się między sobą. Rzadko się zdarza, by pożyczyły jedno od drugiego.

– Pierwszym krokiem jest telefon do rodzica, żeby on rozwiązał sprawę. A rodzic często dzwoni do wychowawcy. I ten ma albo dziecko usprawiedliwić u innego nauczyciela, albo pomóc mu rozwiązać sytuację – mówi. Anna.

– To są drobne problemy, z którymi my jako dzieci sobie radziliśmy. One mają nas nauczyć rozwiązywać później te bardziej skomplikowane. Teraz rodzice rozwiązują za dzieci te błahe sprawy i dlatego później one sobie nie radzą z większymi problemami.

Anna do służbowego dziennika elektronicznego nie wchodzi w weekendy. Unika komunikacji z rodzicami w tym czasie. To, jak mówi, czas dziecka z rodzicem.

Rodzicom zdarza się pisać o konfliktach między dziećmi, także tymi na komunikatorach typu Messenger. Nauczycielka nie potrafi przeczytać o czymś takim i odciąć się od tego. Ta informacja w niej jest, krąży, już szuka rozwiązania. Nie odpoczywa,

nie regeneruje się. Dlatego woli dziennika elektronicznego po pracy nie sprawdzać. Chyba że musi, bo są jakieś zastępstwa czy zmiany w planie lekcji.

Wspomina o tym, że teraz mówi się dużo o stresowaniu dzieci w kontekście szkoły – by nie było recytacji wierszy, odpytywania przy tablicy czy czytania na głos.

– Owszem, to jest stresujące, ale całe życie jest stresujące. Małymi krokami musimy stres oswajać. A tego nie robimy. Oszczędzamy go dzieciom i one później się zderzają z czymś, co jest dla nich zupełnie nowe i czego one w żaden sposób nie mogą oswoić, nie mogą pokonać.

Może to za daleko idąca teoria, ale zastanawiam się, czy te problemy psychiczne u dzieciaków nie są związane z tym, że one po prostu nie umieją sobie radzić z tymi małymi problemami, bo są wyręcane często przez rodziców. I one później nie są w stanie udźwignąć tego, co je spotyka w tym świecie – zastanawia się pedagogożka.

Rodzice uczniów, których Anna jest wychowawczynią, wymogli na niej założenie grupy w internecie, w której jest ona i jej uczniowie. W grupie dzieciaki miały udostępniać nieobecnym informacje na temat zadań domowych oraz przysyłać notatki.

Jeszcze niedawno uczeń nieobecny na lekcji musiał sam sobie zorganizować zeszyty, pożyczyć od kolegi czy koleżanki, przepisać i często jeszcze tego samego dnia odnieść. Teraz o to chcą dbać rodzice. Tyle że ich pomysł często zderza się ze ścianą, którą są ich własne dzieci.

Anna zdradza, że uczniowie nie kwapili się do dzielenia tymi informacjami, i to nawet wtedy, gdy do tego zadania była wyznaczona – rotacyjnie – konkretna osoba.

– Szukają wymówek, a to, że ich nie ma teraz w domu albo będą w nim bardzo późno. Mam w klasie jedną dziewczynkę, która bez względu na to, czy jest jej kolej, czy nie, prześle zdjęcie ze swoich zeszytów. Trudno zrozumieć, dlaczego dzieciaki

mają takie podejście. Słyszałam, że w jednym z liceów nie chcą dzielić się z nieobecnymi notatkami, bo ścigają się na średnie, na miejsce w rankingu. Ale tu mówimy o szkole podstawowej – kręci głową nauczycielka.

Dla szkół specjalnych podręczników nie ma

– Rodzic, wiadomo, walczy o swoje dziecko i temu też się trudno dziwić. Są i tacy, którzy uważają, że ich dziecko jest najważniejsze w szkole. Ale większość wie, że u nas ich dzieci dostaną odpowiednią pomoc, więc wspólnie rozwiązujemy problemy – mówi uczący od ponad 30 lat w szkole specjalnej Tomasz.

Zebrań z rodzicami, przypomina, nie ma wiele. Jedno na początku roku, drugie przed końcem pierwszego półrocza i po jego zakończeniu oraz ostatnie na koniec roku szkolnego. A jeżeli jest taka potrzeba, rodzic może się spotkać z wychowawcą klasy lub, gdy ten będzie miał akurat lekcje, z dyrektorem, bo on jest zawsze dostępny.

Do dyspozycji uczniów i rodziców oprócz nauczycieli i dyrekcji są także psychologodzy i terapeuci. To wszystkie osoby, które mają kontakt z dziećmi.

Problemy, które są w szkole specjalnej, a których nie ma w szkołach masowych? – Podręczniki – Tomasz się nawet nie zastanawia. – Ministerstwo od dawna nie przygotowuje podstawy programowej do

szkół ze specjalnymi potrzebami. Korzystamy więc z tych podstaw i podręczników ze szkół ogólnodostępnych.

Tyle że nasi uczniowie nie wszystkie treści są w stanie przyswoić, nieraz nie rozumieją słownictwa w tych podręcznikach. Kiedyś były książki do wszystkich przedmiotów dla dzieci z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim. Teraz my musimy wybierać z podręczników treści i dostosowywać je do naszych uczniów – tłumaczy.

Ważna jest praca w domu, którą wykoną rodzic z dzieckiem, ale nie ma się co oszukiwać – rodzic nie zawsze potrafi pomóc.

Ważnym elementem edukacji uczniów szkoły specjalnej jest egzamin zawodowy. Uczniowie kształcą się w na pomocników, na przykład ślusarza czy kucharza. – Nasi absolwenci są świetnymi pracownikami. Jak dostaną zadanie, to wykonają je dokładnie i sumiennie, bo tak zostali nauczeni. Oni naprawdę są fajni. Tylko ten system jest kiepski – podsumowuje.

Od znanych nauczycieli uczących w innych szkołach słyszy opowieści, w których rodzice uważają swoje dzieci prawie za geniuszy, ale oceny tego nie potwierdzają. – A to jest oczywiście winą szkoły czy złego nauczyciela – ironizuje Tomasz.

Wstydę się przyznać, że jestem nauczycielką

– Generalizowanie jest moim zdaniem krzywdzące – uważa Katarzyna, polonistka z ogólniaka z ponad 30-letnim stażem pracy. Mówi, że jeżeli ktoś będzie próbował znaleźć „winnego” w relacji nauczyciel – rodzic, to stereotyp obrazi i jednych, i drugich.

Pedagożka spotyka bardzo różnych rodziców – takich, którzy chętnie z nauczycielami współpracują, interesują się dziećmi, ale i tych, jak to się mówi, roszczeniowych.

– Jest grupa rodziców, która uważa, że za wszelkie sukcesy ich dziecka odpowiedzialni są oni sami, a za porażki – nauczyciele.

Często odnosi wrażenie, jakby rodzica interesowała jedynie ocena dziecka, a nie to, co ono rzeczywiście potrafi, czego się nauczyło.

Kiedyś normą było, że gdy uczeń ma problem z zachowaniem czy nauką, w szkole zjawiał się rodzic, który poprosił o wsparcie, przymknienie oczu na coś czy o wytłumaczenie. – Dzisiaj zdarzają się przypadki, i to sporo, w których rodzic przychodzi, żąda, straszy, obraża, krzyczy – opowiada polonistka.

Rodzice straszą nauczycieli kuratorium czy mediami. Potrafią wejść na lekcję i przy innych uczniach wulgarnie odzywać się do nauczyciela. Trudno reagować, bo człowiek zamiera zaskoczony tym, co się dzieje.

Gdy jednak pierwszy szok mija, nauczyciele starają się odseparować awanturnika od uczniów i uspokoić jego emocje, by móc spokojnie porozmawiać.

– Nie zawsze udaje się uspokoić rodzica do tego stopnia, żeby mógł merytorycznie rozmawiać – przyznaje polonistka. W takich sytuacjach pedagogzy nie mogą reagować emocjonalnie, bo to oznacza nieprofesjonalne zachowanie.

– Mnie się dotychczas udawało rozwiązywać takie niesnaski z rodzicami. Ale wie pani, ja kiedyś od jednego z nich usłyszałam, że żyjemy w wolnym kraju, w którym



• W tym samym momencie co moje dziecko wiem, jaką dostało ocenę, wiem, czy jest w szkole, czy nie FOT. DAWID CHALIMONIUK / AGENCJA WYBORCZA.PL

jest wolność słowa, i że on może mówić to, co mu się żywnie podoba, i to w dowolny sposób. Kompletnie pomylenie wolności z kulturą osobistą – ocenia.

– Myślę, że takie zachowania rodziców to konsekwencja tego, że od wielu lat, bo to nie tylko za rządów PiS-u, zawód nauczyciela był odzierany z szacunku – mówi Katarzyna. Nie twierdzi, że wśród nauczycieli są sami święci, bo trudno, by w zawodzie liczącym blisko 600 tys. pracowników wszyscy byli doskonali.

Zdarzają się źli nauczyciele, zdarzają się sytuacje, do których nie powinno dochodzić. Tyle że społeczeństwo ma tendencję do tego, by każde złe doświadczenie rozciągać na całą grupę. Generalizować.

Katarzyna spotyka się także z rodzicami, którzy jakby nie dostrzegali zmian w świecie. Uważają, że jeżeli coś było dobre 20 czy 30 lat temu, dalej jest najlepsze. Tymczasem, jak mówi polonistka, we współczesnej szkole nie brakuje treści nieprzystających do współczesności, za mało jest za to tych rozwijających kompetencje i umiejętności uczniów. Niektórzy mogą je rozwijać w domu, inni nie.

Szkola jest przestarzała. – Poczynając od treści, a na formach edukacji kończąc – ocenia polonistka. Dodaje: – To powoduje spięcia na linii nauczyciel – rodzic.

Kontynuując: – Mamy bardzo zły PR. Jesteśmy postrzegani jak lenie patentowane, które nic nie robią, mają mnóstwo czasu wolnego.

Mówi o micie zakorzenionym w polskiej mentalności, zgodnie z którym nauczyciele będą „grupą Staś Bozowskich” żyjących misją edukacyjną i powietrzem, która uczyni ich najszcześliwymi.

Nauczyciele byli kiedyś grupą poważaną. To był prestiżowy zawód. – A teraz? Jak mnie ktoś czasem zapyta, czym się zajmuję, to unikam odpowiedzi. Wstydzę się przyznać, że jestem nauczycielką. To często wywołuje niefajne reakcje – przyznaje polonistka. – Zniszczono etos tego zawodu. I nie będzie łatwo, by to zmienić. Trudno się dziwić, że tak niewiele osób chce iść do tego zawodu.

Nauczyciele nie mają wielu rzeczy: poważania, dobrych wynagrodzeń, prostej pracy. I dochodzą jeszcze rodzice. Katarzyn-

na wspomina o młodej kobiecie, która mogłaby pracować gdziekolwiek, ale wybrała szkołę: – Miała wielki zapal, z sercem podchodziła do dzieci, bardzo chciała uczyć. Ale rodzice ją sponiewierali. Zniszczyli psychicznie.

Nie dziwi się młodym pedagogom, którzy po doświadczeniu hejtu w szkole odchodzą. Ona ze szkoły nie odejdzie. Do emerytury zostało jej tylko kilka lat.

– Tak naprawdę rodzice są emanacją społeczeństwa i tego, co społeczeństwo myśli o nauczycielach – uważa. W sądzie człowiekowi muszą udowodnić winę. Tymczasem w szkole, gdy jest konflikt na linii nauczyciel – rodzic, to ten pierwszy musi udowodnić, że jest niewinny. A czasem trudno udowodnić, że nie jest się wielbłądem – wzdycha polonistka.

Dziewczynka gra w kółko i krzyżyk

Eliza jest nauczycielką wychowania wczesnoszkolnego. W pierwszym roku pracy w podstawówce od razu dostała duże wyzwanie: wychowawstwo w pierwszej klasie.

Tegoroczny czerwiec przyniósł jej pożegnanie z trzecią z prowadzonych przez nią klas. – Przyzwyczaiłam się do tych pożegnań. Są wzruszające, owszem, ale to normalna kolej rzeczy – mówi Eliza. Pożegnania z niektórymi klasami są łatwiejsze, z innymi trudniejsze.

– Jeżeli ktoś sprawia ci przykrość, nie jest zbyt uprzejmą i życzliwą osobą, to z taką osobą nie pracuje się zbyt dobrze.

– Masz na myśli rodziców czy dzieci? – Właściwie to jednych i drugich – przyznaje.

Eliza mówi, że grono pedagogiczne zawsze zastanawia się, dlaczego dziecko jest nieżyczliwe czy nieuprzejme. Starają się nad tym pracować. Z uczniem i z jego rodzicem. – Prawda jest bardzo prosta. Nie wymyślę nic nowego. Jeśli rodzic jest osobą mało doceniającą, wytykającą błędy i roszczeniową, to niestety, często dziecko jest jego odbiciem – tłumaczy.

Eliza we wrześniu dostała pod opiekę nową klasę. Lubi pracować z pierwszaki: – One są jeszcze trochę jedną nogą w przedszkolu. Pracuję z nimi inaczej. Jest więcej zabawy, integracji i nauki przez zabawę.

Dla niektórych rodziców pierwszaków pójście ich pociech do szkoły to pierwsze od dawna doświadczenie z oświatą. Nierzadko od momentu, gdy sami skończyli edukację. – Rodzice, którzy mają dziecko w starszych klasach, są spokojniejsi o pierwszaków. Często znają już szkołę, nauczycieli, wchodzą w pewną organizację, która nie jest im obca – tłumaczy Eliza.

Najważniejsze dla opiekunów dzieci, mówi nauczycielka, jest to, by ich pociecha była lubiana i została zaakceptowana. Niektórzy rodzice obawiają się tego, że ich dziecko może w ławce siedzieć samo al-

bo nie będzie miało z kim się bawić. – Nierzadko rodzice w podaniach do szkoły sugerują, by ich dziecko znalazło się w klasie z osobą, którą zna z podwórka lub przedszkola. To może ułatwić start, ale z moich doświadczeń wynika, że dzieci szybko się adaptują.

Zdarza się jednak i niestety tak, że grupa odrzuca jakąś osobę. Wychowawca rozmawia z dziećmi, włącza szkolnego pedagoga. Nauczycielka pamięta, jak dzieci odrzuciły chłopca, bo dłużej w nosie. – Dzieci się brzydziły – wspomina Eliza. Dziecku udało się wytłumaczyć, by w nosie nie dłużyło, a klasa się do niego przekonała.

Innym razem jedna z jej uczennic była trochę odrzucona przez grupę, bo narzucała, co inni mają robić, w co się bawić. Dzieci czuły się przymuszane.

Bywa, że rodzice proszą nauczycieli o interwencję. Eliza wspomina, jak przyszli do niej rodzice dziewczynki, która czuła się odrzucona. W domu płakała.

– Z moich obserwacji wynikało, że klasa ją lubi, to zresztą deklarowały dzieci, dziewczynka była zapraszana do zabaw. Ale ona czuła się inaczej – opowiada. Nauczycielka nie chce psychologizować, bo – jak mówi – nie jest psychologką, ale ta uczennica mogła mieć zaniżone poczucie własnej wartości. Trafiła do szkolnej psycholożki.

– W szkole nie prowadzimy dzieciom terapii. To spotkania interwencyjne, cykle zajęć i rozmów, a czasem dzieciom potrzeba więcej – przypomina nauczycielka. Tej dziewczynce pomogło spotkanie z psycholożką. A Eliza namówiła uczennicę na poprowadzenie turnieju w kółko i krzyżyk. Zrobiła również roszadę w usadzeniu klasy. Dziewczynkę posadziła z dwiema empatycznymi uczennicami. One włączyły ją w swoje zabawy.

Nauczyciele muszą być dobrymi obserwatorami. Ale nawet baczna obserwacja klasy może nie wystarczyć, gdy w niej jest za dużo osób. – Trzeba być bardzo uważnym – potwierdza Eliza. – Jeżeli pewne problemy znikną na początku, to będą się rozwijać. To jest oczywiście wyzwanie, ale bardzo ciekawe. Pracujemy na delikatnym materiale dziecięcym.

Eliza nie uczyła w szkole przed dziennikiem elektronicznym. Jest do niego przyzwyczajona.

– Rodzice piszą jakieś elaboraty? – Rzadko. Skłamałabym, mówiąc, że nie ma w ogóle rodziców z pretensjami, ale mam takie doświadczenie, że komunikacja obydwa się bez przemocy, raczej jest asertywna i pełna szacunku. Jeżeli ktoś się ze mną nie zgadza, to robi to w sposób kulturalny. Zdarzają się wiadomości chamskie, ale to rzadkość. Tyle że nawet taka pojedyncza wiadomość wpływa na nasze samopoczucie – mówi nauczycielka. ●

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski;
MAGAZYN-KULTURA: Agata Zelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwiat
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 4d2c24c17c

1 RP

W sporcie nie chodzi o medale

WYSPORTOWANY JAK BRYTYJCZYK

Na studiach biegam, wiosłuję i rzucam do kosza, bo tu są moi przyszli szefowie, klienci, wyborcy. Albo po prostu przyjaciele

Mateusz Mazzini

Na pierwszej sesji treningowej było nas około 60. Część przyszła dla żartu, było widać od razu. Zamiast właściwego obuwia – co najmniej do kostki – mieli zwykłe trampki. Już przy pierwszym ćwiczeniu każdy laik połapałby się, że z piłką do koszykówki mieli niewiele wspólnego.

Nasz trener, Kanadyjczyk, człowiek aż zanadto wybuchowy, nie wyjmował gwizdka z ust. Co kilka minut odprowadzał kolejnych chłopaków do szatni.

Taka selekcja nikogo nie dziwiła, w końcu koszykówka to w Wielkiej Brytanii sport marginalny, a zainteresowanie napędzają obcokrajowcy. Im dłużej trwała sesja, tym robiło się trudniej – właśnie dlatego, że autochtonów nie było już na parkiecie prawie w ogóle.

Trener, dla którego była to fucha po godzinach, bo na uczelni był przede wszystkim wykładowcą w katedrze studiów strategicznych, zostawił w grupie 16 studentów. Podzielił nas na dwie drużyny. Wybrał pierwsze piętki i kazał zagrać krótki mecz.

Ostatecznie drużyna uniwersytetu, na którym zaczynałem studia – Aberystwyth University w Walii, na zachodnim krańcu Wielkiej Brytanii – miała liczyć 12 osób. Wiedzieliśmy, że czterech jeszcze odpadnie. Dla każdego sportowca, nawet amatora, takie rozgrywki są trudne. Z jednej strony musisz wypaść jak najlepiej, z drugiej – to jednak gra zespołowa, nie możesz jej zawłaszczyć. Osobowości, które to robią, często nie wybiera się do drużyny. Bywają toksyczne, destruktywne.

Kanadyjczyk rzucił nam piłkę, a Virginijus podszedł do mnie i zapytał: – Kto rozgrywa, ty czy ja? Choć obaj byliśmy na pierwszym roku i studiowaliśmy ten sam kierunek, była spora szansa, że gdyby nie koszykówka, nigdy byśmy nie zamienili słowa. Na roku były nas dwie setki, on potem wybierał zupełnie inne przedmioty i inne stowarzyszenia studenckie. Był zresztą skryty, niepewny swojego angielskiego. Wyglądał, jakby tęsknił za domem, trzymał się głównie z rodakami. Zwłaszcza z pozostałymi dwoma, starszymi, którzy też grali w kosza.

• Mecz rugby na Aberystwyth University w Walii, gdzie studiował autor tekstu. On jednak od rugby wołał koszykówkę

FOT. ABERCPC / ALAMY
STOCK PHOTO

Zasady były dla wszystkich takie same – bezlitosne. Nawet Czech, który w Aberystwyth studiował od licencjatu do doktoratu, co roku musiał się stawiać na selekcji.

On, skromny chłopak z Litwy, na boisku zamieniał się w bestię. Bywał egoistyczny, nawet bardzo, ale niczego się nie bał. Próbowal mijać wszystkich: niższych, wyższych, silniejszych. W każdej kryzysowej sytuacji brał na siebie odpowiedzialność. Wyglądał i zachowywał się, jakby z piłką do kosza się urodził.

To akurat typowe, na Litwie koszykówka jest nie tyle sportem, co narodową religią, kraj produkuje utalentowanych zawodników taśmowo. Ale z każdym kolejnym meczem widać było też, jak on sam się zmienia. Nabiera pewności siebie także poza halą. Żartuje w szatni, czasem wyjdzie na piwo. Po kilku miesiącach zobaczyłem go w bibliotece z kimś innym niż grupka rodaków. Zaczął udzielać się na wykładach. Z zahukanego 19-latka z Europy Wschodniej przeistaczał się w pełnowymiarowego członka społeczności studenckiej na najstarszym wydziale stosunków międzynarodowych na świecie.

Po Aberystwyth zniknął mi z radaru. Nie był przesadnie aktywny w mediach społecznościowych. Wiedziałem tylko, że na chwilę wrócił do kraju, od razu po licencjacie zaczął pracę. Pojawił się znowu w 2019 r., dekadę po tym pierwszym pytaniu na boisku do koszykówki.

Zobaczyłem jego nazwisko wczesnie rano w jednym z newsletterów zagranicznych redakcji. Virginijus Sinkevičius był właśnie powoływany na unijnego komisarza ds. środowiska naturalnego w Komisji Europejskiej, której przewodniczyć zaczynała Ursula von der Leyen.

Tej kariery by nie było, gdyby Virgis, jak na niego wołaliśmy, nie poszedł spróbować dostać się do koszykarskiej reprezentacji swojego uniwerku. Nie zostałby przyjęty do grupy, w której bariera językowa nie przeszkadzała, a która, dzięki naturze sportu, wyrównywała szanse na starcie. Nie chodzi o szanse akademickie, tylko społeczne. W końcu na samym początku studiów w innym kraju, zaraz po pierwszej wyprowadzce z domu, potrzeba akceptacji w nowym środowisku jest ogromna.

Wielu było zresztą studentów – wśród nich masa Polaków – którzy takiej pomocnej dłoni, jaką Virgis dostał od koszykówki, nie otrzymali. Także dlatego, że sami po nią nie sięgnęli. Zamykali się w swoich narodowych bańkach, unikali kontaktu z resztą studentów.

Najczęściej studiów nie kończyli, wracali do domu po roku-dwóch.

To nie jest historia przechadzka o wysoko postawionym koledze z uczelni ani egzotyczna opowieść o graniu w koszykówkę w Walii w drużynie złożonej z Kanadyjczyka, Greka i 12 facetów z Europy Wschodniej. To anegdota o tym, co w życiu może zmienić sport na zwykłym, amatorskim poziomie.

Porozmawiamy wrzecie o tym, że regularne uprawianie sportu, nieważne jakiego, ale uprawianego w przestrzeni publicznej: klubach, drużynach, oddolnych grupach skrzykiwanych na Facebooku, daje połowie świata coś,

w czym my, Polacy, jesteśmy bardzo słabi – buduje wspólnotę.

Sport to nie tylko inwestycja we własne zdrowie. Sport to inwestycja we wszystkich, którzy nas otaczają, i nie trzeba od razu dzieciom planować karier na miarę Leo Messiego w drogich szkołkach piłkarskich.

Rozumiany jako dobro powszechne, do którego dostęp jest łatwy i w dużej części darmowy, sport jest podstawą rozwoju silnego, zbilansowanego społeczeństwa. Czasami bywa dźwignią awansu, prowadzi do kariery i dużych pieniędzy. W większości przypadków jednak nie przeradza się w nic namacalnego w samej sferze sportowej. I nie musi. Wystarczy, żeby w niektórych momentach wyrównywał szanse, w innych te szanse dawał, w jeszcze innych – zapewniał inne spojrzenie na siebie i wszystkich wokół.

Poprzez uprawianie sportu wychodzimy z domu, poznajemy bliższą i dalszą okolicę. Zapisując się do klubów, wchodzimy w interakcję z innymi ludźmi, często z odległych segmentów społeczeństwa – a to coraz rzadsze w czasach, w których dzięki aplikacjom randkowym nawet związki budujemy na podstawie geograficznej – więc i klasowej – bliskości. Coś robimy dla siebie, coś robimy dla innych.

Krótko mówiąc, sport robi z nas lepszych obywateli, przez co stajemy się lepszym społeczeństwem.

Po igrzyskach w Paryżu, na których reprezentacja Polski wypadła słabo, żeby nie powiedzieć – katastrofalnie, toczy się typowa cykliczna dyskusja o przyczynach klęski. Choć medalowy wynik Polaków ilościowo wcale nie był gorszy od normy wypracowanej na kilku poprzednich turniejach (10-11 medali zdobywaliśmy na pięciu z ostatnich sześciu letnich igrzysk, czyli przez ćwierć wieku), to martwi jakość. Jeden złoty medal po raz ostatni zdobyliśmy w 1956 r. w Melbourne.

Powie ktoś – takie porównania nie mają sensu. Wiele zmieniło się nie tylko w treningu, fizjologii, psychologii; w kwestiach nie dotyczących sportu bezpośrednio, ale wpływających na wyniki olimpijskie, rzeczywistość też wygląda zupełnie inaczej. Kilka wojen, w tym jedna w Europie, skandale dopingu, wykluczenie większości rosyjskich i białoruskich sportowców, dodanie nowych dyscyplin, głębokie reformy polityki sportowej wprowadzone przez Wielką Brytanię, Holandię czy Włochy – inny świat.

Ale w Polsce przecież też wiele się zmieniło. Jesteśmy społeczeństwem dużo bogatszym, lepiej wykształconym, zagraniczni trenerzy i ogólne sportowe know-how chętniej do nas zaglądają. Finansujemy sport w coraz większym stopniu, to stawało się nawet elementem polityki głównego nurtu.

Mamy wszystko, żeby ze sportu czerpać korzyści: i te społeczne, poprawiające ogólną jakość życia, i te konkretne, dla wąskiej grupy ludzi: medale, rekordy, tytuły mistrzowskie. Skoro jest tak dobrze, to czemu jest tak źle?

Ta rytualna dyskusja o olimpijskiej porażce nie ma większego sensu z punktu widzenia systemowego. Pod różnymi postaciami wybucha



• Aberystwyth University kontra Plymouth University. Mecz żeńskich drużyn w lacrosse (dyscyplina uznawana za pierwowzór hokeja na lodzie)



• Drużyna Cambridge przed wyścigiem wioślarskim z drużyną z Oxfordu (zdj. z 1961 r.)
Stylna rywalizacja ósemek na Tamizie pierwszy raz odbyła się w 1829 r. i jest regularnie rozgrywana od 1856 r. (z wyjątkiem II wojny światowej i epidemii COVID-19)

Kolega z Wysp wylicza sporty, których spróbował w zwykłym brytyjskim liceum. Wioślarstwo, wspinaczka, squash, szermierka, żeglarstwo, siatkówka, rugby, biegi przełajowe plus krykiet „w ramach ćwiczenia intelektualnego”



• Virginijus Sinkevičius – teraz litewski komisarz UE ds. środowiska naturalnego, a kilka lat temu podpora koszykarskiej drużyny Aberystwyth University

FOT. EU/MICHELE SPATARI

co dwa lata (biorąc też pod uwagę igrzyska zimowe). Bronią spierających się stron są zawsze złe wydane pieniądze: działacze wożą się na imprezy, dla zawodników brakuje wszystkiego, wszędzie prowizorka.

W bieżącej odsłonie ten konflikt ma szczególnie wysoką temperaturę, bo jest książkowym przykładem sporu definiującego całą naszą politykę. Oto w jednym narożniku staje minister sportu Sławomir Nitras, wojownik PO, przez niektórych uważany wręcz za fanatyka swojej drużyny/partii, zawsze skory do konfrontacji. Po drugiej – Radosław Piesiewicz, faworyt środowiska PiS, akolita Jacka Sasina, równie mocno kochający uwagę publiczną.

Nitras pierwszy przystąpił do ofensywy, zarządził kontrole finansów w poszczególnych związkach. Piesiewicz odpowiedział tournée po mediach, w tym niekoniecznie przychylnych prawicy, jak TVN, tłumacząc, że naszym sportowcom niczego ani w Paryżu, ani w czasie przygotowań nie brakowało. Słowem, dwaj politycy zarzucają sobie kłamstwa. Jesteśmy już wszyscy na tyle doświadczeni, żeby wiedzieć, że ta dyskusja do niczego nie doprowadzi.

Przede wszystkim dlatego, że to nie w związkach czy w sposobie wydawania pieniędzy leży problem polskiego sportu – rozumianego szeroko jako ważny komponent zdrowego społeczeństwa.

Skuteczniejsze wydanie nawet kilkunastu milionów złotych w kilku dyscyplinach nie pchnie nas dużo wyżej w klasyfikacji medalowej.

Medali będzie czasem więcej, czasem mniej. Ale raczej mniej

niż więcej, bo świat nam odjeżdża z zawrotną prędkością. Nie tylko dlatego, że masy wychodzą z biedy w Afryce czy Ameryce Łacińskiej i ludzi tam zaczyna być stać na uprawianie sportów technicznych, wymagających infrastruktury i trenerskich kompetencji. Także dlatego, że kraje, z którymi moglibyśmy się porównywać pod względem bogactwa, populacji, poziomu życia i edukacji – chodzi głównie o Europę – będą nam uciekać jeszcze bardziej.

Podczas gdy tam sport jest elementarną częścią życia społecznego, u nas – po prostu towarem. Uległ prywatyzacji, zwłaszcza w miastach, gdzie wprawdzie klubów i ośrodków różnych dyscyplin jest cała masa, ale mają coraz wyższy próg wejścia finansowego.

W dodatku trudno się spodziewać, że w dużych miastach uda się wychować mistrzów olimpijskich. Tu konkurencja z innymi drogami życiowymi jest zbyt duża. Nasze społeczeństwo bardziej ceni model rozwoju osobistego prowadzący przez wyniki w szkole (nie mylić z nauką), dostanie się na odpowiednie studia, a potem przez pracę dającą status finansowy. Sport tu tylko przeszkadza, a jeśli już się pojawia, to właśnie jako wyznacznik statusu rodziców. Patrząc, drodzy sąsiedzi, mój kilkuletni szkrab jedzie w wakacje na trzy obozy z trzech różnych dyscyplin.

Na wsiach i w mniejszych miastach byłoby do sportu zachęcić łatwiej, ale tam z kolei brakuje wszystkiego: kadry, ośrodków, boisk, sprzętu. Tak tworzy się polskie błędne koło: w dużych miastach dzieci nie ćwiczą, bo mają za dużo

wszystkiego innego, poza dużymi miastami – nie ćwiczą, bo nie mają niczego, żeby ćwiczyć. W efekcie nie ćwiczy nikt.

Kraje, które odnoszą sukcesy w sporcie zawodowym, najczęściej oferują obywatelom co najmniej kilka różnych dróg rozpoczęcia przygody ze sportem jako takim. Można przytaczać statystyki najlepszych, jak Norwegia, gdzie aż 85 proc. populacji uprawia jakąś formę aktywności fizycznej – ale to wynik radykalny, wywodzący się z utrwalanego przez wieki poczucia bliskości z naturą, jak również z geografii kraju. Poziomu Norwegów nie osiągniemy. Ale można popatrzeć na kraje, w których pogoda jest mniej sprzyjająca, a nierówności społeczne są jeszcze większe niż w Polsce – na przykład na Wielką Brytanię.

Podczas studiów na Wyspach poznałem kilkaset osób, które uprawiały regularnie sport, najczęściej w klubach uniwersyteckich. Byli to Brytyjczycy i przedstawiciele innych nacji, mężczyźni i kobiety. Trenowali wszystko, od piłki nożnej, koszykówki i siatkówki po la-crosse, biegi przełajowe i surfing. Tu postaram się oddać pierwszy argument, jaki na pewno padnie w dyskusji: że brytyjskie uczelnie są bogate, mają świetną infrastrukturę, łatwiej więc zachęcić ludzi do sportu. To prawda tylko w niektórych przypadkach.

Mój mały walijski uniwersytet dysponował jedną salą treningową wyglądającą jak typowa sala gimnastyczna polskiego liceum. Do tego dwa boiska, siłownia, bieżnia lekkoatletyczna i basen. Nie brzmi to jak opis treningowego imperium niemożliwego do powtórzenia w warunkach szóstej największej gospodarki UE. Później, na Oksfordzie, sport był jeszcze bardziej powszechny. Punktem odniesienia byli wszechobecni wiosłarze, bo każdy college ma własny klub wiosłarski – a w nim często sześć czy osiem zalog.

Oni wstawali kilka razy w tygodniu przed 6 rano, wsiadali na rower, schodzili na wodę, a potem widywaliśmy ich w bibliotece czy na zajęciach. Dla nikogo nie było to obowiązkowe, większość przygodę z wiosłowaniem zaczynała i kończyła na uczelni. Ale kiedy pytałem ich, po co to właściwie robią, odpowiadali, że właśnie dlatego: chcą, nie muszą.

Często wspominali, że skoro zobowiązali się do czegoś na początku trymestru, to mają motywację, by trenować dalej – w końcu wiosłarstwo to sport drużynowy, ósemka bez jednego wioslarza nie popłynie w zawodach. Inni mówili, że treningi pozwalają im lepiej zorganizować dzień czy tydzień pracy – a na uczelni, na której ma się zaledwie kilka godzin zajęć w tygodniu, a większość pracy trzeba wykonać samemu, to akurat walor trudny do przecenienia.

Krótko mówiąc, młodzi ludzie uprawiali sport na różnym poziomie, z różnych powodów. Ale uprawiali. Żeby jednak upewnić się, że to nie tylko moje wykrzywione doświadczenie, pytam znajomych, którzy studiowali, uczyli się, mieszkali w innych krajach – czy też odbierali sport jako integralny element życia społeczności.

I słyszę historie jeszcze bardziej wymowne. Była współlokatorka, warszawianka, która wiosło-

wać nauczyła się na uczelni, przeszła drogę od zera do uniwersyteckiej kadry i wiosłuje do dziś, szukając okazji nawet w czasie podróży służbowych.

Moi koledzy, dziś inwestorzy i konsultanci, którzy przed studiami nie uprawiali sportu w zorganizowanej formie, na uczelni stworzyli połowę męskiej reprezentacji Oksfordu w siatkówce.

Wszystkim zadają to samo pytanie – co pchnęło ich do sportu na początku. W końcu zapisanie się do którejś z uniwersyteckich drużyn nie było oczywiste, a w przypadku Polaków nawet kontrintuicyjne. W końcu wywodzili się ze społeczeństwa kładącego ogromny nacisk na naukę kosztem innych aktywności zabierających czas, uwagę i energię. Mogli zrobić dojsz do wniosku, że bardziej opłaca się zakuwać w bibliotece niż walczyć o miejsce w reprezentacji piłkarskiej czy hokejowej. Wreszcie, jak Virgis, byli wrzuceni w całkowicie nowe środowisko – intelektualne, kulturowe, językowe.

A mimo to tłumnie zgłaszali się na pierwsze treningi właściwie we wszystkich dyscyplinach. Krótka kwerenda przynosi historie o uprawianiu piłki nożnej, koszykówki, siatkówki, ale też rugby, szermierki, squasha, narciarstwa zjazdowego, a nawet latania szybowcami.

Najczęściej słyszę, że sport wziął się dosłownie z powietrza. Po prostu ich otaczał. Wprowadzając się do akademików, na dzień dobry poznawali ludzi albo mających już doświadczenie w sportach na uczelni, albo takich, którzy kontynuowali zajęcia ze szkół średnich. Zwłaszcza Brytyjczycy mieli powszechne doświadczenie dziecięcej i nastoletniej rywalizacji w różnych dyscyplinach – z miejsca więc szli do klubów uniwersyteckich.

Polakom autentycznie robiło się wtedy głupio. Dołączali, choćby na próbę, żeby nie odstawać od reszty już na samym początku.

Przyjaciółka, która na studiach na Wyspach zaczęła wiosłować, opowiada mi, że w polskiej szkole nie znosiła wufu. Te lekcje opisuje tyleż plastycznym, co smutnym obrazkiem. Otwierały się drzwi od kantorka, najpierw wydobywał się dym papierosowy, potem wytaczała się piłka – i tyle. Na Wyspy przyjechała więc z awersją do sportu.

Porzuciła ją, kiedy zaproponowano jej szkolną jogę. Bez przymusu, z wyboru, aktywność dopasowana do jej potrzeb. Potem w jej życiu pojawiło się wiosłarstwo – na zasadzie czystego eksperymentu.

– Byłam na pierwszym roku. Starsza koleżanka dała mi radę: jesteś na samym początku, próbuj wszystkiego. To nic nie kosztuje, a może ci się spodobać. Najwyżej zrezygnujesz. Ale lepiej teraz sprawdzić się w czymś nowym, niż próbować potem dołączyć.

Poszła więc na trening próbny. Została – na cztery lata, do końca studiów magisterskich. Teraz wiosłuje wszędzie, gdy tylko się da, choć mury uczelni opuściła ponad dekadę temu. I co chwila wtrąca anegdoty, jak wiele sport dał jej w karierze. Bez wchodzenia w prywatne detale – samodyscyplinę, świadomość celu, zaufanie do innych i odpowiedzialność za nich. Ale też otworzył, jeszcze w Wielkiej Brytanii, bramę do networkingu. Stworzył doskonały punkt zaczepienia na rozmowie rekruta-

cyjnej. Coś, co robi wrażenie w CV. To nie teoria – wielokrotnie w kolejnych latach, już jako absolwentka, wracała na uczelniane wydarzenia sportowe – spotykając tam ludzi ze swojej branży, do których w innych okolicznościach albo nie dotarłaby nigdy albo dobiłaby się długimi tygodniami.

Najbardziej wymowna była jednak relacja znajomego, dziś pracującego w sektorze edukacji, który do Wielkiej Brytanii wyjechał w szkole średniej. – W polskiej szkole byłem kujonem. Z tego względu ani nie byłem sportem zainteresowany, ani nie byłem w nim dobry. Zawsze do drużyny wybierano mnie jako ostatniego, sport to nie była żadna frajda. Wszystko się zmieniło, kiedy wyjechałem do Wielkiej Brytanii.

Opowiada, że na Wyspach sport uprawiali wokół niego prawie wszyscy. Niektórzy byli świetni, inni nie. Podkreśla, że nie było to wcale wprost czy odwrotnie proporcjonalne do wyników w nauce.

– Stało się coś, czego się nie spodziewałem: polubiłem sport. Samą czynność, choć wiadomo, nie każdą. Ale też wiele z rzeczy około-sportowych, jak sposób spędzania wspólnie czasu, budowanie przyjaźni – podkreśla.

– Skąd ta zmiana? – dopytuję.

– Myślę, że głównie z możliwo-

Gdy na Zachodzie sport jest elementarną częścią życia społecznego, u nas – po prostu towarem. Uległ prywatyzacji, zwłaszcza w miastach, gdzie klubów i ośrodków różnych dyscyplin jest masa, ale mają coraz wyższy próg wejścia finansowego

ści szerokiego wyboru. Mogłem dopasować to, co robiłem, do moich predyspozycji i zainteresowań.

W tym miejscu wymieniam sporty, których spróbował w brytyjskim liceum. Wiosłarstwo, wspinaczka – ścianka oraz skalki, squash, szermierka, żeglarsstwo, siatkówka, rugby, biegi przełajowe. Na końcu dodaje krykieta, ale podkreśla, że „to tylko w ramach ćwiczenia intelektualnego, żeby w ogóle zrozumieć zasady”.

Kiedy pytam, co sport mu dał, skupia się właśnie na aspektach społecznych. – Poznałem uczniów i uczennice, którzy byli dobrzy akademicko i w sporcie – to nie były zbiory bez punktów wspólnych. Szkoła i rodzice widzieli, że często te umiejętności są komplementarne. I że mentalnie – co sam szybko odkryłem – też są bardzo ważne.

– Dlaczego?

– Zobacz. Dla piątkowego ucznia doświadczenie, że nie jest się w czymś najlepszym albo chociaż dobrym, a dalej można w tym brać udział, to coś zupełnie nowego. Tak samo jak zrozumienie, że potrzeba wysiłku, żeby przekroczyć swoje własne ograniczenia.

Takie opowieść często kończyły się jeszcze jednym wnioskiem.

Ponieważ w Wielkiej Brytanii, Holandii czy we Francji sport cieszy się poważaniem, a uprawianie go jest powszechne, daje szeroką sieć kontaktów, które potem procentują w każdej dziedzinie życia.

Znajoma opowiedziała mi o regatach wiosłarskich, na które ab-

solwenci z różnych lat zjeżdżają corocznie, bo będą tam ich szefowie i klienci.

A nawet jeśli nie da się ze sportu wyciągnąć bezpośrednich benefitów zawodowych, staje się podstawą silnych więzi międzyludzkich. Inna znajoma, która też na studiach wiosłowała, opowiada o relacji, jakie do dzisiaj ma z dziewczynami ze swojej obsady. Mieszkają w różnych krajach, ale regularnie spotykają się, żeby brać udział w amatorskich regatach – robili to już na trzech kontynentach.

Bo sport jest tylko punktem wyjścia. Coś, co zaczęło się w szkole średniej czy na studiach, często przypadkiem, potem daje przewagę na rynku pracy albo po prostu jest składnikiem dobrego życia.

Dodajmy, że w brytyjskim systemie, podobnie jak w większości krajów europejskich, to kwestia czysto dobrowolna, kulturowa. W przeciwieństwie do USA europejskie uczelnie nie oferują stypendiów sportowych, które dawałyby kandydatom pewne miejsce i wsparcie finansowe niezależnie od wyników w nauce. W Europie sport to wybór.

Lecz opowieści tych, którzy uczyli się i studiowali w Stanach Zjednoczonych, też opisują silną korelację pomiędzy sportem a sto-

Zauważa, że w tabeli medalowej triumfowały USA, zaraz za nimi były co prawda Chiny – autorytarne, produkujące atletów niczym samochody elektryczne, systemowo w ramach odgórnej imperialnej polityki – ale zaraz potem 14 gospodarczo rozwiniętych demokracji liberalnych. Na zimowych igrzyskach jest podobnie.

To wszystko kraje, pisze Kuper, w których dostęp do sportu jest łatwy i powszechny, bo „bogatom demokracjom, zwłaszcza o rozwiniętych strukturach socjalnych, generalnie udaje się dbać o swoich obywateli”. A do „dbania o obywateli” zalicza się zapewnianie im możliwości uprawiania sportu.

Kuper mówi wprost: kraje, które triumfują na igrzyskach, to kraje triumfujące w innych aspektach rozwoju społecznego. Sport jest tylko jednym z elementów układanki. Ale jeśli układanka składa się w harmonijną całość, efekty są też w sporcie.

Zresztą nawet przykład Chin w pewnym sensie potwierdza tezę Kupera. Choć to reżim łamiący prawa człowieka, marsz w górę klasyfikacji medalowej zaczął wraz z rozpoczęciem gigantycznego skoku gospodarczego i cywilizacyjnego. Chińscy decydenci mocno zainwestowali w sport, bo Pekin, choć dumny z tysięcy lat chińskiej tradycji i wyjątkowości, jak każda autokracja chce się mimo wszystko Zachodowi przypodobać. Zachować pozory, pokazać, że nie odstaje, robić to samo, co liberalni demokraci. A jedną z takich rzeczy jest powszechność sportu.

Po igrzyskach zajrzałem na konta moich uczelni w mediach społecznościowych. Oksford chwalił się czterema medalami z Paryża. Moją uwagę zwróciła jednak historia z Cambridge. Złoty medal w wiosłarstwie dla Wielkiej Brytanii zdobyła 28-letnia Imogen Grant, która w ubiegłym roku skończyła na tej prestiżowej uczelni medycynę.

Wiosłować nauczyła się na pierwszym roku studiów, w wieku 18 lat. Pytana przez BBC o początki kariery odpowiedziała, że na pierwszy trening poszła „bo klub w jej college’u dawał za to dwa darmowe drinki w pubie”.

Żaden związek sportowy ani polityk nie miał z tym nic wspólnego. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pi-sze o Ameryce Łacińskiej, globalnym Południu, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

Dobre wiadomości z Ameryki

DOGADAMY SIĘ jak DEMOKRATKA Z REPUBLIKANINEM



• Waszyngton 14.11. 2018. Właśnie wybrane do Izby Reprezentantów (od lewej): Mikie Sherrill, Abigail Spanberger i Chrissy Houlahan robią pamiątkowe selfie na tle nowego miejsca pracy – Kongresu USA

FOT. WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

Kamala Harris musi mówić do ludzi nie o wojnach kulturowych, a o inflacji, opiece zdrowotnej, o ich realnych problemach.

Anne Applebaum

W ciepły dzień, pod czystym błękitnym niebem, kilkudziesięciu mieszkańców Wirginii zebrało się na przedmieściach Richmond, by omówić przyszłość Partii Demokratycznej.

Oczywiście, oficjalnie nie zostało to tak ujęte. Było to spotkanie Komitetu Demokratycznego Hrabstwa Henrico „poświęcone wyborom Demokratów w hrabstwie Henrico, w stanie Wirginia i w całym kraju”, skrzyknięte na podmiejskim podwórku w celu zorganizowania wsparcia sąsiedzkiego dla Abigail Spanberger, miejscowej dziewczyny, której udało się odnieść sukces.

Spanberger, członkini Kongresu (na zdjęciu w środku), a obecnie kandydatka na gu-

bernatora, mieszka w hrabstwie Henrico – około 10 minut drogi od tego podmiejskiego podwórka. Choć obecnie reprezentuje bardziej wiejski okręg Wirginii, to Henrico nazywa swoim domem, a miejscowi chcą wesprzeć jej bieżącą kampanię.

Lokalny urzędnik przedstawiający Spanberger podziękował wszystkim obecnym za spędzenie „wielu godzin w biurach, chodzenie od drzwi do drzwi, pisanie pocztówek i dostarczanie plaketek”. Inny mówił o „pocynym zebrań zespole”, czyli o skrzyknięciu raz jeszcze osób, które pomogły Spanberger podczas jej pierwszej kampanii do Kongresu w 2017 roku, kiedy to, nieoczekiwanie, pokonała republikanina z Tea Party, Dave’a Brata.

Publiczność wiwatowała, gdy Spanberger opowiadała, co ma często w zwyczaju, o swojej wyjątkowej ścieżce kariery. Służyła w CIA w latach 2006-14 (i zawsze była dyskretna, gdy dociekano, czym dokładnie się zajmowała). Kiedy wróciła do domu, powiedziała mi: – Po odejściu myślałam, że skończyłam ze służbą publiczną.

Do działania pobudziła ją kandydatura Donalda Trumpa. Teraz, po trzech ciężko wywalczonych zwycięstwach w kongresowych okręgach o mieszanym elektoracie, jej ambicje wykraczają poza gubernatorską rezydencję w Wirginii: chce zmienić sposób, w jaki Amerykanie rozmawiają o polityce. – Chcemy odejść od podziałów, złości i skupić się na konkretnych, dobrej polityce i zarządzaniu – mówi.

Jak dogadać się w Kongresie z fanami QAnon i radykalną lewicą

W dzisiejszym Kongresie te cele są szalenie idealistyczne. Po obu stronach barykady podziały i gniew kreują chwytliwe nagłówki. Uwagę przyciąga oburzenie, a nie konkretne argumenty.

Głośno jest o Marjorie Taylor Greene [wielbicielka i siewczyni teorii spiskowych, sympatyczka ruchu QAnon], mimo że nigdy nie była kojarzona z poważną ustawą. Matt Gaetz, znany z niczego poza byciem Mattem Gaetzem, jest popularniejszy niż wielu ważnych przewodniczących komisji kongresowych. Nawet wśród Demokratów czołowi członkowie wielu ważnych komisji mają mniejszy rzucający się w oczy profil medialny niż członkowie Squad, lewicowej grupy w Izbie Reprezentantów pochodzącej z mocno „niebieskich” okręgów.

Spanberger należy do innej, mniej spektakularnej grupy przyjaciół, w której znajdują się także członkowie Izby Reprezentantów, tacy jak Jason Crow z Kolorado, Chrissy Houlahan z Pensylwanii, Seth Moulton z Massachusetts, Mikie Sherrill z New Jersey czy Elissa Slotkin z Michigan. Większość ma po czterdzieści, pięćdziesiąt lat; wielu pochodzi z okręgów mieszanych i stanów wahających się. Czasem nazywa się ich „NatSec Democrats”, od „national security”, „bezpieczeństwa narodowego”, co naświetla ich pochodzenie, ale nie do końca oddaje, kim są i czym się zajmują.

Prawdą jest, że większość to weterani wojskowi lub byli pracownicy agencji wywiadowczych. Weszli do Kongresu w 2018 roku, przedtem nie byli związani z polityką.

Niektórzy zostali wsparci lub zachęceni przez Seta Moultona, byłego żołnierza, który po raz pierwszy został wybrany do Kongresu w Massachusetts w 2014 roku. Podjął on nieco donkiszotowską próbę kandydowania na prezydenta w 2020 roku i stworzył komitet polityczny Serve America PAC, który wsparł 15 z 28 Demokratów – tych, którzy w 2018 roku zakończyli dominację Republikanów w Izbie Reprezentantów.

Moulton powiedział mi, że Trump zainspirował wielu weteranów do rozważenia kariery politycznej – i to jako Demokraci. „On jest wyjątkowo niepatriotyczny i antyamerykański. To człowiek, który nie ukrywał, że unikał poboru. Powiedział, że ludzie, którzy się zaciągali, to frajerzy. Ludzie, którzy zginęli, to przegrani”.

Z perspektywy czasu członkowie tej grupy okazali się prekursorami ważnej zmiany, która może na nowo zdefiniować amerykańską politykę.

„Dumna z bycia Amerykanką”. Demokraci odkrywają patriotyzm

Przez pół wieku Republikanie byli partią, która najintensywniej wyznawała patriotyzm, najgłośniej mówiła o miłości do Ameryki i pozornie przyjęła twardsze stanowisko w kwestii bezpieczeństwa narodowego.

Jednak teraz kandydat republikański nazywa Amerykę „narodem w upadku” i określa amerykańską gospodarkę jako „niezrównaną tragedię i porażkę”. Tego rodzaju retoryka wywołała szeroką, odwołującą się do konstytucji, bezkompromisową reakcję w Partii Demokratycznej – ruch opowiadający się za patriotyzmem, zaniepokojony stanem bezpieczeństwa narodowego i przekonany, że tylko demokracja, która zapewniła praktyczne rezultaty, może przetrwać.

Skutki tego można było jasno dostrzec podczas krajowej konwencji Demokratów, gdy Kamala Harris zobowiązała się „przyjąć na siebie ogromną odpowiedzialność, jaka wiąże się z największym przywilejem na świecie: dumą bycia Amerykaninem”, a delegaci odpowiedzieli, machając amerykańskimi flagami i skandując „USA! USA!”.

Demokraci, którzy stali na czele tego sprzeciwu, współpracują od dłuższego czasu. Na przykład Spanberger, Moulton, Slotkin i inni napisali w grudniu list do prezydenta Bidena, ostrzegając przed strategią Izraela w Gazie, argumentując, że „z własnego, często bolesnego doświadczenia wiemy, iż nie da się zniszczyć ideologii terroru samą siłą militarną”.

Jednak sprawy związane z bezpieczeństwem narodowym to nie jedyne, co ich łączy. Tom Malinowski, były urzędnik Departamentu Stanu, który również był częścią tej grupy – został wybrany do Kongresu z tradycyjnie republikańskiego okręgu w New Jersey w 2018 roku, a następnie przegrał w wyrównanym wyścigu w 2022 – zwraca uwagę, że chociaż większość jego kołorty nigdy wcześniej nie sprawowała wybranego urzędu, wszyscy złożyli przysięgę, że będą chronić i przestrzegać konstytucji Stanów Zjednoczonych.

W tym duchu przybyli do Kongresu. „Byliśmy bardzo idealistyczni, wierząc, że naszym zadaniem jest ochrona wartości i instytucji demokratycznych w tym kraju” – wyjaśnia Malinowski – „i jednocześnie bardzo pragmatyczni w codziennej pracy Kongresu nad takimi kwestiami jak gospodarka, budżet, imigracja i przestępczość”. Innymi słowy, jak tłumaczy, „wszyscy wierzymy, że kraj sobie poradzi, w razie potrzeby pójdziemy na kompromisy w takich sprawach; najważniejszym było nie iść na kompromis w kwestii demokracji”.

Malinowski, który sugeruje, by grupę nazywać „Demokratami Służby”, Service Democrats, zgadza się, że definiuje ich nie tylko podejście do spornych kwestii, ale także postawa. Chociaż do wejścia do polityki zmotywowała ich pogarda dla Trumpa, wszyscy mówią, że chętnie współpracują z poszczególnymi Republikanami. Sherrill uważa „stworzenie najszerzej możliwej koalicji na rzecz uchwalenia ustawy, na której mi zależy” za miarę sukcesu.

Takie podejście bardzo różni się od obsesyjnej niechęci do kompromisów, która uniemożliwiła obecnej republikańskiej większości Izby Reprezentantów uchwalenie jakiegokolwiek ustawy. „Za każdym razem, gdy Demokrata popiera projekt ustawy Republikanów, oznacza to, że ustawa nie jest wystarczająco dobra. Czyli nie jest wystarczająco ekstremalna, bo wtedy to ustawa RINO [”od Republican in Name Only”, zgryźliwy akronim stosowany do projektów ustaw lub działań, które są postrzegane jako zbyt umiarkowane lub zgodne z polityką Demokratów]” – żżyma się Sherrill.

Możesz być pryncypialnie progresywnym albo coś osiągnąć

Postawa tej grupy definiuje również na nowo, co to znaczy być umiarkowanym w Partii Demokratycznej.

Według starszych standardów, Spanberger, Slotkin, Moulton, Sherrill i Crow mogliby zostać nazwani progresywnymi. Wierzą w prawo do aborcji – kwestii niegdyś unikanej przez konserwatywnych Demokratów – i dołączyli do proaborcyjnych frakcji. Ale jeśli dziś umiarkowanym jest ktoś, kto go-tów jest rozmawiać z drugą stroną, aby znaleźć rozwiązania, to ich grupa należy raczej do umiarkowanych.

Owszem, Sherrill mówi, że potrafi dostrzec urok tego, co opisuje jako „progresywny model” polityki: „decydowanie o tym, czego chcesz i nieakceptowanie niczego innego, dopóki tego nie osiągniesz”. Jednak ten model wiąże się również z ryzykiem, ponieważ można nie uzyskać niczego. Jej zdaniem, gdyby Demokraci w Kongresie byli bardziej skłonni do negocjacji z administracją Trumpa w sprawie granicy, mogliby zapewnić ustępstwa dla Dreamersów, dzieci, które przybyły do USA z rodzicami bez dokumentów i nie mają statusu obywateli.

Lecz głębszy sprzeciw Demokratów NatSec nie jest skierowany przeciwko żadnej konkretnej frakcji ideologicznej, ale raczej przeciwko politykom, którzy, jak mówi Spanberger, „tak naprawdę nie chcą niczego naprawiać”, bo „liczy się tylko przedstawienie”.

Jako przykład podaje ustawę o kontroli granic, którą napisali i przepchnęli przez Senat starsi konserwatywni Republikanie, ale potem zablokował ją – ku zaskoczeniu autorów – Trump, który uznał, że rozwiązanie kwestii granic mogłoby pomóc Bidenowi. Jej przyjaciele, przeciwnie, chcą naprawiać: granice, system opieki zdrowotnej, a nawet samą demokrację, ponieważ służyli w miejscach, które pogrzyżyły się w chaosie i wiedzą, jak wygląda życie w miejscach, gdzie nie ma żadnych struktur rządowych.

Nauczyli się, w jaki sposób działać w takim chaosie, co przydaje im się teraz. Elissa Slotkin, analityczka ds. Bliskiego Wschodu, która została wybrana do Izby Reprezentantów z Michigan w 2018 roku, a obecnie kandyduje do Senatu, mówi, że nadal myśli w ten sam sposób o rozwiązywaniu problemów, jak wtedy, gdy pracowała dla CIA, Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Departamentu Obrony:

„Moim zadaniem jest identyfikowanie prawdziwych zagrożeń i zwalczanie ich. Głównym zabójcą dzieci jest przemoc z użyciem broni. Problemy ze zdrowiem psychicznym, samobójstwa, uzależnienie od opioidów – to są prawdziwe zagrożenia. Nie zamierzam tracić czasu na coś, co uważam za wyolbrzymione zagrożenia, jak spis lektur czy nauczanie historii Afroamerykanów w naszych szkołach”.

Spanberger, przyzwyczajona do stawiania czoła wyzwaniom, stara się podróżować po bardziej konserwatywnych częściach swojego okręgu i szczegółowo opowiadać o ustawach rolniczych, które wprowadziła w Kongresie. Wychodzi z założenia, że „nie możesz jednocześnie uważać, że jestem jakąś szaloną agentką tajnego państwa czy radykalną lewicówką i przy tym prowadzić ze mną uprzejme rozmowy o regulacjach dotyczących przetwórstwa mięsa”.

Weteran z Iraku i Afganistanu kontra Trump

Zważywszy na doświadczenia członków tej grupy, ich szczególne zainteresowanie polityką zagraniczną nie jest zaskoczeniem, ale nie jest to zainteresowanie pełne pustych słów i obietnic. Przemawiając na Krajowej Konwencji Demokratów, Jason Crow – żołnierz i spadochroniarz, który odbył trzy misje w Iraku i Afganistanie, zanim zdobył miejsce w Izbie Reprezentantów w Kolorado – skonstrastował „ostre przemowy” i „pompowanie muskulów” z „prawdziwą siłą i zapewnieniem bezpieczeństwa”, które wynikają z sojuszy, kompetencji i ciągłości działania. „Nie pozwolę, by kumple Trumpa od golfa decydowali, kiedy i jak nasi przyjaciele będą wysyłani na wojnę” – powiedział.

Kilka miesięcy wcześniej, przy kawie, Crow powiedział mi, że izolacjonizm jest przereklamowany. Ameryka otwarta na świat przemawia do wyborców, zwłaszcza tych zaniepokojonych bezpieczeństwem. Jak mówi, stara się przypominać ludziom, że „Ameryka może być wielką siłą na rzecz dobra, że jesteśmy najlepsi, gdy jesteśmy zaangażowani, a amerykańskie przywództwo ma znaczenie”. Ma wrażenie, że ludzie go słuchają i jest to dla nich ważne.

Slotkin, która spotkała się ze mną w swoim małym biurze kampanii senackiej, któ-

■
Jason Crow, spadochroniarz z Iraku i Afganistanie, kongresman z Kolorado: Staram się przypominać ludziom, że Ameryka może być wielką siłą na rzecz dobra, że amerykańskie przywództwo ma znaczenie. Mam wrażenie, że słuchają i że to dla nich ważne

re prowadzi w pobliżu Kapitolu, również za-uważa, że wyborcy chętnie reagują na tego rodzaju szerokie przesłania dotyczące roli Ameryki na świecie. Na kolejnych przystankach kampanijnego szlaku przywołuje swe doświadczenia z zakresu bezpieczeństwa narodowego i z zagranicznych misji, by wyjaśnić ludziom swoje inne działania i propozycje:

„Naprawdę wierzę, że w wielonarodowościowej i wieloetnicznej społeczności, w której żyjemy, kluczowe jest to, by każdy, niezależnie skąd pochodzi, miał szansę wejść do klasy średniej. Jeśli nie da się tego osiągnąć, jest to problem wyłącznie związany z bezpieczeństwem – jeśli staniemy się krajem ludzi bardzo bogatych i bardzo biednych, będzie to stanowić zagrożenie dla stabilności”.

Uważa, że jej doświadczenie pomaga jej także w innym sensie. Podobnie jak Spanberger i Crow, Slotkin złożyła przysięgę, że będzie stać na straży konstytucji – i także przed wejściem do polityki działała w zespołach zajmujących się sytuacjami zagrożającymi życiu. „Zawodowo hartujesz się na stanowiskach, na których misja jest ważniejsza niż twoje własne ja. I prawda jest taka, że gdyby tam ktoś stawiał siebie ponad misję, zostałby po prostu zwolniony”.

Burmistrz Republikanin dziękuje kongresmence Demokratce

Kilka miesięcy po wiecu Spanberger, pewnego gorącego letniego dnia, obserwowałam, jak Mikie Sherrill wygłasza równie pragmatyczne przesłanie. Podczas mityngu w Ukraińskim Centrum Kultury w Whippany, kongresmence, absolwentkę Annapolis i byłą pilotkę śmigłowca marynarki wojennej przedstawił Thomas „Ace” Gallagher, burmistrz Hanover. Akurat wtedy miejscowość borykała się z różnymi skutkami niedawnej powodzi. Burmistrz opowiadał, jak Sherrill pomogła jego okręgowi uzyskać fundusze i wsparcie Korpusu Inżynieryjnego Armii.

Gallagher jest Republikaninem. „Ona jest po stronie Demokratów” – powiedział do zebranych.

„Ale dla mnie nie ma dwóch stron: są ludzie, którzy służą, pracują razem i skupiają się na wspólnym dobru.

A co do reszty, mogą robić, co chcą, o ile nie przeszkadzają nam w wykonywaniu naszej pracy”. I dodał: „wkrótce zobaczycie wielu ludzi, którzy będą gdzieś pośrodku, pracujących razem nad realnymi rozwiązaniami naszych problemów”.

Sherrill, która zamierza wystartować na gubernatora New Jersey, wydawała się tak samo zaskoczona tym optymistycznym wybuchem ponadpartyjnej dobrej woli, jak ja. „Rozglądałam się po tej sali i odczuwam wzruszenie” – powiedziała, by następnie wykonać ukłon ku Gallagherowi. „Ciągłe spotykamy się tutaj, w jedenastym okręgu New Jersey, aby próbować rozwiązywać problemy, stawiać czoła temu, co ludzi przeraża, aby próbować uczynić wasze życie odrobinę lepszym, aby spróbować wprowadzić trochę racjonalności i zdrowego rozsądku do świata, który teraz nie ma zbyt wiele sensu”.

Gdy przemawiała – była to niedziela, 21 lipca – słuchacze zaczęli zerkać telefony i szeptać do siebie. Mówcy poprosili zgromadzonych o wsparcie ukraińskich organizacji charytatywnych, zeszli z podium

– i dowiedzieli się, że prezydent Biden nie będzie ubiegał się o reelekcję.

Dwa tygodnie wcześniej Sherrill dołączyła do niewielkiej wówczas liczby polityków otwarcie wzywających go do ustąpienia. Podczas lunchu powiedziała mi, że została do tego nakloniona, ponieważ „wszyscy mówiliśmy, że Trump jest egzystencjalnym zagrożeniem, ale zachowujemy się tak, jakbyśmy tak naprawdę w to nie wierzyli”.

Wtedy tylko dwóch senatorów publicznie wezwano Bidena, by nie kandydował: Joe Manchin z Zachodniej Wirginii i Sherrod Brown z Ohio. Nieprzypadkowo obaj reprezentowali stany republikańskie. Jak zauważyła Sherrill, żyjąc i działając poza „bezpiecznymi” stanami i okręgami sprzyjającymi Demokratom, analizowali wyniki sondaży i nie dostrzegali szans na zwycięstwo.

Wcześniej Sherrill uczestniczyła w małym wydarzeniu wspierającym Sue Altman, Demokratkę ubiegającą się o dawne stanowisko Malinowskiego. Zaobserwowała podobny tłum pozytywnie nastawionych ludzi, co na wiosennym spotkaniu Spanberger - autentycznie podekscytowanych perspektywą chodzenia od drzwi do drzwi dla pragmatyka, który chce coś osiągnąć.

Zwłaszcza młodzi ludzie, zauważyła Altman, „mają dość negatywnych nastrojów; nieźmiennie, mają dość polityki i chcą, żeby rząd funkcjonował, jak należy”.

Niech Kamala Harris zajmie się inflacją i służbą zdrowia

Lecz to wciąż nie jest ruch masowy – nikt nie zdobywa dziesiątek milionów obserwujących na Instagramie, znajdując długoterminowe rozwiązania problemu powodzi w New Jersey.

Wręcz przeciwnie, w świecie, w którym algorytmny mediów społecznościowych promują gniew i silne emocje, a telewizji opłaca się reklamowanie pogoni za sławą i ekstrawagancji, obranie innej drogi niesie poważne ryzyko.

Nudna praca polegająca na uchwalaniu ustaw o przetwórstwie mięsa w Kongresie czy naprawianie problemu powodzi w New Jersey – żadne z tych działań nigdy nie stanie się wiralem na TikToku. Tylko ludzie, którzy nadal postrzegają politykę przez pryzmat prawdziwego życia, a nie przez internetowy filtr, będą się tym przejmować.

Lecz paradoksalnie algorytmny mogą im sprzyjać. W zaciętej rywalizacji o senat Michigan czy nadchodzącej walce o stanowisko gubernatora w Wirginii wygrać mogą kandydaci, którzy wyróżnią się nie tylko radykalnością treści, ale i nowym stylem.

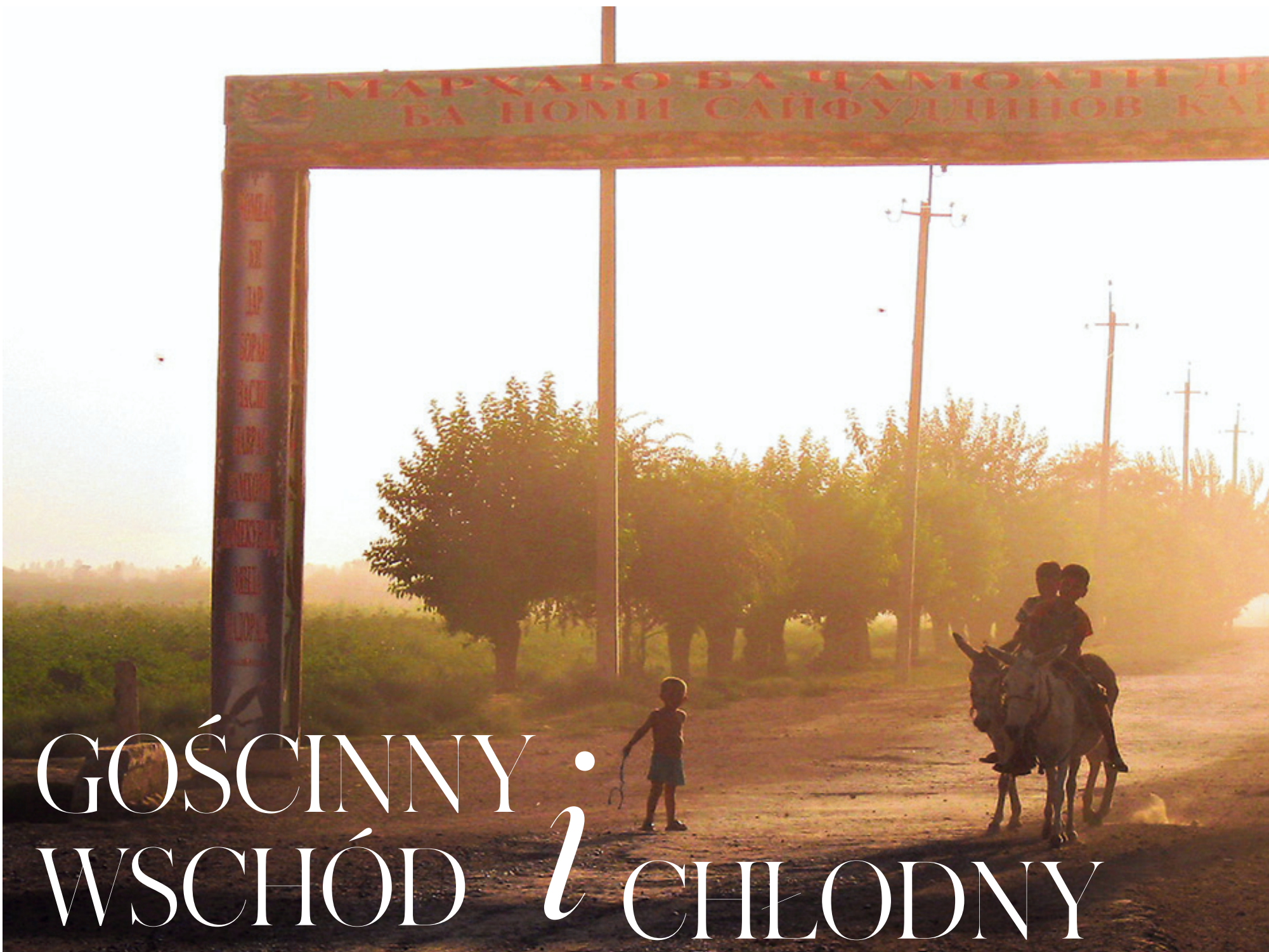
To samo można powiedzieć o kandydatkach na wyborczym szczycie. Wyścig prezydencki jest w istocie wyścigiem stanów wahających się. Podobnie jak inni „Demokraci Służby”, Harris już na wczesnym etapie kariery, jako prawniczka, złożyła przysięgę, że będzie bronić konstytucji. I podobnie jak każdy Demokrat startujący w okręgu wahającym się między partiami, Harris musi przemawiać do szerokiego grona ludzi, którzy „nieźmiennie, mają dość polityki”, aby zamiast na wojnach kulturowych, skupić ich uwagę na realnych problemach – ekonomii, opiece zdrowotnej, inflacji, i przekonać ich, że działa w polityce, żeby rozwiązywać problemy, a nie tylko brylować.

Patrząc na listy wyborcze jej partii, można sądzić, że znajduje wielu jej zwolenników, którzy od lat walczą o to samo. ●

• Przeżyła Patrycja Eiduka.
Tytuł i lead od redakcji
© 2024 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic” All rights reserved.
Distributed by Tribune Content Agency



• **Anne Applebaum**
amerykańsko-polska pisarka i publicystka. Napisała m.in. „Czerwony Głód”, „Zmierzchno demokracji” i nagrodzony Pulitzerem „Gułag” a ostatnio „Koncern Autokracja”.



GOŚCINNY WSCHÓD i CHŁODNY ZACHÓD

Z **KAROLEM FRYTĄ**
DZIENNIKARZEM
I PODRÓŻNIKIEM ROZMAWIA
IWONA GÖRKE

Jeśli pojadę jeszcze kiedyś do Rosji, to w te miejsca, gdzie władza robi lub robiła swoim obywatelom coś złego.

IWONA GÖRKE: Bois się?

KAROL FRYTA*: – Mam w sobie zdrowy lęk. W granicach normy, bo przecież nie wspinał się na Mount Everest, nie jeździł tam, gdzie mogą stracić życie. Chociaż kraje, które odwiedzam, takie jak Iran czy Irak, mogą przeciętnej osobie wydawać się niebezpieczne. Niektórzy mi mówią: „Ale ty jesteś odważny”. Nie traktuję moich podróży w kategorii odwagi. Minimalizuję ryzyko tego, by cokolwiek złego mogło mi się przytrafić.

W jaki sposób?

– Do każdej wyprawy przygotowuję się miesiącami. Podczas tych przygotowań czasem odbywam większą podróż niż na miejscu. Dzięki temu wiem, co mnie czeka. To minimalizuje poczucie braku bezpieczeństwa. Trochę się boję, ale nie jest to paraliżujący strach, a raczej lekkie podniecenie i obawa przed nieznanym.

Pytam o to dlatego, że zazwyczaj nie myślimy o Iraku czy Iranie w kontekście wakacyjnej wyprawy. Mówisz przygotowaniach. W ostatnim czasie mieliśmy

co najmniej dwa przypadki, gdy polscy turyści zostali aresztowani: samotny podróżnik w Kongu i grupa studentów z opiekunką w Nigerii.

– Tak, słyszałem o tym. Ten podróżnik zatrzymany w Kongu to obieżyświat, był już chyba wszędzie na świecie, chył przed nim czoła. Mówił, że zgubiła go rutyna i nie za bardzo się przygotował. W Kongu obecnie trwa konflikt zbrojny, więc to przepis na problemy. Ja nigdy nie pojechałem do kraju objętego działaniami wojennymi.

Ale chociażby taki Iran nie należy do najbezpieczniejszych miejsc na świecie.

– Otwartej wojny tam nie ma, ale czasem są Teheran ostrzeliwuje się rakietami z Izraelem. W Iranie widziałem mnóstwo turystów, również samotnie podróżujące kobiety. Byłem tam cztery razy. Może to brzmieć irracjonalnie, ale ani przez sekundę nie czułem żadnego zagrożenia. Mam pewne wyobrażenie o tym kraju, przekazywane przez media, tymczasem jest to miejsce, w którym mieszkają naprawdę fantastyczni i otwarci ludzie.

Ale tam panuje reżim.

– W przestrzeni publicznej zwykły turysta nie dostrzega jego istnienia. Jako turysta muszę przestrzegać pewnych zasad, które zresztą dla mężczyzny nie są szczególnie restrykcyjne. Na przykład nie biegam w krótkich spodenkach w meczecie. Kobiety muszą zakryć włosy hidżabem. Gdy-

by nie meczety czy kobiety w czadorach i hidżabach, to można pomyśleć, że jest się w kraju Zachodu. W większości krajów muzułmańskich, które odwiedzam, mam problem z kontaktem z kobietami, bo jestem mężczyzną, a to wiadomo, jest haram.

Zabronione.

– W Iranie tego problemu nie mam. Kobiety nie mają oporów, by podejść, porozmawiać czy uśmiechnąć się do Europejczyków. Przez sankcje nałożone na ich kraj i względną izolację Iranczycy są nas ciekawi. Zawsze żartuję, że czuję się tam jak Clark Gable. Tyle ładnych kobiet do mnie podchodzi, zaczepia, rozmawia.

Ostatni raz byłeś w Iranie w tym roku. Dostrzegasz jakieś zmiany?

– Gdy w tym roku jechałem do Afganistanu, byłem tam przez tydzień. Tak się składa, że jestem tam co kilka lat, a to sprzyja obserwacji zmian, szczególnie tych w przestrzeni miejskiej. Po protestach, które miały miejsce po zabiciu przez policję religijną młodej Iranki Mahsy Amini, kobiety noszą hidżab coraz niżej. Kiedy byłem tam pierwszy raz w 2017 roku, nosiły go trochę ściągnięty. Potem zauważyłem, że odsłaniają niemal pół głowy. Teraz noszą go już prawie jak apaszkę, choć widziałem również kobiety, które w ogóle go nie miały! To był dla mnie szok.

Strategia buntu.

– Tak to można określić. Niedawno widziałem na platformie X, że znowu policja religijna skatowała kobietę właśnie za brak hidżabu na głowie. Ale i tak są Iranki, które go nie noszą. Ryzykują. Wyczytałem ostatnio opinię eksperta mówiącego o tym, że rząd irański będzie musiał obywatelom luzować trochę śrubę, ale nie może poluzować jej za mocno, bo obywatele będą chcieli jeszcze więcej ustępstw. Ale ja nie jestem analitykiem, więc o ocenę tych procesów zapytaj innych.

W tym roku pierwszy raz pojechałeś do Afganistanu. Jak było?

– Jedna wielka porażka.

Dlaczego?

– W Iranie musiałem wyrobić wizę do Afganistanu. Pojechałem z Teheranu na drugi koniec Iranu do Meszhedu, gdzie miałem ją otrzymać. Na miejscu dowiedziałem się, że dwa dni wcześniej zepsuł się system elektroniczny. Musiałem więc wrócić 800 kilometrów do Teheranu i tam ją wyrobić. Kilkanaście godzin przed upływem terminu ważności irańskiej wizy, na ostatni dzwonek, wjechałem do Afganistanu. Spędziłem w nim jedynie trzy dni, bo w połowie pobytu w hotelu uderzyłem się stopą o łóżko. Palec mi spuchł, pojechałem do szpitala. Werdykt: złamanie. Nie mogłem ruszać nogą. Odczuwałem straszliwy ból. Z dnia na dzień musiałem wrócić z Kabulu do Warszawy. W kraju zrobili mi rentgen i okazało się, że



▲ Pomnik upamiętniający ofiary irackiego ataku gazowego na Halabdżę zamieszkiwaną przez Kurdów. Liczbę zabitych szacuje się na 5 tys., a rannych na 10 tys. osób

◀ Dzieci na drodze w Tadżykistanie

► Antyamerykańskie graffiti na ulicy w Teheranie



palec jednak nie jest złamany. Ale dopiero po tygodniu mogłem normalnie chodzić.

Byłeś zły?

– Musiałem sobie w głowie poukładać tę sytuację, przepracować wszystko. Wiele miesięcy przygotowań, które pochłonęły niemal czasu i pieniędzy. To była moja najdroższa podróż i zarazem największa porażka. Ale będę starał się tam wrócić.

Ale nawet mimo tych złych przygód i tego, że spędziłeś w Afganistanie trzy dni, wyjechałeś z tego kraju z jakimiś wrażeniami.

– To kraj, który po czterdziestu latach otworzył się na turystykę po tym, jak talibowie przejęli władzę. Co prawda, gdy byli tam Amerykanie, turyści się pojawiali, ale to były wycieczki ze zorganizowaną ochroną, które nie docierały wszędzie. Teraz można dostać się w każdy zakątek kraju bez żadnej asysty. Widać przy tym, że Afganistan był długo zamknięty przed światem.

Co masz na myśli?

– Były momenty, gdy czułem się bardzo niekomfortowo. Wyobraź sobie, że rozmawiasz z kimś, bo chcesz wymienić walutę, i wpaduje się w ciebie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt osób, otaczając cię. Nie wiesz, co dzieje się z tyłu: czy ktoś czegoś nie odpina od plecaka, czy ktoś ciebie nie okrada. Nikt ostatecznie mnie nie skrzywdził, ale te sytuacje były deprymujące.

Afgańską granicę przekroczyłem pieszo. Nagle podbiega do mnie setka osób. Wymachują walutą. Krzyczą w dari lub paszto, językach których nie znam, każdy z nich ma wbite w ciebie pytające oczy z zieloną tęczówką. Nagle wyskakuje jakiś talib i zaczyna walić pałą tych ludzi. Rozgania ich.

A mi pałą pokazuje, u kogo mam wymienić pieniądze. Potem wsiadam do taksówki, a wokół mnóstwo zaniepokojonych dzieciaków. Przed wyjazdem kupiłem trochę dziecięcych długopisów właśnie na takie okazje. Daję jednemu z chłopców długopis. A to błąd, bo widzę, jak zaraz pokazuje na mnie innym. Dzieciaki poprzyklejały się do szyb samochodu, prawie nim kołyszają. Chciałem stamtąd uciec w pierwszej chwili.

Gdy kupowałem kartę telefoniczną, to otoczyło mnie trzydzieści osób. Jakiś Afgańczyk mi ją kupił. I przykleił się do mnie. Był moim „przyjacielem”. Wszystko za mnie organizował, co było bardzo przydatne. Później powiedział, że ma w Niemczech brata i że może mógłbym mu pomóc dostać się do niego. Z relacji innych turystów wiem, że Afgańczycy są bardzo gościnni; kupują tu



• Karol Fryta z Olsztyna skrupulatnie planuje swoje podróże FOT. MATERIAŁY KAROLA FRYTY (5)

rystom obiady, opłacają bilety, co szokuje, wiedząc, jak jest tam biednie.

Masz wielkie szczęście, bo w trakcie tych podróży spotykasz ludzi, którzy są niesamowicie gościnni.

– Im biedniej i trudniej, tym bardziej widzieć ludzką dobroć, gościnność i bezinteresowność. Ja na ten Wschód, do dawnych republik ZSRR jeżdżę, bo się tam dobrze czuję. W odróżnieniu od krajów na Zachodzie, gdzie zawsze spotykam chłodny dystans i powściągliwość. Zero otwartości. Wsiadam w Holandii do pociągu, siadamy naprzeciwko siebie, a po ułamku sekundy nie ma już nikogo, bo ludzie giną w swoich telefonach. Nikt nie zagai, nawet nie spojrzy na ciebie. Jak jestem na Wschodzie, to od razu widać, że nie jestem tamtejszy, więc ludzie zagadują, pytają, co ja tu robię. Nawiazujemy kontakt. Zapraszają do siebie.

W 2012 roku w Tadżykistanie, gdy szedłem z kolegą na jakąś wylotówkę, by złapać stopa, zaczął nas chłopak i zaprosił do wsi,

gdzie mieszka. Zapakował nas do samochodu, my żadni przygód, jedziemy, zobaczyć, co ma się wydarzyć. Chłopak przyjął nas u siebie w domu. Pojawili się jego rodzice i dalsza rodzina. Wieczorem jeszcze zaproszono nas na kolację z wioskową starszyzną pod meczetem.

Robi wrażenie.

– Inna opowieść z Tadżykistanu. Idziemy przez wieś, wszyscy na nas patrzą. Był sierpień, grubo ponad czterdzieści stopni w słońcu, a na drodze samochód na godzinę, zwykle pełen. Mieszkańcy wioski wychodzili z domów i wręczali nam reklamówki wypełnione chlebami, jajami na twardo, owocami, butelkami chłodnej wody. Mówimy im, że nie damy rady tego wszystkiego zjeść. Mieliśmy pełne worki jedzenia!

Innym razem z kolegą próbujemy łapać stopa, ale na próżno. Widzimy góry, po których biegają kozy, wzniesają tumany kurzu, zachodzące słońce. Jesteśmy umęczeni i spoceni. Nic nie jedzie. Nie wiemy, co ze sobą zrobić. Na tym rozstaju dróg stoi dom. Kobieta woła nas do niego. Bieda aż piszczy, dzieciaki biegają na podwórzu, wyglądają, jakby od miesiąca mydła nie widziały. Wchodzimy, siadamy, gospodyni przynosi supę. Wygląda nieapetycznie jak rozwodniony rosół z kawałkiem gotowanego mięsa z kością. Nie lubię gotowanego mięsa. Jestem głodny, ta kobieta nas podejmuje, chociaż nie musi, więc gryzę to mięso, wypijam bulion, o mało co nie zwróć.

Dziękujemy jej za gościnę i wychodzimy z domu na wylotówkę. Odwracam się i widzę, jak ona patrzy na te nasze talerze. Bierze niedojedzone przeze mnie mięso i daje jednemu z chłopców. Podejrzewam, że kobieta podjęła nas najlepszym daniem, a ja tego nie doceniłem. Ta historia często do

mnie wraca jak wielki wyrzut sumienia. Teraz gdy ktoś mnie chce ugościć w podróży, dać coś do jedzenia, to od razu ogarnia mnie lęk, że może mi to nie smakować. Od razu mówię: nie, dziękuję, nie jestem głodny.

Tadżykistan jest jedną z republik dawnego ZSRR. W Rosji też byłeś.

– Trzy razy. Dwa razy krótko, raz przejechałem całą. Spodziewałem się spotkać stereotypowych Rosjan – pijących i zachęcających mnie do picia. Ale nic takiego nie miało miejsca. Przez dwa miesiące widziałem pijane osoby dwa razy. Pierwszy raz śpiącego mężczyznę na dworcu w Kazaniu. Drugi raz był ciekawszy. Buriacja. Wstałem o siódmej rano w niedzielę, poszedłem na spacer po mieście. Tyłu pijanych ludzi to ja nigdy nie widziałem! Jak na filmach. Jakiś gość bez spodni chodził, zataczał się z jednej strony na drugą. Wola go rozdzierająco kobieta, też pijana, która posuwała się chodnikiem na czworakach. Ze sklepu, w samych kłapkach, wychodzi Buriat z taką flachą wody [pokazuje butelkę długości łokcia dorosłego mężczyzny]. Mówię do siebie: co tu się dzieje?! Przez dwa miesiące nie widziałem tyle pijactwa, co tego jednego dnia.

Jak Rosjanie traktowali cię, wiedząc, że jesteś Polakiem?

– Nikt na mnie nie reagował alergicznie ani nie traktował specjalnie. Miałem parę politycznych rozmów. Jedną szczególnie męczącą. Pewien biznesmen zabrał mnie na stopa, jechałem z nim 450 kilometrów. Rozmawialiśmy tylko o polityce. Mój rosyjski jest średni, więc męczyłem się przy bardziej zawitych rozmowach, szczególnie politycznych, ale ten człowiek i tak chciał wygłaszać monologi, ja tylko coś tam mruczałem.

O czym chciał mówić?

– O Stalinie, o łagrach. Widziałem kwiaty składane pod pomnikiem Stalina, na jego grobie w Moskwie, na Placu Czerwonym. Zapytałem tego biznesmena, jak mogą cały czas oddawać mu hold. „On wygrał wojnę”, usłyszałem. „Ale miliony waszych w łagrach zamęczył”, odpowiadam mu, a on na to: „No i co z tego? To cena, którą trzeba było zapłacić”. Dla mnie to jest niepojęte, że oni tak akceptują tego typu rzeczy.

Natomiast sama Rosja? W 2019 roku wydawała mi się biedna, nie licząc oczywiście wielkich miast. Widywałem bardzo drogie mięso, sery żółte, nabiał. Na wędlinach i mięsie widziałem zabezpieczenia antykradzieżowe tak jak na odzieży w sklepach. A na dalekiej Syberii widziałem ziemniaki z Egiptu.

A nie z Białorusi?

– Nawet nie lokalne, a mają przecież tyle ziemi! Chciałem ci jeszcze opowiedzieć o pożarach na Syberii. Uciekałem przed nimi w 2019 roku. Któregoś dnia wstaję, jestem totalnie nigdzie, jest prawie jak na kazachskim stepie, godzina piąta rano, i zastanawiam się, czy to taka mgła. Dopiero, jak zlałem stopa, to od kierowcy dowiedziałem się, że to pożar, a chmura dymu leci od Irkucka, w którym byłem kilka dni wcześniej. Jechałem z nim przez spalone rok czy dwa lata wcześniej połacie lasu. Te miejsca wyglądały trochę jak krajobraz księżycowy. Droga tak prosta, że w kierownicę można włożyć kij i spać, auto samo dowiezie. A po bokach ściana spalonych, szarych kikutów drzew wystających z ziemi. Olbrzymie przestrzenie spalonych lasów. To było takie smutne. Oni tego nie gaszą po prostu. To się samo gasi.

Jak to nie gaszą pożarów?

– Próbują, jak pożar zbliża do miast. Ale lasy? Z tego, co wiem, to nie przywiązują do nich wielkiej wagi, bo to jest tak olbrzymie zjawisko, że trudno nad tym zapanować.

Na Syberii szukałeś potomków Polaków.

– Chciałem z tej dwumiesięcznej wyprawy napisać parę tekstów. Pomyślałem, że ten temat będzie interesujący. Zjechałem miej-



• Szkoła w Biesłanie, gdzie w wyniku ataku terrorystycznego zginęło 334 osoby

scowości, w których mieszkają potomkowie Polaków, od Jekaterynburga aż po Jakuck. Spotkałem bardzo różnych ludzi, z różnym poziomem języka, pojęciem o Polsce. Niektórzy mówili do mnie: „Mów do mnie po polsku, ja rozumiem, ale mówię tylko po rosyjsku”.

Kogo spotkałeś?

– W Tomsku spotkałem Igora. Fascynująca postać. Polskiego nauczył się sam, jak dowiedział się, że jego dziadek był Polakiem. W jakichś biurach wojskowych udało mu się zdobyć dokumenty, by to potwierdzić. Prawie ze łzami w oczach opowiadał, że zawsze czuł, że tu nie pasuje, że nie jest jak Rosjanie. Uczył się „Dziadów” na pamięć. Z teatrem amatorskim pojechał na Litwę, by te „Dziady” pokazać. Recytował mi je z akcentem rosyjskim. To było niesamowite. On ma silne poczucie polskości. Magnes na lodówce, flaga Polski na ścianie. Jego syn wziął mnie na spacer, kępował się, że po polsku mówi słabo. No, ale rozmawiamy w tym Tomsku, pytam go, co lubi robić, jakie książki czyta, jakie filmy ogląda? A on mi na to śmiertelnie poważanie: „Karol, teraz na Syberii jest lato, trzy miesiące lata, przez dziewięć miesięcy, jak jest zima i śnieg to się książki czyta. A te trzy miesiące lata to się na dworze cały czas siedzi”.

Polonia z Syberii jest zanurzona w przeszłości czy może interesuje się współczesną Polską?

– Interesuje. Tylko wiedzę ma wypaczoną. Wielu z nich się stara o Kartę Polaka. W Abakanie spotkałem się z nauczycielką języka polskiego, Rosjanką Olgą. Świetnie mówiła po polsku, przyjeżdżała do nas do kraju szlifować język, ma polskie korzenie. Poszedłem na prowadzoną przez nią lekcję, pokazali mi „test na polskość”, czyli ten egzamin, który trzeba zdać, jak się staram o Kartę Polaka. Były pytania o legendy, smoka wawelskiego czy Wandę, która nie chciała wyjść za Niemca. Wiedza ze szkoły podstawowej, niepraktyczna, archaiczna. To, o co pytali, nijak ma się do współczesnej Polski.

W Jekaterynburgu spotkałem nauczycielkę, która zaprowadziła mnie do sali lekcyjnej wypełnionej polskimi książkami, z godłem na ścianie. Ktoś od nich wrócił niedawno z Polski i prowadził prelekcję na temat komunikacji miejskiej w Polsce. Takie

rzeczy ich interesują. Bardziej przyziemne niż ten Lech, Czech i Rus. Ktoś zda ten egzamin na Kartę Polaka, przyjedzie tu, może na studia, może do pracy, i jeśli sam nie włączy sobie filmów na YouTube, nie popatrzy, nie poczyta, to będzie zszokowany, tym, co zobaczy w Polsce.

Tęsknią do Polski?

– Igor bardzo, chociaż nigdy nie był w Polsce.

Dwa lata temu byłem w Kirgistanie, spotkałem się tam z panią profesor, Zenoną Ślęzak-Biegaliową, szefową tamtejszej Polonii. Wyjechała z Polski do Moskwy, jako młoda dziewczyna na studia muzyczne. Została, bo poznała miłość swojego życia. Urodziła córkę, córka zna polski perfekcyjnie, bo tak ją mama wyuczyła. Razem z doktorem Szymonem Żylińskim z UWM w Olsztynie, z którym tam byłem, zrobiliśmy wywiad wideo z panią profesor. Uroniła łzę, jak mówiła o kraju. Tęskni za Polską i jest jej z tego powodu trudno. Zaskoczyło nas to, jak bardzo można za krajem tęsknić.

Ale tak poza tymi historiami to nie uważałem, szczególnie tęsknoty za Polską. Ludzie w byłych poradzieckich republikach akceptują polskie korzenie, ale myśl, by przyjechać do kraju przodków, nie spędza im snu z powiek.

Nie wszyscy Polacy, którzy znaleźli się na Syberii to zesłańcy. Byli tacy, co może nam się teraz wydawać dość niezwykle, którzy pojechali tam dobrowolnie.

– Imperium Rosyjskie chciało zasiedlać podbite, syberyjskie ziemie i zachęcało polskich chłopów do wyjazdów. Obiecywali darmową ziemię i pieniądze, wsparcie w relokacji. Polacy tam jeździli, bo dla nich to była możliwość awansu społecznego. W praktyce bywało różnie, bo nagle masz ścianę syberyjskiego lasu, minus 40 stopni w zimie, atakujące niedźwiedzie. Dwa czy trzy lata ludzie karczowali las pod syberyjską wieś Białystok. Wielu się poddało i wróciło do domu, jeszcze inni zginęli, ale byli tacy, co tam zostali. Na miejscu spotykałem wówczas 91-letnią Marię Markisz, której rodzina zakładała tę wieś na przełomie XIX i XX wieku. „Ja, Polaczka”, mówi do mnie. Próbowala mówić po polsku, ale przyznała, że języka już nie pamięta, bo całe życie mówiła po rosyjsku.

Nie był jej potrzebny.

– Warto było nie mówić po polsku. Szczególnie w latach trzydziestych, w czasach stalinowskiej czystki i tzw. operacji polskiej NKWD. Pani Maria opowiadała, jak przyszło NKWD, wszystkich mężczyzn z wioski wzięło i przepędziło 160 kilometrów po zamrzniętym lodzie. Część zginęła w czasie tej trasy, wielu pomordowano w Kolpaszewie w typowo sowiecki sposób – łomem roztrzaskując głowy. W 1979 roku rzeka Ob

podmyła teren w Kolpaszewie, gdzie chowano zamordowanych. Osunął się brzeg, odsłaniając ludzkie szczątki. Sowieckie władze z właściwą sobie delikatnością pozbyły się problemu. Zepchnęły zwłoki do wody i spuściły z nurtem rzeki.

I wiesz, te trzy tysiące kilometrów od domu widzę pomnik poświęcony pamięci Polaków, którzy tu mieszkali i zginęli i to robi wrażenie. Ale gdy Rosja rozpoczęła inwazję na Ukrainę w 2022 roku, ten pomnik został zdewastowany. Napisałem o tym na Facebooku. Jedna z moich koleżanek zaczęła ze mną dyskutować, co ją obchodzi jakiś pomnik tak daleko od domu, ważniejsze jest wspieranie Ukrainy i jej wygrana. I ja się z tym zgadzam, ale też mam takie pouczenie, że ten pomnik to ślad naszej pamięci, że przez tę Syberię przeszło tylu Polaków i tak wielu z nich zginęło. To kawałek naszej historii i tożsamości, jakkolwiek by to patetycznie nie brzmiało.

W Rosji byłeś nie tylko na Syberii i małych miejscowościach. Jak odebrałeś Moskwę?

– Moskwę to pewnie trzeba miesiącami zwiedzać, ja byłem tam kilka dni. Wielkie miasto. Moloch. Nawet, jak nie interesujesz się historią czy polityką, to jesteś w stanie coś o niej opowiedzieć. Byłem na moście, na którym zabito Borisa Niemcowa, na którym odliczany jest czas, ile dni minęło od jego zabójstwa. To robi wrażenie. Wszedłem do redakcji „Nowej Gazety”. Widziałem biurko Anny Politkowskiej. Przywitałem się, jak się później okazało, z noblistą pokojowym Dmitrijem Muratowem, z redaktorem naczelnym „Nowej Gazety”. I wiesz, czytam o tym w newsach, w mediach i nagle mogę tego wszystkiego dotknąć.

Myślałeś kiedykolwiek o tym, żeby pojechać po prostu na wakacje all inclusive? Odpocząć.

– Z moją byłą partnerką jeździliśmy na takie zwykłe wakacje – morze, piasek, wieczorne kolacje w restauracji. To nie było all inclusive, w życiu się na to nie zdecyduję. Ale na wakacje na moich zasadach, które sam zaplanuję, czemu nie? Takie wyjazdy nawet mi się podobały.

Ale wolisz być w takich miejscach jak Halabdzja, w której w 1988 roku irackie wojsko przeprowadziło atak gazowy, zabijając kilka tysięcy Kurdów.

– Wydaje mi się, że przyjeżdżając do takich miejsc, oddaję pamięć tym osobom i wydarzeniom. Później opowiadam tak jak tobie teraz, czy innym, o tych miejscach. O Halabdzji niewiele osób wiedziało. O Biesłanie więcej, ale mieć wiedzę o tej tragedii, to co innego niż tam pojechać, zobaczyć, wejść na cmentarz zbudowany dla osób, które zginęły jednego dnia. I leżą na nim główne dzieci.



Gdy ktoś chce mi dać coś do jedzenia, to od razu ogarnia mnie lęk. Od razu mówię, że nie jestem głodny

W Biesłanie zapytałem na ulicy, gdzie jest ta szkoła. Nikt nie dociekał, po co mi to. Wszyscy wiedzieli, po co przyjechałem. Wychodzę zza rogu i nagle widzę ten budynek. Pamiętam dojmujące poczucie pustki i kompletną ciszę, mimo że dookoła są bloki mieszkalne i wydaje się, że toczy się zwykłe życie. Widzę salę gimnastyczną. Tę, w której przez trzy dni terroryści przetrzymywali dzieci. W niej jest pełno maskotek. Są też butelki z wodą, bo zakładnicy przez trzy dni nie dostawali picia. Na ścianach szkoły widać ślady po kulach, różne napisy, które przez lata wymalowały inne dzieci czy rodziny. Z normalnej, ruchliwej ulicy nagle w ułamku sekundy znalazłem się w miejscu pełnym smutku i cierpienia.

W Moskwie pojechałem na Dubrowkę, miejsca znanego z ataku terrorystycznego. Chciałem wejść do sali byłego teatru, w którym z podczas akcji służb rosyjskich, zginęło ponad 170 osób, w tym 130 zakładników. Portierka nie chciała mnie wpuścić, bo było kilka minut po zamknięciu. Prosiłem ją, by weszła ze mną, że zajmnie to tylko chwilę. Nie dała się namówić. Byłem rozczarowany. Zawsze urok osobisty i to, że jestem z daleka, działał. Ktoś uchylał drzwi, opowiadał mi coś interesującego.

Opowiedz mi o Kurdach.

– Zapalałem do nich sympatią, gdy walczyli z Państwem Islamskim. Oni jedyni na Bliskim Wschodzie są prokobiecty, lewicowi, szczególnie w Rożawie w północno-wschodniej Syrii. Kurdowie są największym narodem nieposiadającym własnego państwa. Są rozrzućeni między Turcję, Syrię, Irak i Iran. I wszędzie są tlamszeni. Zafascynowała mnie ich pokręcona historia. Przy tych trudnych doświadczeniach są niezwykle mili i gościnni.

Podczas wizyty w Iraku odwiedziłeś Ministerstwo do Spraw Męczenników i Operacji Al-Anfal. Zostałeś przyjęty przez urzędnika. Wszedłeś tam ot tak, z ulicy.

– To miejsce znajduje się w Irbilu, stolicy irackiego Kurdystanu. W jednej z książek Pawła Smoleńskiego przeczytałem o tym ministerstwie, więc pomyślałem, że spróbuję tam wejść. Przedstawiłem się jako dziennikarz Polski, opowiedzieli mi o tym, co robią, dali mi książkę na temat ludobójstwa na Kurdach i jeden z urzędników zabrał mnie na śniadanie. Zdziwiłem się, bo on po prostu z tego ministerstwa wyszedł; nigdzie się nie odmeldowywał. To było cie-

kawe doświadczenie. Nie wyobrażam sobie, żeby w Polsce ktokolwiek mógł wejść do jakiegokolwiek ministerstwa z ulicy i zostać tak podjęty.

Na jednym ze spotkań z tobą, na którym byłaś w 2022 roku, opowiadałeś, że już rok wcześniej widziałeś osobliwe sytuacje i ruchy zapowiadające napływ migrantów na Białoruś.

– Przygotowując się do wyjazdu, zawsze szukam najtańszych opcji na dostanie się do danego miejsca. Zobaczyłem, że Iraqi Airways, narodowa linia iracka, ma bezpośrednie połączenia na Białoruś. Bar-dzo mnie to zdziwiło, bo z ekonomicznego punktu widzenia wydawało się to nieopłacalne. A to było przygotowane pod to, co zaraz miało się zacząć.

Kiedy na polsko-białoruskiej granicy zaczęła się akcja z imigrantami, byłem akurat w Iraku. Słyszałem na ulicy wielokrotnie słowo „Polanda”. Ludzie rozmawiali o Polsce. Ten mężczyzna z ministerstwa, który poszedł ze mną na śniadanie, w pewnym momencie wyciągnął telefon, pokazał mi swoich kolegów. Zdjęcie z lasu na Białorusi. Mówił, że go namawiali, by pojechał za nimi. Mieli opłacony szlak do Wielkiej Brytanii.

Rodzina, którą poznałem w jezydzkiej świątyni w Lalisz, zaprosiła mnie na obiad. Po posiłku mężczyźni mówią coś o wizach i o tym, że ludzie z ich rodziny są teraz w lesie na Białorusi. I oni tak na mnie patrzą, jakby wyczekująco. Co ja myśle? Wzruszyłem ramionami, nikt nie wiedział, jaką skalę to przyjmie.

Jak myślisz, czego oczekiwali?

– Chyba po prostu byli ciekawi, co myślę. Pytali o mój profil na Instagramie, pisali do mnie, co tam u mnie słychać. Pojawiały się żartobliwe prośby o pomoc we wjeździe do Europy. Ale to nie szło dalej. Jeszcze kilkanaście lat temu ludzie w Uzbekistanie czy Tadżykistanie ofiarowali mi córki za żony za możliwość wyjazdu do Polski. Prawie zawsze jestem wypytywany o koszty i jakość życia w Polsce.

Mówili o tym, dlaczego uważają Zachód za lepszy świat?

– Przez ograniczenia językowe nie dyskutowałem w Iraku głębiej na te tematy, ale zazwyczaj mówili, że już tam kogoś mają. Często pojawiają się zarzuty, że z krajów arabskich na Zachód chcą dostać się tylko mężczyźni. A to chyba tak działa, że najpierw widnie jeden, jakoś się tam urządzi i kombinuje jak ściągnąć resztę rodziny.

Polska emigracja ekonomiczna też tak wyglądała: jedzie jedna osoba, organizuje się i ściąga resztę.

– Polakom zdarzało się pojechać do USA na wizie turystycznej i już do kraju nie wrócić. Nie chcę stawiać znaku równości między tymi zjawiskami. Polak zdobywał oficjalny dokument na wjazd, a później nielegalnie zostawał. Oni nie chcą zostać w Polsce. To miejsce, przez które trzeba po prostu przejechać.

Nikt nie mówił o Polsce jako miejscu docelowym?

– Nie spotkałem się z tym.

Estonia to ostatnia z republik dawnego ZSRR, w której byłeś.

– To była moja najmnij atrakcyjna podróż. Pojechałem tam, tylko aby wreszcie ją odhażyć. Chciałbym tam wrócić i potraktować ten kraj normalnie. Byłem tam w kwietniu 2022 roku, gdy świat zalały zdjęcia zamordowanych przez Rosjan ludzi w Buczy. Przed ambasadą rosyjską w Tallinie odbywał się protest. Przed budynkiem na chodniku leżał bez ruchu chłopak, miał skrwopowane ręce. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, bo nie brałem wcześniej udziału w takich akcjach. Byłem na proteście przeciwko wojnie, ale u nas w Olsztynie wszelkie protesty mają łagodną formę. A tu ten chłopak leży na tej zimnej ziemi, stoję między gapiami, wielu z nich mówi po rosyjsku, bo przecież w Estonii wiele osób przynajmniej się do rosyjskich korzeni. Mocne.

Dokąd chciałbyś jeszcze wrócić?

– Najchętniej pojechałbym jeszcze raz do Turkmenistanu. To jeden z najbardziej zamkniętych krajów na świecie, nazywany drugą Koreą Północną. Ciężko tam wjechać, chyba że dysponuje się dużym budżetem i wykupi się wycieczkę. Mnie udało się tam wślizgnąć na wizie tranzytowej, przemknąłem przez ten kraj w pięć dni i czuję niedosyt. To kraj pełen paradoksów, typowo środkowoazjatycka satrapia, z zakazami typu – kobiety nie mają się malować, a na ulicach mają jeździć tylko białe auta. Kontrast między stołecznym Aszchabadem a prowincją jest niewyobrażalny. Sama stolica jest jak ze snu – puste i wypomadowane ulice, największa na świecie liczba marmurowych budynków, wszystko wokół białe. Trochę jak sceneria z filmu.

A do Rosji byś wrócił?

– Chętnie, ale nie teraz, może po wojnie jak to wszystko się ułoży i uspokoje. Czulbym się teraz głęboko nie na miejscu, w dodatku za-

silalbym swoimi pieniędzmi budżet wojenny.

Odwiedzisz Moskwę?

– Nie. Jeśli pojadę, to tam, gdzie Rosja robi lub robiła swoim obywatelom coś złego. Jak na Kołymie. Napisałem o trudnych losach tego regionu tekst do „Tygodnika Powszechnego”. Kogoś to wkurzyło, bo do redakcji dzwonili z rosyjskiej ambasady. Grozili, że mnie z Rosji wyrzucą. Dzwonił wtedy do mnie redaktor: „Panie Karolu, jak pan teraz jest w Rosji, to niech pan wraca”. Ja do niego: „Ale, panie Wojciechu, co się dzieje? Jestem już w Polsce”. No i dowiedziałem się wtedy o tym telefonie z ambasady.

Czym tak rozzłościliście rosyjskich urzędników?

– Napisałem reportaż historyczny, przeplatając go współczesnymi obserwacjami. Pisałem o tym, co widzę, ale i o tym, co mówią ludzie. Widziałem zniszczoną Kołymę. Wydobywają z niej złoto i traktują jak śmietnik. Tam niewyobrażalnie piękny region, sukcesywnie niszczone. Leżą hektary porzuconych opon. Gdy stawiają jakąś odkrywkę, to obok niej wyrasta mała wioska. Kiedy wydłubią wszystko z ziemi, to infrastruktura zostaje. Zapada się i rozwala. Strasznie to wygląda, budynki kryte eternitem, blachą. Upadłych wiosek i miasteczek nikt nie sprząta. Wielki syf.

Jakuck, największe miasto Jakucji i jednocześnie jego stolica, położony jest na brzegu Leny, która ma kilka kilometrów szerokości. Nie dostaniesz się do miasta, jeśli nie przepłyniesz promem. Prom kursuje w jedną i w drugą stronę. W zimie jeżdżą po lodzie. Jeden z Jakutów na promie mówił mi: „Putin obiecywał most, no ale gdzie jest nasz most? Na Krymie”. I to się widać nie spodobało w ambasadzie Rosji.

Masz zakaz wjazdu do Rosji?

– Tego nie wiem. Okaze się, jak będę się kiedyś starał o wizę. ●

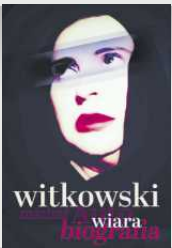
*Karol Fryta

• dziennikarz, podróżnik. Zafascynowany byłymi republikami ZSRR, w szczególności tymi na Kaukazie i w Azji Środkowej, do których lubi wracać. Od pewnego czasu poznaje Bliski Wschód. Można mu towarzyszyć w podróżach na YouTube: www.youtube.com/Karol-Fryta

OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34327976

PLEBISCYT Nike Czytelników



Nike
Nagroda Literacka

Zagłosuj na: wyborcza.pl/nike

Na Wasze głosy i recenzje czekamy do czwartku, 26 września

Do zdobycia voucher na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

REKLAMA

MECENAS
STRATEGICZNY:

PANATTONI

MECENAS:



Nie zaśpiewasz 100 lat NA URODZINACH 99-LATKA

Oglądamy ostatni sezon serialu, w którym rozum jak superbohater ma naprawiać świat.

Z **MARCINEM MATCZAKIEM**
ROZMAWIA **MARCIN MAKOWSKI**

MARCIN MAKOWSKI: Coraz częściej słyszę, że żyjemy w świecie roztrzaskanym, podzielonym. Chwieję się podstawy świata Zachodu, na których wyrosliśmy. Czujesz, że coś jest na rzeczy?

MARCIN MATCZAK: Nie możemy bezwarunkowo przyjąć założenia, że wszystko: aksjologia, systemy normatywne, fundamenty naszej cywilizacji, obróciło się w proch. Przypomina mi się cytat z Carla Schmitta, który w uproszczeniu brzmi tak: „Upada stare i ludzie bardzo się boją, że później powstanie pustka, w której nie można się odnaleźć. A przecież to nowe także przynosi ze sobą jakieś wartości. Jakiś system”.

Owszem, są ludzie tęskniący dzisiaj za starymi wartościami, które niosła ze sobą na przykład religia, bo obawiają się, że jeżeli ona upadnie, to – jak mówił Kononowicz – „nie będzie niczego”. W pustce ludzie nie będą mieli czego się chwycić, zapanuje chaos i nihilizm. Ale są też tacy, którzy uważają, że jeżeli coś upada, najwidoczniej nadawało się do upadku.

Co w zamian?

– Cała paleta nowych rzeczy, z których można wybierać. Świeżych, aktualnych. Zawsze, gdy rozmawiam na te tematy z przedstawicielami nowej lewicy, słyszę, że upadek tradycyjnych norm to naturalny etap ewolucji społecznej i nie należy mu się sprzeciwiać.

A jakie jest twoje zdanie? Jest się czego bać?

– Tak i że należy się temu sprzeciwiać. Ale najpierw trzeba zrozumieć ten proces, który dzieje się na naszych oczach. Upadek jednolitego systemu wartości oraz trudny do ogarnięcia pluralizm wartości to coś, co w swojej genezie jest o wiele starsze niż XXI wiek.

Od czego to wszystko się zaczęło?

– Myślę, że trzeba wrócić do reformacji i wystąpień Marcina Lutra, a tak naprawdę do Jana Gutenberga i wynaleźnia druku w XV wieku. Wtedy upadł monopol Kościoła na wiążącą wykładnię wiary, okazało się, że religię instytucjonalną można krytykować, a interpretacje Ewangelii odmienne od zdania papieża mogą wędrować pod strzechy.

Później ta iskra rozpalila całą serię wojen religijnych, pogłębiła rozwarstwienie i podziały polityczne, roztrzaskała na wiele kawałków lustro, w którym przez stulecia przeglądaliśmy się jako Europejczycy, widząc w przybliżeniu to samo.

Gdy spojrzymy nieco dalej, czyli w wiek XIX, widzimy, że następuje wtedy jedna z najistotniejszych zmian filozoficznych, jaką można sobie wyobrazić, będąca konsekwencją tamtych właśnie wydarzeń. Upa-

da wizja kartezjańska, wizja obiektywistyczna, będąca obietnicą stabilności poznawczej, na rzecz czegoś, co możemy nazwać perspektywizmem.

Mógłbyś to uprościć?

– Wiemy od Immanuela Kanta, że nie istnieje coś takiego jak jedna, obiektywnie dostępna nam rzeczywistość. Istnieją raczej jej ujęcia, których dokonuje nasz umysł. Fryderyk Nietzsche twierdził, że nie ma jednego, oficjalnego oglądu świata, który obowiązuje wszystkich – są tylko indywidualne perspektywy, do których wzajemnie chcemy się przekonać, często siłą.

Perspektywizm czyni bardzo trudnym utrzymywanie, że istnieje uniwersalny system norm, a myślenie to dzięki XX-wiecznym filozofom, zwłaszcza postmodernistom, bardzo mocno przeniknęło światopogląd współczesnego człowieka. Nie tylko nie zgodzi się on z twierdzeniem, że istnieje jeden niezachwiany system normatywny, ale wręcz takie twierdzenie wyśmiej.

Prawo naturalne stało się passé?

– Tak. Dlatego nie mamy już zbioru norm, wobec którego wszystkie inne muszą się orientować i być mu podległe. Ta wielka filozoficzna zmiana zachodzi nie tylko w warstwie języka, ale w samej strukturze myślenia o świecie.

Na tym polega znaczenie wielkich filozofów, że choć niewielu z nas czyta dzisiaj „Krytykę czystego rozumu” czy „Poza dobrem i złem”, myślimy ich ideami. Pierwszy z brzegu uczeń liceum zapytany, czy istnieje jedna słuszna interpretacja wiersza, odpowie z oburzeniem, że to wymysł polonistki. I teraz wystarczy zmienić pytanie i zamiast „interpretacja wiersza” postawić „wizja dobrego życia”. Idę o zakład, że usłyszymy coś w stylu: „Chyba pan zwariował. Istnieje wiele wizji dobrego życia, spośród których możemy wybrać”. I kto ma ocenić, która jest najlepsza? Do jakiego autorytetu mamy się odwołać? Na tym założeniu zbudowane jest popularne obecnie myślenie postmodernistyczne, ale nie tylko. Do wizji Kartezjusza i jego koncepcji, że oto istnieje jakiś punkt, z którego można obiektywnie obserwować i oceniać rzeczywistość, nie ma już powrotu.

Nie ma „punktu widzenia Boga”, są tylko ludzie wrzuceni w świat, każdy ze swoją indywidualną perspektywą wynikającą z konkretnego miejsca w czasie i przestrzeni. W tym sensie to jest chaos, bo jeżeli jako młody człowiek wchodzę w świat wielości wizji życia, skąd mam wiedzieć, co wybrać?

A gdybyś urodził się w średniowieczu?

– W jakimś sensie miałbym łatwiej. Dostałbym na tacy jedną i powszechnie uznaną w moim kręgu kulturowym wizję świata. Teraz wchodzę do supermarketu idei. Przechadzam się po alejkach, oglądam to, co na półkach, i wybieram, co mi pasuje.

Czy to nie jest wybór pozorny?

– Wielu twierdzi, że jest. Podobnie jak w przypadku wyborów konsumenckich, które coraz częściej są wypadkową algorytmów, reklamy, wyprzedzania i pro-



FOOTSTOCK IMAGES

jektowania naszych decyzji oraz manipulacji klientem. W wielu przypadkach kupujemy produkty, które mają marketingowo wystarczającą siłę przebicia, ale niekoniecznie są najzdrowsze czy dla nas najlepsze.

Ten stan wielości wyboru, jeśli trwa zbyt długo i każe nam podejmować decyzje zbyt często, może rodzić niepokój, o którym Erich Fromm pisał jako o „przekleństwie wolności”. Gdybym urodził się w średniowieczu, nie musiałbym wybierać, bo nie było z czego. Ten stan rzeczy miał oczywiście swoje dobre i złe konsekwencje. A dzisiaj?

Wypisz wymaluj dylemat wielkiego inkwizytora z „Braci Karamazow” Dostojewskiego. Kto zdejmie z ludzi „nieznośne brzemie wyboru” i odpowiedzialności za wolność?

– Dokładnie tak. Dostojewski w „Poemacie o wielkim inkwizytorze” zwraca uwagę, że problem ten często prowadzi człowieka do punktu, w którym z ulgą pozbywa się on wolności. Fromm rozkładał ten mechanizm na czynniki pierwsze przy okazji opisu działania systemów totalitarnych od strony psychologicznej.

Wracając do perspektywizmu: kluczowe jest zrozumienie, do czego on prowadzi. Jak czyni z każdego człowieka osobne uniwersum, w którym brakuje zewnętrznego, obiektywnego „punktu widzenia Boga”.

W średniowiecznej scholastyce mówiło się: „z punktu widzenia wieczności”.

– Teraz mamy „mój punkt widzenia”. Nasz umysł konstruuje rzeczywistość, bo – jak mówi Kant – nawet jeśli istnieje jakaś obiektywna rzeczywistość, nie mamy do niej niezapóźnionego dostępu. Patrząc na świat, już go konstruujemy. Nie mamy dostępu do nomenów, rzeczy samych w sobie. Widzimy tylko fenomeny – w uproszczeniu: pewne wizje tej obiektywnej rzeczywistości. Postrzegamy świat za pomocą własnego „interfejsu”, a nie poprzez dotarcie do rzeczy obiektywnie istniejących.

To prowadzi do subiektywizmu, do starego skądinąd twierdzenia, że to człowiek jest miarą wszechrze-



Kiedy widzę najpierw puchatego kotka, później umierającego ukraińskiego żołnierza i dziecko śpiące w „Mam talent!”, to mój umysł się poddaje

czy – każdy postrzega świat na swój sposób. Nie ma nic obiektywnego. Bo czy obiektywnie istnieje na przykład kolor czerwony? Czy maki na Monte Cassino były rzeczywiście czerwone, skoro choćby owady, widzą świat zupełnie inaczej? Czy stół, przy którym siedzimy, jest obiektywnie twardy?

Dla mnie jest, ale z perspektywy fizyki cząstek elementarnych składa się w większości z pustych przestrzeni między atomami i elektronami.
– Już palicho filozofię, ale nauki ściśle mówią nam, że również czas i przestrzeń są względne. Zależą od punktu odniesienia, masy, prędkości obiektu. Nie ma „punktu widzenia wieczności”.

Greckie „átomos” oznacza coś, czego nie da się przeciąć ani przepołowić.
– A tu proszę, współczesna fizyka kwantowa pokazuje, że nawet atom można „rozpołowić”, znaleźć w nim kwarki czy bozony.

Czyli od XIX wieku, a zwłaszcza w XX stuleciu zarówno fizyka, jak i metafizyka zupełnie nam się roztrzaskały.
– Tak, te światy zaczęły się rozjeżdżać. Ontologicznie, czyli od strony poglądów na to, czym jest rzeczy-

wistość, byt; epistemologicznie, czyli od strony tego, czy i jak możemy tę rzeczywistość poznać; oraz aksjologicznie, czyli od strony tego, jakie wartości powinny nam w życiu przyświecać.
Dlatego współcześnie, gdy ktoś taki, jak na przykład John Finnis, wybitny filozof prawa naturalnego, mówi, że istnieje nienaruszalny trzon natury ludzkiej, na który składają się konkretne wartości obecne we wszystkich kulturach, uznawany jest za relik z mierzchłych czasów, niemal za talibę. Bo w sumie dla czego ma istnieć jakaś wspólna perspektywa?
Wspominales o średniowieczu jako czasie jedności, ale nie jest tak, że wtedy ludzie nie mieli dylematów. Były schizmy, sekty, walki państw świeckich z Państwem Kościelnym. Nie był to czas bez kryzysów tożsamości.

Jednak gdy przychodzili, ludzie mieli autorytety, do których mogli się odwołać. Osobna sprawa, na ile tłumilo to swobodę wymiany idei, które dały o sobie znać w renesansie, ale istniały jakieś powszechnie rozpoznawalne punkty odniesienia.
– W tym sensie – zgoda. Często patrzymy na historię z perspektywy wybitnych jednostek, a nie zwykłego człowieka. Oczywiście były schizmy i herezje, ale te rodziły się w głowach nielicznych: Lutra, Kalwina. Nie



Marcin Matczak

• prawnik, wykładowca UW, filozof prawa, radca prawny specjalizujący się w prawie administracyjnym i konstytucyjnym. Felietonista Gazety Wyborczej.



Marcin Makowski

• dziennikarz i publicysta, z wykształcenia historyk oraz filozof.

w głowie chłopca pańszczyźnianego, który rozmyślając w trakcie zbiorów, mógłby stworzyć dla siebie alternatywny system wartości.
Dzisiaj nie tylko nie mamy już autorytetów, które mogłyby nam pomóc w chwilach zwątpienia, ale sam pomyśl, że ich potrzebujemy i że miałyby kierować naszym życiem, uznajemy za opresyjny.
Autorytet nie jest dobrotliwym dziadkiem, buddyjskim mędrcem. On czy ona, jak każdy, ma swoją „wolę mocy”, chce nas zindoktrynować. Jego czy jej „pomoc” może być próbą przeciągnięcia na swoją stronę. To jest moim zdaniem jeden z najniebezpieczniejszych elementów myślenia Nietzschego, który podważa jakiegokolwiek międzyludzkie zaufanie.
W myśleniu postmodernistycznym ten motyw pojawia się w pojęciu metanarracji: kuszącej, ale oszukańczej i manipulującej opowieści o świecie, która ma spowodować, że będę w nim działał w pewien zaprogramowany przez innych sposób.
Metanarracją jest opowieść o potrzebie patriotyzmu – w rzeczywistości przygotowuje nas do roli mięsa armatniego. Metanarracją jest wizja Matki Polki – ma przygotować kobiety do roli żywych inkubatorów. Metanarracją jest wreszcie religia – ma uczynić z nas potulne owce i barany, tak przynajmniej twierdzi cyniczny postmodernista.
W tej wizji, jeżeli jestem starszy i przychodzę do kogoś młodszego z radą, jak żyć, opartą na własnym doświadczeniu, to nie chcę pomóc, ale przekabacić.
Sama idea autorytetu została zatruta założeniem, że jeżeli przychodzi ktoś z wyższym statusem oraz większym doświadczeniem, jego intencja jest z gruntu fałszywa. Mamy więc nie tylko problem z różnorodnością i chaotycznością świata, ale także z drogowskazami, które mogłyby pomóc ten chaos uporządkować.
Filozoficznie zniszczyliśmy wizję jednolitego świata. Może dobrze, że tak się stało, bo zbytnia jednolitość takiej wizji może prowadzić do oplakanych konsekwencji, co pokazały XX-wieczne totalitaryzmy. Ale przy okazji zniszczyliśmy też etos autorytetu, co przekłada się dzisiaj wyraźnie choćby na kryzys instytucji

Kościola. Pytanie, czy to drugie zniszczenie jest tak samo uzasadnione jak pierwsze.

Czy ta sytuacja jest czymś nowym?

– Wydaje mi się, że tak. Specjalnie pokazuję cezury czasowe, a zwłaszcza przełom wieków XIX i XX, aby przypomnieć, że wielcy filozofowie zwani czasami „dziadkami postmodernizmu”, czyli Marks, Freud i Nietzsche, to trójca, która wstrząsnęła światem oraz pogrzebała nadzieję, że moglibyśmy go postrzegać w sposób obiektywny i uporządkowany. Łącząc to z odkryciami naukowymi, otrzymaliśmy mieszaninę wybuchową.

Dlaczego wymieniliś akurat tę trójkę?

– Zobacz, co mówi Marks. To wielki demaskator, odkrywca ukrytej dla niewprawnego oka struktury społecznej, w której funkcjonują praca i kapitał. Mogłoby się wydawać, że pracodawcy, przedsiębiorcy robią coś dobrego – a oni eksploatują.

Wykorzystują naiwność i położenie zwykłego człowieka, dlatego ten musi się uzbroić w podejrzliwość wobec tego, co zastaje w obszarze pracy i pieniądza.

Freud to też odkrywca ukrytej struktury – w naszych głowach. Przed Freudem wierzyliśmy, że to, co robimy, wynika z naszych decyzji podejmowanych za pomocą rozumu. A tutaj się okazuje, że kierują nami popędy i żądze, one nami manipulują. Nie racjonalny umysł, ale nieracjonalna, pełna instynktów podświadomość.

To wszystko wzmacnia Nietzsche, dodatkowo uderzając w religię i dokonując trzeciej wielkiej demaskacji. Wydawałoby się, że chrześcijaństwo to coś wartościowego, tymczasem on mówi, że to wymysł ludzi słabych, którzy ze słabości uczynili cnotę.

Nigdy wcześniej człowiek nie musiał się zmagać z tak wszechstronnym zakwestionowaniem wszystkiego, w co wierzył, czemu ufał, co tworzyło jego tożsamość oraz porządkowało otaczający go świat.

Można powiedzieć, że oglądaliśmy ostatni sezon serialu „Myślenie oświeceniowe”, w którym rozum gra rolę superbohatera i – jak to superbohater – ma naprawiać świat.

Tymczasem okazuje się, że musi naprawiać sam siebie. Ten rozum wprawdzie opłynał energią jądrową, obniżył śmiertelność noworodków, wynalazł szczepionki, ale równocześnie stworzył Auschwitz.

Może nie jest więc odpowiedzią na wszystkie problemy trawiące człowieka? Musimy sobie uzmysłowić, że w ciągu ostatnich 150 lat ludzkość intelektualnie przeszła przez rewolucję, która nie ma precedensu.

A dzisiaj dochodzą do tego galimatiasu portale społecznościowe. Jak wynika właściwie ze wszystkich badań – przyczyniające się do obniżenia samooceny oraz zwiększające polaryzację społeczną.

– I to jest nasza druga rewolucja Gutenberga. Pierwsza, jak już wspomnieliśmy, polegała na tym, że wiedza zastrzeżona dla niewielu, staje się przystępna, łatwa w dystrybucji i niepodatna na reglamentację.

Revolucja Jana Husa na początku XV wieku była nieudana między innymi dlatego, że nie miał dostępu do narzędzi powielania swoich idei, z których sto lat później korzystał już Marcin Luter. Jego idee, wzmocnione nową, szybko rozpowszechniającą wiedzę technologią wywołały reformację, rozpad katolicko-politycznych więzi społecznych, wojny religijne i cały szereg niemożliwych do zatrzymania następstw ideowych.

W sposób oczywisty internet robi to samo, tylko na sterydach. Gdy zaczynałem uczyć się prawa, normą było pisanie na maszynie, mieliśmy bibliotekę, w której były kodeksy, ale do której nie można było wejść ot tak, z ulicy. Teraz, gdy dyskutujemy o kwestiach praworządności, na platformie X mam całą masę specjalistów, którzy cytują przepisy ustawy zasadniczej, próbując udowodnić, że się mylę, bo mają dostęp do tej skumulowanej wiedzy w kilka sekund.

Tak samo jest z lekarzami. Nie bez powodu łacina pojawia się w prawie i w medycynie – to rodzaj kodu kulturowego, który symbolizował hermetyczność tych zawodów. To

już nie działa, bo wszyscy możemy przeczytać ulotkę leku albo artykuł w „Lancecie”.

Takie łatwe rozprzestrzenianie się wiedzy w społeczeństwie tworzy pozorną równość, powierzchowny egalitaryzm. Czyli po raz kolejny osłabia zaufanie do autorytetów, którym publicznie można powiedzieć: „sprawdzam”. Portale społecznościowe i internet dodatkowo działają na poziomie emocjonalnym, przyczyniając się do zburzenia koncepcji człowieka jako zwierzęcia racjonalnego.

Przez całe stulecia naturalnym narzędziem porządkowania świata była narracja, opowieść. Taka, która ma początek, rozwinięcie i koniec – zazwyczaj związany z moralą. Widzimy ten mechanizm też na poziomie psychologicznym. Życie jest łatwiejsze do zrozumienia, gdy tworzymy z niego spójną opowieść.

Ty też tak opowiadasz sobie życie?

– Mogłbym to zrobić. W tym ujęciu jestem chłopakiem, który wychował się na prowincji, następnie, realizując swoje aspiracje, piął się do góry i doszedł do jakiegoś tam sukcesu w Warszawie.

Jednak da się tę opowieść przedstawić inaczej. Może jestem jak tytułowy „tańczący jastrząb” z powieści Juliana Kawalca? Przez całe życie się z czymś szarpie, żeby coś komuś udowodnić? A na końcu, jak ten jastrząb, który umiera w szaleńczym tańcu, umieram, bo ciągle mi mało.

To tylko przykład, w którym opowiadam to samo życie w dwóch narracjach, ale fakt, że mogę to zrobić, zakłada, że ja, który opowiadam, i ty, który słuchasz, godzimy się na jakieś wspólne punkty odniesienia.

Nie da się znaleźć takiego porządku ani zgody co do punktów odniesienia w świecie internetowej rolki, która jest zaprzeczeniem uporządkowanej narracji. A przecież chrześcijaństwo z linearną koncepcją czasu, a nie cyklicznością, też jest narracją.

Świat się zaczął, miał punkt kulminacyjny i kiedyś się skończy. To daje spokój, poczucie następstwa zdarzeń. Rolka internetowa, seria niepowiązanych, nieuporządkowanych elementów nie ma początku, kulminacji ani finału. Jest symbolem chaosu, w którym współcześnie żyjemy.

Cały kalendarz liturgiczny skonstruowany jest w ten uporządkowany sposób – wpisany w cyklę pór roku, które jednak pokazują nadchodzący „finał”. Paruję.

– Cykliczność wpisana w linearność to z kolei dziedzictwo czasów pogańskich, ale mniejsza z tym. Wróćmy do Facebooka, TikToka, Instagrama. Z koncepcją „rolki” niszcza jakąkolwiek potrzebę narracji.

Kiedy w niekończącym się streamie treści widzę najpierw puchatego kotka, później umierającego ukraińskiego żołnierza i dziecko śpiewające w „Mam talent!”, to mój umysł się poddaje. Umysł ewolucyjnie przystosowany do nałożenia na to jakiejś ramy narracyjnej. To są niepowiązane ze sobą kawałki informacji, których nie da się opowiedzieć.

Jeżeli ktoś kształcił się przed epoką internetu 5G, może sobie poradzić, bo ma inne punkty odniesienia. Ale co z młodym człowiekiem, który od przedszkola ma nieustanny kontakt z tak nieuporządkowaną rzeczywistością? Z brakiem linearności? Z internetowym stroboskopem, który rzuca światło na rzeczy niepowiązane ze sobą niczym poza tym, że generują nasze zaangażowanie?

Byung-Chul Han, niemiecki filozof koreańskiego pochodzenia, w eseju „Kryzys narracji” pisze właśnie o tym, jak zatraciliśmy umiejętność przeobrażenia społeczeństwa informacyjnego z powrotem we wspólnotę opowieści.

Gdy jako dzieciak czytałem „Trylogię” Sienkiewicza, szedłem przez wielką powieść, która prowadziła mnie logiczną drogą do finału. Teraz młodzi ludzie kontaktują się z czymś innym. Głównie obrazem, urywkiem historii, upokorzeniem słowa. Z punktową emocją.

Jacek Dukaj przestrzegał przed takim światem w eseju „Po piśmie”. Jego zdaniem przyszłość to czas postrzeczki.



Lęk: gdy zamkniemy ostatni kościół, a chaos świata i przebudźcowanie informacjami będą nie do zniesienia, przyjdzie ktoś i nas wszystkich weźmie za gardło

– Han dodaje do jego refleksji coś jeszcze – nie tylko obraz zastępuje słowo, przez co przestajemy potrzebować pisma, ale też zamiast świadkami opowieści stajemy się w życiu społecznym świadkami chaotycznego streamu docierających do nas impulsów.

Internet jest intertekstualny. Gdy wchodzę do sieci, nie widzę żadnej drogi, którą miałbym pójść. Jedna strona odsyła mnie do kolejnej, tamta do następnej, i tak bez końca.

Jedyna logika, która w tym świecie istnieje, to miara czasu, który algorytmy przekładają na nasze zaangażowanie. Im dłużej i częściej oglądam bądź klikam w jakieś materiały, tym więcej ich otrzymuję.

A może jesteśmy u kresu tego przesilenia? Nie masz poczucia, że bodźców jest już zbyt wiele i ludzie powoli zaczynają szukać alternatywy w postaci prostych opowieści? Najczęściej usuwaną aplikacją z naszych smartfonów w 2023 roku był Instagram. Są tacy, którzy uważają, że nie ma się z czego cieszyć, bo w miejsce pluralizmu paradygmatów przyjdzie coś jeszcze gorszego – autorytaryzm.

– To nie wykluczone. Gdy ktoś diagnozuje upadek dotychczasowych paradygmatów myślenia, nie musi to być tylko lament katolika, który czuje, że traci przewagę kulturową. Być może to próba spojrzenia na szersze procesy społeczne. Bez względu na swoją wiarę widzę, że świat rozpadł się na niepasujące do siebie kawałki, zadając więc sobie pytanie: co z tym zrobić?

Jakie są opcje?

– Jedna, żeby nie robić nic. Może przemiany kulturowe, na które narzekamy, są jak proces geologiczny? Płyty tektoniczne się ruszają, skały doznają erozji, rzeki obierają nowe koryta. I co? Jakoś z tym żyjemy, bo nie bardzo możemy cokolwiek zrobić. Myślę jednak, że to nie jest dobra odpowiedź.

Dlaczego?

– Bo patrzę na normy i instytucje przez pryzmat teorii ewolucji. Tak jak oko czy kciuk są adaptacjami organizmu do otoczenia, które pomagają mu lepiej sobie z tym otoczeniem radzić, podobnie na poziomie kultury normy, instytucje, prawo, porządek aksjologiczny są adaptacjami, które pomagają radzić sobie z rzeczywistością.

Niektóre z nich robią to lepiej, inne gorzej. Weźmy przykład instytucji małżeństwa. Upraszczając, mamy dwa modele: monoga-

miczny i poligamiczny, jednak monogamia dominuje w większości społeczeństw. Jest tak najprawdopodobniej dlatego, że monogamia wywołuje mniej konfliktów.

Przy w miarę równej liczbie kobiet i mężczyzn w danej społeczności, gdy część „samców” ma dostęp do większej liczby „samic”, reszta go nie ma i pozostaje sfrustrowana, z czego rodzą się spory, walki i agresja.

Są całe opracowania naukowe stawiające tezę, że ludzkość przeszła od poligamii do monogamii właśnie ze względu na trudną do zniesienia skalę wewnętrznej konkurencji – nie był to więc przypadek, ale wybór lepszej ewolucyjnie formy.

I tak można spojrzeć na wszystkie zjawiska kulturowe. Lepsza jest dyktatura czy trójpodział władzy? System autorytarny, który centralnie przetwarza informacje ze świata zewnętrznego i pomaga się do niego dostosować, tworząc plany pięcio- lub dziesięcioletnie, czy może demokracja z rozproszonym systemem władzy, który lokalnie stara się dostosować do niepewnego otoczenia i rozpoznać czyhające zagrożenia?

Jak to się ma do naszej dyskusji o cywilizacji opartej na religii chrześcijańskiej?

– Możemy zapytać: czy to, że religijność zanika, to ewolucyjnie dobrze czy źle? Skoro religia – narzędzie zaspokajania pewnych potrzeb, między innymi nakładająca porządek na świat i ułatwiająca dokonywanie wyborów moralnych – upadła, to czy zniknęły również te potrzeby, które przez wieki zaspokajala? Moim zdaniem nie.

To pozwala nam zrozumieć, dlaczego w miejsce instytucjonalnej religii wchodzi quasi-religia, czyli na przykład ideologie.

Stąd lęk, że gdy zamkniemy ostatni kościół, a chaos świata i przebudźcowanie informacjami będą nie do zniesienia, przyjdzie ktoś, kto nas wszystkich weźmie za gardło.

Znajdzie i narzuci narrację, nawet za cenę pozbycia się tych, którzy jej nie przyjmą.

Hitler dla zwolenników w Republice Weimarskiej był właśnie kimś, kto pozwalał odnaleźć porządek w państwie hiperinflacji, zszarganej dumy i przestępczości.

– Otóż to! Myślę, że to być może najważniejszy punkt odniesienia całej naszej rozmowy. Chaos kontra narzucony porządek.

Czy lepszy jest chaos, z którym każdy radzi sobie indywidualnie, ale żyje w jakiejś wolności, czy porządek, który został ustano-

wiony siłą z góry, więc odziera nas z indywidualnej wolności?

Jednym z powodów upadku religii jest to, że za bardzo się usztywniła, niebezpiecznie zbliżając się do ideologii. Reakcje papiestwa w wieku XIX na zmieniający się świat są tego przykładem. Zamiast hermeneutycznie dostosować się do rzeczywistości, Watykan wydawał kolejne sylabusy definiujące wroga. To uniwersalna reakcja ideologii na rosnącą entropię. Skoro tracę panowanie, buduję mury. Jak w „American Beauty”: homoseksualny ojciec tłamsi swoje preferencje, a gdy zaczyna podejrzewać o nie syna, rusza do walki z jego wyborami, usztywniając się jeszcze bardziej.

Gdy zwierzęta czują się przyparte do muru, stosują strategię ucieczki, udawania martwego albo ataku.

– A ludzie, gdy osuwa im się grunt pod nogami, często wybierają powrót na bezpieczne pozycje oraz budowę twierdzy, okopanie się w czymś, co wydaje się pewne.

To, co powiedziałeś o nazizmie, Fromm rozpisał psychologicznie na czynniki pierwsze w „Ucieczce od wolności”. Totalitaryzm okazał się atrakcyjny dla milionów osób zmagających się z problemami w niemal każdej dziedzinie życia, bo dawał odpowiedź totalną, porządkującą wszystko. Od zwasalizowanej kultury, przez autostradę, po wojско. Od porządku wartości po określenie, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem.

Ciekawe, że tej pokusie ulegają nawet wiodący dostatnie życie intelektualści. Choćby Martin Heidegger – jeden z najwybitniejszych filozofów XX wieku, który wstąpił do NSDAP.

– Jemu chodziło o coś innego – w narodowym socjalizmie widział ratunek przed dwoma zagrożeniami współczesnej cywilizacji: amerykanizacją i sowietyzacją. Pisał o tym po wojnie w listach do Hannah Arendt.

Bez względu na czasy i osoby, których dotyczy, dylemat, o którym rozmawiamy nigdy się nie kończy. Jaką cenę jesteśmy w stanie zapłacić za odpowiedzialność osobistą, która idzie w parze z wolnością? Fromm totalitaryzm opisał jako formę masochizmu społecznego – poddanie się z ulgą czemuś większemu od siebie. Złożenie wolności u stóp kapłanów, którzy podejmą jej ryzyko za ciebie, zabierając twoją indywidualność.

Bo ile można oceniać, czy coś jest dobre, czy może złe? Gdy codzienność nakłada ciężary nie do uniesienia, chętniej się z tej odpowiedzialności abdykuje.

Jak ten dylemat wygląda przeniesiony na nasze realia?

– Dobrze portretuje go na przykład Agnieszka Holland w „Zielonej granicy”. Mamy Polaków, którzy ze względu na działanie Rosji i Białorusi na granicy nagle stają przed dylematem. Co się tam dzieje? Jak działać? Jesteśmy dobrzy czy zli? Mamy całą masę ludzi, którzy komfortu szukają w skrajnej ideologii tej kwestii, w uczyńnieniu jej czarną albo białą. Jest albo zły Putin i Łukaszenka, którzy nas atakują, a zatem ani kroku wstecz, trzeba strzelać do wszystkich, a Bóg rozpozna swoich, albo dramat niewinnych ludzi, samych kobiet z dziećmi i nieczuła straż graniczna, która nie chce im pomóc.

Znacznie trudniej się zastanowić, czy możemy być jednocześnie miłośnierni i twardzi. Czy da się bronić nienaruszalności swoich granic, ale nie skazywać ludzi na śmierć na bagnach? Brak zniuansowania tego ogromnego sporu, który przetoczył się przez polską debatę publiczną, pokazuje brak naszej dojrzałości. Dojrzały ludzie potrafią myśleć w sposób złożony, a nie uproszczony.

A może w okopach nie zakłada się klubów dyskusyjnych?

– Wojna jest czarno-biała. Jednak my nie mówimy o wojnie, tylko o kryzysie na granicy. Oczywiście niektórzy nazywają to „wojną hybrydową”, ale samo użycie takiej nazwy już jest decyzją – bo wprawdzie „hybrydowa”, ale jednak „wojna”, a jak jest wojna, to

się strzela, nie dyskutuje, prawda? Na szczęście my, jako Polacy, jeszcze się wahamy, jesteśmy w sprawie tej granicy w dylemacie, na rozdrożu. Gdy przestaniemy mieć dylematy, gdy się stotalizujemy, wtedy będziemy mieć prawdziwy problem.

Wielki inkwizytor mówi do Jezusa, który nagle pojawia się w Sewilli: „Ty nam wszystko psujesz, przeszkadzasz, wymagasz od ludzi czegoś, co jest ponad ich siły”. Bo przecież ludzie – w mniemaniu inkwizytora – chcą po prostu chleba, władzy, autorytetu, porządku i cudu, który obezwładnia i zwalnia z wiary w coś, czego nie widać.

A Jezus mówi: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.

– Dobrze, że zapytałeś o „Braci Karamazow”, bo propozycja inkwizytora pokazuje dwie wersje chrześcijaństwa – prawdziwą oraz zdegenerowaną. Jezus przychodzi z czymś niezwykle trudnym: wymogiem nieustannego dokonywania decyzji oraz ponoszenia konsekwencji. Wielki inkwizytor w zamian za władzę chce wziąć do brzemień na siebie, uwolnić od niego człowieka. Jest to zatem wybór między prawdziwym spektrum wolności a totalitaryzmem. Chrześcijaństwo, w wersji ewangelicznej, jest w tym sensie odtrutką na totalitaryzm.

Ta opowieść zwraca uwagę na to, że Jezus odmówił ludziom tego cudu na pustyni. To oznacza, że Bóg oczekuje od nas wiary w coś, czego nie doświadczyliśmy empirycznie, ze wszystkimi konsekwencjami tego wyzwania: zwątpieniem, pustką, możliwością popelnienia błędu. W tym ujęciu ci, którzy chcieli włożyć palce w rany, jak święty Tomasz, poszli na łatwiznę. Sądzę, że z czasem będziemy musieli coraz częściej opierać się pokusom wielkiego inkwizytora, który chce nas uwolnić od od zwątpienia i – jak w porządku totalitarnym – dać nam pewność. Moim zdaniem to droga donikąd.

Czy to nie paradoks? Świat, w którym żyjemy, w dużej mierze odrzucił religię, widząc w niej nie źródło wolności, o której mówisz, tylko uwierający gorset. Mam poczucie, że to w dużym stopniu wina samego Kościoła.

– I tak, i nie. Oczywiście Kościół przyspieszył ten proces opieszałością w reagowaniu na sygnały ostrzegawcze oraz alienowaniem się od wiernych, ale ludzie też przechodzą przez zmiany mentalne, które w konkretnych epokach każą im szukać nadziei gdzie indziej.

Wracając do perspektywy ewolucyjnej, to nie jest złe, bo ani nadmierne usztywnienie, ani nadmierna płynność nie są dobre z perspektywy utrzymania ładu społecznego. Nie można robić zawsze tego samego, bez względu na okoliczności, ani reagować ad hoc, ciągle eksperymentując, zmieniając perspektywę, z której postrzegamy świat. Każda z tych skrajności jest na dłuższą metę szkodliwa. Dlaczego? Bo, jak uważa Ruth Millikan, filozof biologii i języka, nasze zwyczaje – na przykład jedzenie pałeczkami, mycie rąk po posiłkach – są efektem nawarstwiania się i powtarzania wyuczonych zachowań. Nazywa to „lineażami”.

Dlaczego powielamy rytuały, choćby tak z pozoru banalne, jak mówienie „dzień dobry” obcej osobie w windzie? Zdaniem Millikan dlatego, że tego typu reakcje przynoszą jakiś benefit. Gest podania ręki, kiedy się z kimś witam, sugeruje otwartość oraz manifestację pokojowych zamiarów, ponieważ nie trzymam w niej równocześnie broni.

Intuicyjnie wydaje się, że powinniśmy powtarzać coś, co przynosi benefit. Jeżeli jednak zapomnimy, że musimy dostosowywać nasze zachowanie do zmieniających się warunków zewnętrznych, będziemy czuli narastający dysonans, który może się przerozdzić w agresję.

Jak te idee przełożyć na zwykłe życie?

– Lineażem jest zwyczaj śpiewania „Sto lat” na urodzinach. Ale kiedy warunki się zmieniają, na przykład jesteś na urodzinach 99-latką, nie zaśpiewasz mu „Sto lat”. Bo nie przyniesie to zwyciężającego benefitu – czyli okazania życzliwości przez życzenie dłu-

gowieczności. Zaśpiewasz „Dwieście lat”. Gdybyś ślepo skopiował zachowanie, życzyłbyś 99-latkowi rychłej śmierci, i dałoby to na pewno efekt odmienny od tego, któremu służy to konwencjonalne zachowanie – sprowokowało niechęć, może nawet agresję.

Dobrze to widać także w konwencjach dotyczących wychowywania dzieci. Mogłoby się wydawać, że najlepszym sposobem koordynacji ludzkich zachowań jest wydawanie rozkazów przez jedną osobę, trochę jak w wojsku. Idź tam, nie rób tego, idź spać, jedz to.

Do pewnego etapu rozwoju dziecka doza zasadniczości i dyscypliny w wychowaniu jest potrzebna. W momencie, w którym dziecko dojrzeewa, wchodząc w okres nastoletni, podobne zdecydowanie zaczyna powodować opór. Zamiast wydawać rozkazy, trzeba uzasadniać swoje prośby.

Cały czas realizujemy tę samą funkcję właściwą, czyli koordynowanie zachowań naszego dziecka, ale musimy dostosowywać formę i środki do osiągnięcia tego celu, bo zmieniły się okoliczności. Wynika stąd, że właściwe korzystanie z tradycji nie polega na ślepym powtarzaniu tego, co było wcześniej, tylko na ciągłej czujności: czy moje kopiowanie tego, co raz się sprawdziło, nadal przynosi pozytywny efekt?

Jak w powiedzeniu, że czasami wszystko musi się zmienić, aby wszystko pozostało tak samo. Dlatego moim zdaniem złotym środkiem zarówno w wychowywaniu dzieci, jak i ewolucji społeczeństw jest półortodoksyjność. Świadomość tego, że nawyki, rytuały i wierzenia mają swoją wartość, bo pomogły nam dojść do miejsca, w którym jako ludzkość jesteśmy, ale jednocześnie otwartość na ich dostosowanie, gdy przyjdzie taka potrzeba.

Możesz podać jakiś przykład?

– Lubię sięgać do analogii z maniakiem uprawianym w Ameryce Południowej. Maniok od wieków przygotowuje się w pięciu długich i pracochłonnych etapach, mimo że już w trzecim przestaje być gorzki. Intuicja powinna nam odpowiadać, że szkoda tracić czas na dwa kolejne etapy, skoro osiągnęliśmy już pożądany efekt.

Dopiero w XX wieku chemicy zbadali, że pięć etapów obróbki i gotowania powoduje odtoksyczenie warzywa. Ci, którzy to wcześniej robili, nie mogli wiedzieć o podstawach naukowych swojej pięcioetapowej konwencji. Podporządkowanie się jej pozwoliło im przeżyć, bo konwencja ma w sobie zakodowaną mądrość wcześniejszych pokoleń. Można to odnieść bardziej generalnie do tradycji: czy jej potępianie w czambuł nie naraża nas na utratę czegoś cennego, potrzebnego nam do funkcjonowania?

Podobnie można tłumaczyć zakaz jedzenia wieprzowiny lub nabiału w pewnych religiach i strefach klimatycznych.

– Albo tabu jedzenia ryb przez kobiety w ciąży na Filipinach. Teraz już wiemy, że chodzi o metale ciężkie lub przenoszone przez ryby w mięsie substancje toksyczne, ale kiedyś nie było analiz chemicznych i po prostu ufano tradycji.

Te przykłady pokazują, że dobra konwencja ułatwia przeżycie. Półortodoksyjność zakłada, że warto, będąc człowiekiem średnowieczną, uprawiać rolę jak przodkowie, ale jednocześnie być otwartym na nowe metody, takie jak trójpółowka. Należy je jednak przyjmować ostrożnie, wdrażając stopniowo, bo w przeciwnym razie, jeżeli coś nie wyjdzie, zostaniemy na zimę bez zapasów. Nieustanna czujność jest tutaj kluczem do sukcesu.

Czyli tak jak generałowie zawsze toczą minione wojny, tak Kościół ciągle powtarzał to samo, zapominając, że nie żyjemy w epoce pielgrzymek Jana Pawła II do Polski?

– Myślę, że w Kościele są dwie postawy. Ludzi, którzy robią ciągle to samo, bo wierzą, że tylko powtarzalność może nas uratować w chaosie, oraz tych, którzy chcieliby otworzyć drzwi do Watykanu na oścież, dosto-

sowując się niemal bezkrytycznie do „ducha czasów”.

Pewnym przykładem może być wizja rodziny jako związku małżeńskiego kobiety i mężczyzny, którzy mają dzieci. Teraz, gdy zarówno definicja rodziny, jak i praktyka życia wielu ludzi się zmienia, mamy dwie opcje.

Pierwsza to pozostanie przy klasycznym modelu jak przy dogmacie, w którym absolutnie nic nie może się zmienić, a druga to założenie, że skoro tradycyjnie rozumiana rodzina uległa społecznemu rozkładowi, równie dobrze możemy żyć w wolnych związkach.

Dla mnie to w jakimś sensie odpowiedzi skrajne – bezrefleksyjne podporządkowanie się tradycji kontra wyparcie tradycji. Kolektywizm kontra indywidualizm. Gdy przyszedł Sobór Watykański II, szukano w Kościele czegoś pomiędzy. Przyjęto podejście, o którym już wspominałem, czyli perspektywę hermeneutyczną, która zakłada, że jesteśmy w ciągłej komunikacji z tradycją. W ten sposób do nowych sytuacji możemy aplikować stare, sprawdzone rozwiązania, ale nie w sposób bezrefleksyjny.

Podejście reinterpretujące tradycję z sukcesem zastosowano w amerykańskiej wykładni prawa w kontekście niewolnictwa i segregacji rasowej. Po zniesieniu tego pierwszego sędziowie pod koniec XIX wieku zastanawiali się, czy segregacja rasowa jest zgodna z ideą równości wszystkich ludzi. Sąd Najwyższy orzekł, że tak. Ale później, w 1954 roku w sprawie Brown kontra urząd edukacji w Topeka, ten sam Sąd Najwyższy podważył ten wyrok.

Uznając, że był nieważny?

– Nie. Zbadano faktograficznie, że segregacja rasowa, która miała rzekomo przynosić równość, szkodzi społeczeństwu i jako taka jest sprzeczna z 14. poprawką do konstytucji. Konkretnie chodziło o zakładanie osobnych szkół dla dzieci czarnych oraz białych, czego konsekwencją był brak równych szans w dorosłym życiu oraz na rynku pracy.

Sędziowie z lat 50. wzięli zatem starą zasadę, zaaplikowali ją do nowych faktów i uznali, że trzeba zmienić prawo, ponieważ zasada nie jest realizowana. Zamiast zrywać z wcześniejszym orzecznictwem, postanowiono je zrewidować.

Co ciekawe, Thurgood Marshall, który reprezentował organizację wnoszącą oskarżenie, czyli Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Awansu Ludności Kolorowej, został później pierwszym czarnoskórym sędzią w Sądzie Najwyższym USA.

Twoim zdaniem w najważniejszych dylematach współczesnego świata możliwa jest trzecia droga?

– Sądzę, że tak. Nie tylko możliwa, ale także konieczna. Zamiast palić wielkie księgi religii monoteistycznych, można na nie spojrzeć również jako na skumulowaną wiedzę poprzednich pokoleń.

Odcięcie się od tradycji przypomina gotowanie manioku za każdym razem w inny sposób. To niezwykle groźne. Ponieważ nasze życie trwa średnio 70-80 lat, wielu rzeczy nie jesteśmy się w stanie nauczyć przez doświadczenie, metodą prób i błędów. Dlatego kluczem do świadomego, dobrego życia jest uważne obserwowanie tradycji, która zmienia się wtedy, gdy zmianie ulegają obiektywne, zewnętrzne okoliczności.

Jezus mówił dokładnie to samo, gdy krytykował faryzeuszów. Prawo, które nie może ulec zmianie, aby ratować człowieka, jest nieludzkie. ●



• Rozmowa pochodzi z książki Marcina Matczaka i Marcina Makowskiego „**Jak zatrzymać koniec świata. Rozmowy o religii, prawie i polityce**”, właśnie ukazała się nakładem Znak

– Nie możemy trzymać świata w stanie permanentnej wojny, żeby zapewnić ci ekscytację – usłyszała od przyjaciela lekarza, gdy poskarżyła się na depresję

Maja Staniszevska

Lee Miller była kobietą, która żyła na swoich warunkach i zapłaciła za to straszną emocjonalną cenę. Chciałam opowiedzieć jej historię, historię nieidealnej kobiety w średnim wieku, która poszła na wojnę i udokumentowała ją – tłumaczyła w amerykańskim „Vogue’u” Kate Winslet, która wyprodukowała film „Lee. Na własne oczy” i zagrała w nim rolę tytułową.

To w „Vogue’u” w czerwcu 1945 r. ukazał się reportaż Miller zatytułowany „Uwiercie w to”. I zdjęcie stosu ciał więźniów obozu koncentracyjnego Buchenwald na jednej stronie i powieszzonego przez ociałych strażnika obozowego na drugiej.

Jak te szokujące obrazy trafiły do eleganckiego pisma o modzie? Miller była z tego świata. Zanim została fotoreporterką i korespondentką wojenną „Vogue’a”, była modelką, muzą surrealistów, fotografką, skandalistką.

Zdjęcie symbol końca wojny

Film z Winslet skupia się na jej wojennych losach. Lee Miller to w końcu bohaterka jednego z ikonicznych jej obrazów. Siedzi naga w wannie w wykładanej płytkami łazience. W ręce myjka, wzrok uniesiony. Przed wanną na dywaniku jej wojskowe buty, które zostawiły na bieli błoto i pył z obozu koncentracyjnego Dachau.

Razem z autorem zdjęcia, przyjacielem Davidem E. Schermanem, była tam dzień wcześniej, zaraz po wyzwoleniu obozu. Do tego, co sama sfotografowała, jeszcze wróć.

Jest 30 kwietnia 1945 r., dzień, w którym w położnym 600 km na północ berlińskim bunkrze właściciel tej wanny, Adolf Hitler, popełnił samobójstwo. Miller i Scherman jednak o tym nie wiedzą, gdy kąpią się w mieszkaniu przy Prinzregentenplatz 16 w Monachium. Zdjęcie Miller w wannie Hitlera idealnie nadaje się na symbol końca wojny: przedstawicielka zwycięskich aliantów zmywa z siebie dramat i makabrę, których była świadkiem, w chwili gdy ich sprawca staje się przeszłością.

Ale to nie jest takie proste.

Nieokiełznana Lee Miller

Urodziła się w 1907 r. w miasteczku Poughkeepsie na północ od Nowego Jorku. Jej ojciec Theodore był inżynierem i zdolnym menedżerem, pasjonował się fotografią. Matka Florence zajmowała się domem i dziećmi: Lee, która na chrzcie dostała imię Elizabeth, i jej dwoma braćmi.

Ojciec od zawsze robił im zdjęcia. Jedno z nich przedstawia ośmioletnią Lee stojącą przed domem w samych kapciach. Rok wcześniej dziewczynka, wysłana w czasie choroby matki do przyjaciół rodziny, została zgwałcona. Wróciła do domu z rzeźączką. Rodzice zwrócili się o pomoc do psychiatry, który poradził, by tłumaczyli Lee, że seks to po prostu mechaniczna czynność, która nie ma nic wspólnego z miłością. Miało to zapobiec traumie. Czy zapobiegło? Nigdy się nie dowiemy. Czy zrobione przez ojca nagie zdjęcie miało pomóc w pozbyciu się wstydu? To kolejna zagadka. Wiadomo tyle, że Lee pozowała ojcu nago przez kolejnych kilkanaście lat.



KOBIEĆA Z WANNY

Rodzice traktowali córkę na równi z synami, na wszystko jej pozwalali. Lee była bystra, ale też bardzo niezdyscyplinowana. Jeśli jakiś temat ją interesował, angażowała się całą sobą, na przykład w eksperymenty chemiczne czy fotografię (jedno zresztą łączyło się z drugim, bo Millerowie mieli ciemnię i sami wywoływali zdjęcia). Resztę ignorowała.

Wyrzucano ją z kolejnych szkół, w końcu, gdy miała 18 lat, rodzice wysłali ją w towarzystwie zubożałej polskiej arystokratki do Paryża. Na miejscu okazało się, że opiekunka do tego stopnia nie radzi sobie z francuskim, że przez tydzień nie zorientowała się, że zamieszkały w domu publicznym. W końcu Lee jej uciekła.

„Zaczęłam żyć. Pracowałam w teatrze na Montmartrze i poznałam wszystkich paryskich artystów” – opowiadała w artykule w „Vogue’u” w 1974 r. Jej nowoczesna uroda oraz niezwykła nawet jak na Amerykankę otwartość robiła spektaku-

larne wrażenie. Lee ignorowała wezwania rodziców do powrotu, w końcu ojciec pofatygował się po nią do Paryża.

Modelka z przypadku, fotografka z wyboru

Po powrocie do Stanów obiecała, że będzie studiować sztukę w Nowym Jorku, ale głównie uczyła się tańca i poznawała nocne życie. Los pchnął ją w ramiona Condé’a Nasta, wydawcy m.in. „Vogue’a”, który uratował ją przed rozpędzonym samochodem. Zrobiła na nim wrażenie urodą i paryskim strojem, kazał jej przyjść do redakcji i zatrudnił jako modelkę.

W marcu 1927 r. Miller znalazła się na okładce amerykańskiego „Vogue’a” jako symbol współczesnej elegancji. Jej kariera rozwijała się błyskawicznie.

– Byłam straszliwie, straszliwie ładna. Wyglądałam jak anioł, ale wewnątrz byłam demonem – mówiła potem.

Kariera się załamała, gdy jej zdjęcie wykorzystano do reklamy podpasek. Po-

traktowała to jako pretekst do wyjazdu. Uzbrojona w list do wydawcy francuskiego „Vogue’a” oraz kontakty do wpływowych przyjaciół swoich wpływowych przyjaciół wsiadła na statek do Francji. Gdy stała na pokładzie, samolotem nadleciał jeden z jej kochanków i na pożegnanie obsypał ją różami. Kilkadziesiąt minut później rozbił się i zginął.

W Paryżu Lee postanowiła, że zostanie fotografką. Zjawiała się w studiu rodaka Mana Raya, malarza i fotografa, jednego z czołowych dadaistów i surrealistów, i oświadczyła, że jest jego uczennicą. Ray próbował ją zbyć. Bezskutecznie. Miller prawie zawsze udawało się dopiąć swego. Została jego modelką, asystentką i kochanką, następczynią słynnej Kiki de Montparnasse.

Spędzili razem owocne i burzliwe trzy lata, podczas których m.in. przypadkowo odkryła technikę pseudosolaryzacji dającą efekt intrygującego ciemnego halo wokół fotografowanego obiektu (mówiła, że



FOT. MONOLITH FILMS

HITLERA

w ciemni przestraszył ją szczur, więc włączyła światło, naświetlając wywoływane zdjęcia).

Coraz lepiej fotografowała, ale ku swemu niezadowoleniu wciąż najbardziej znana była jako modelka. Przede wszystkim Man Ray, który pokazywał ją i całą, i we fragmentach, tworząc np. kolaże z jej okiem czy ustami. Inny fragment jej ciała – piersi – posłużył ponoć pewnemu wytwórcy szkła jako inspiracja do kieliszka do szampana.

Potrzeba niezależności, podobnie jak potrzeba nieustającej podniety, była jej siłą napędową. Założyła własne studio fotograficzne. Wkrótce paryska śmietanka towarzysko-artystyczna została przez nią obfotografowana (razem z dziećmi i psami), pojawiły się zlecenia od francuskich domów mody i od brytyjskiego „Vogue’a”.

W Londynie poznała egipskiego przedsiębiorcę Aziza Eloui Beya. Man Ray stał się coraz bardziej zazdrosny. Nie tylko o romanse, ale także o rosnącą popularność kochanki.

Ostatni prom do Anglii

Zmęczona tym Lee wróciła do Nowego Jorku, otworzyła studio fotograficzne. Pieniądze miała m.in. dzięki wygranej z magazynem „Time”, który określił ją jako właścicielkę „najpiękniejszego pępka w Paryżu”, co w tym czasie było mocno skandalizujące i podpadało pod zniesławienie.

W dzień pracowała – sportretowanie przez nią stało się obowiązkowe dla osób z towarzystwa – a nocami bawiła. Wyszła za mąż za Beya i wyjechała z nim do Egiptu.

Życie żony przy mężu, nawet spełniającym wszystkie jej zachcianki, szybko ją znudziło. Szaleńczo zakochany Bey nie oponował, gdy porzucała go, by z grupą znajomych wędrować po pustyni w poszukiwaniu rzeczy, których nie zgubiła.

„Dla Lee podróżowanie było ważniejsze niż docieranie do celu” – pisze syn w biografii matki.

Zmiana była jej narkotykiem.

„Lee. Na własne oczy”

• Kate Winslet dopięła swego i po ośmiu latach film o losach Lee Miller, kiedy była korespondentką i fotografką w czasie II wojny, był gotowy. Wyreżyserowała go debiutująca w tej roli amerykańska operatorka Ellen Kuras, autorem zdjęć jest Paweł Edelman. Grającej Miller Winslet partnerują Alexander Skarsgård (Roland Penrose), Josh O’Connor (Antony Penrose), Andy Samberg (David E. Scherman) i Andrea Riseborough (naczelna brytyjskiego „Vogue’a” Audrey Withers). W filmie zobaczymy m.in. jak powstało jej słynne zdjęcie, na którym 30 kwietnia 1945 r. kąpie się w wannie Adolfa Hitlera. Film w polskich kinach od 13 września.

Oczarowała Anglika Rolanda Penrose’a, pojechali do Kornwalii, gdzie zjechała także m.in. Man Ray, Paul i Nush Eluard, Max Ernst i Leonora Carrington. Spędzili miesiąc na dyskusjach o sztuce, wędrownym, wędrownym po okolicy i seksie. Potem towarzystwo przeniosło się na południe Francji, do Picassa. Ona zrobiła mu prawie tysiąc zdjęć, on namalował sześć jej portretów. Roland kupił jeden z nich za 50 funtów (dziś niecałe 3 tys.) i jej podarował.

Z kolejnej podróży pisała do męża, że jest bezwartościowa jako żona, a nawet jako towarzyszka, że chciałaby mieć ciastko i zjeść ciastko.

Latem 1939 r. wybrała Penrose’a. Spotkali się we Francji, gdzie zastała ich wieść o napaści Niemiec na Polskę. Ostatnim promem popłynęli do Anglii.

Moda i zgłiszcza

Penrose jako kwakier odmówił służby wojskowej, ale dołączył do straży przeciwlotniczej oraz uczył żołnierzy kamuflażu. Miller poszła do redakcji „Vogue’a”, ale została przyjęta chłodno. Nikt nie wiedział, jak ma wyglądać modowy magazyn w trakcie wojny, poza tym Cecil Beaton, wtedy naczelny fotograf pisma, był chyba jedynym mężczyzną, który jej nie znośił.

Penrose i Miller prowadzili dom otwarty, mieszkała z nimi jakiś czas nawet jego była żona. Na przyjęciach bywali wszyscy, którzy się liczyli w świecie sztuki, rozrywki, dziennikarstwa. Fotograf magazynu „Life” David E. Scherman wspominał, jak podziwiał wiszące na ścianach wyjątkowo udane kopie Picassa, Miró czy Magritte’a, zanim sobie uświadomił, że to oryginały.

Miller robiła zdjęcia miasta po nalożach: połamana maszyna do pisania w gruzach zbombardowanego domu, roztrzaskany posąg pięknej kobiety, dwie głowy z „jajem” zestrzelonego balonu przeciwlotniczego w tle. Widać w nich jej oko, talent do abstrakcji, a jednocześnie dokumentowanie.

Robiła też zdjęcia ludzi: dziewcząt ze służby przeciwlotniczej, londyńczyków w schronach na stacjach metra. Ukazywały się w „Vogue’u”, którego naczelna Audrey Withers w końcu zdecydowała się Miller zatrudnić.

Szybko w każdym numerze zaczęło się pojawiać po kilka materiałów z jej fotografiami, także mody, robionymi w wyjątkowo polowych warunkach, czasem wręcz wśród zgłiszczy.



„Dla Lee podróżowanie było ważniejsze niż docieranie do celu” – pisze syn w biografii matki. Zmiana była jej narkotykiem

Lee Miller, korespondentka wojenna

W 1942 r. Miller wystąpiła o akredytację dziennikarską przy amerykańskiej armii. Ruszyła dokumentować zaplecze wojny w Anglii. Fotografowała kobiety ze służb pomocniczych, pielęgniarki i tych wszystkich, których fotoreporterzy mężczyźni zazwyczaj omijali. Ale i to przestało jej wystarczać.

Chciała być w centrum wydarzeń, dlatego sześć tygodni po lądowaniu w Normandii, w lipcu 1944 r., w mundurze sztytm na miarę na londyńskiej Savile Row, popłynęła fotografować szpitale polowe we Francji. W jednym z nich poparzony żołnierz poprosił, żeby go uwieczniła. Wyglądał tak źle, że z rozmysłem zgubiła ostrość.

Do zdjęć napisała krótki tekst i tak „Vogue” dorobił się prawdziwej korespondentki wojennej.

W Saint-Malo Miller trafiła w sam środek bitwy. Sfotografowała tam pierwsze użycie napalmu, ale zdjęcia przejęli wojskowi cenzorzy.

W wyzwolonym Paryżu odnalazła Picassa, który ucieszył się, że pierwszy aliancki żołnierz, jakiego spotyka, to jego stara przyjaciółka. Zamieszkała w hotelu Le Scribe, który przejęli korespondenci wojenni. Jej pokój stał się składem wszelkiego dobra, od racji żywnościowych i rozmaitych alkoholi po jedwabną bieliznę, którą przysyłała jej Withers, i pudła tamponsów.

W pokoju obok zamieszkał Scherman. Pocieszał ją w chwilach zwątpienia, znośił pijackie awantury, które potrafiła urządzać, nie pozwalając się poddawać, gdy nie była w stanie napisać słowa artykułu towarzyszącego zdjęciom. Bo o ile fotografowanie przychodziło Miller naturalnie, o tyle pisanie było męką. Ale w końcu wywiązywała się z zadania, choć obok maszyny do pisania często leżała pusta butelka po whisky.

Na zlecenie nowojorskiej centrali fotografowała paryżanki i pisała, jak ubierała się po latach okupacji, robiła sesje nowych kolekcji. Gdy szefowa działu mody amerykańskiego „Vogue’a” zaczęła kręcić nosem na brak studia i wychudzone kobiety jako modelki, zirytowana odpisała: „Może należy jej powiedzieć, że tu wciąż trwa wojna”.

Uwieczniała golenie głów Francuzek karanych w ten sposób za romanse z Niemcami. Namówiła na sesję pisarkę Colette. Ciągnęło ją na front.

Kobieta w obozach śmierci

W końcu zabrała swoją dwuobiektywową lustrzankę Rolleiflex, wsiadła do dżipa i ruszyła za amerykańską armią. Tak trafiła do obozu koncentracyjnego Buchenwald, kilka dni po jego wyzwoleniu w kwietniu 1945 r. Nieco tam już uporządkowano, ratowano ocalałych, grzebano ciała. Miller zrobiła zdjęcia więźniom zbyt wycieńczonym, by ruszyć się z piętrowych pryz, stosom niedopalonych kości w krematoriach, ale też okolicznym mieszkańcom, których generał Patton kazał oprowadzać po obozie, by pokazywać im, co działo się pod ich nosem.

Stamtąd ruszyła do Torgau fotografować spotkanie armii amerykańskiej z Armią Czerwoną, i dalej przez Niemcy. Fotografowała żołnierzy, ale także zwykłych Niemców. Żywych i martwych. W tym córkę burmistrza jednego z miasteczek, która przed wkroczeniem wojsk alianckich razem z rodzicami zażyła cyjanek i wygląda, jakby głęboko spała. W końcu, ze spotkanym po drodze Schermanem, dotarła do obozu koncentracyjnego Dachau.

Tym razem była jedną z pierwszych osób, które weszły tam po wyzwoleniu. W milczeniu, w zimnej furii, jak to opisywał później Scherman, robiła zdjęcia trupów w pociągach śmierci, stosów zwłok w barakach, ale też martwego esesmana.

Smród Dachau został z nią na zawsze. Nie pomogła kąpiel w wannie Hitlera.

Miller i Scherman pojechali dokumentować zdobycie górskiej rezydencji Berghof. Miller wzięła sobie z niej na pamiątkę srebrną tacę z monogramem Hitlera i gapą. Przez kolejne dekady będzie na niej serwować drinki swoim gościom, ale nikt się nie zorientuje.

Powojenna trauma, powojenne dziecko

W Londynie czeka w „Vogue'u” przyjęcie na jej cześć oraz Penrose liczący na to, że w końcu się ustakuje. Ale to nie w jej stylu. – Nie jestem Kopciuszkiem, nie wepchnę stopy w szklany pantofelek – mówi mu i wyjeżdża do Paryża. Pije, bierze pigułki nasenne, a potem benzedrynę (amfetamina używana wtedy powszechnie przez amerykańską armię), by się ocknąć. Godzinami szlocha w łóżku, ma myśli samobójcze. Ratuje ją wierny Scherman.

W Wiedniu fotografuje dzieci umierające w nowoczesnym szpitalu, bo nie ma dla nich leków, i gwiazdy opery śpiewające w zbombardowanym budynku. W Budapeszcie uwiecznia egzekucję byłego faszystowskiego premiera, fotografuje Romów, ale też rumuńskiego króla Michała i jego matkę Helenę w letniej rezydencji w Sinai.

Miller nigdy nie chciała mieć dzieci. Gdy zaczynała swoją europejską przygodę, napisała do rodziców z pytaniem, czy jeśli przydarzy się jej wpadka, to czy będzie mogła zostawić dziecko u nich na pięć pierwszych lat. Teraz jednak, gdy tuż przed czterdziestką odkrywa, że jest w ciąży z Penrose'em, postanawia urodzić dziecko. Bey, którego żoną wciąż formalnie jest, godzi się na błyskawiczny rozwód, po którym następuje równie błyskawiczny ślub. Antony Penrose przychodzi na świat we wrześniu 1947 r.

Krótko po opuszczeniu szpitala Miller oddaje dziecko opiekunce i rusza fotografować weneckie Biennale. Antony Penrose w wywiadzie dla „Guardiana” powie po latach, że cierpiała na depresję poporodową i być może na wywołany horrorami, które dokumentowała, zespół stresu pourazowego.

Życie na farmie

Penrose'owie zamieszkali na południu Anglii. Prowadzą dom otwarty, odwiedzają ich będą m.in. Picasso, Man Ray, Miró, Max Ernst.

Miller w tekście „Pracujący goście” z 1953 r., jej ostatnim napisanym dla „Vogue'a”, opisze, jak zatrudnia gości do pomocy nie tylko przy przygotowywaniu przyjęć, ale po prostu ogarniania domu. Skarży się swojemu przyjacielowi lekarzowi na depresję. – Nic się z tobą złego nie dzieje – odpowiada on. – Nie możemy trzymać świata w stanie permanentnej wojny, żeby zapewnić ci ekscytację.

Miller nie potrafi się pogodzić z upływem czasu i utratą urody, która była jej atutem. Od urodzenia dziecka nie ma też ochoty na seks, który był ważną częścią jej życia. Pije coraz więcej, zmienia się w opuchniętą, awanturującą się abnegatkę. Odpycha dziecko, zazdrości mężowi, który dostał zlecenie napisania biografii Picassa. Nawet wyjazd na placówkę kulturalną do ukochanego Paryża jej nie cieszy. Na dodatek Roland się zakochuje. Miller nie przeszkadza jego romanse, ale miłość? Na szczęście akrobatka, której Penrose się oświadcza, odrzuca go.

Miller nie szuka pomocy u psychiatrów, nie chce być uznana za „wariatkę”. Ale też, jak twierdzi w swojej książce jej

• **Rok 1943. Lee Miller (druga z prawej) razem z innymi amerykańskimi korespondentkami z europejskich frontów II wojny światowej. Na zdjęciu zrobionym w 1943 r. razem z nią siedzą Mary Welsh, Dixie Tighe, Kathleen Harriman, Helen Kirkpatrick i Tania Long**



FOT. U.S. ARMY CENTER OF MILITARY

– **Byłam straszliwie, straszliwie ładna.**

Wyglądałam jak anioł, ale wewnątrz byłam demonem – mówiła potem. Jej kariera rozwijała się błyskawicznie, ale nagle załamała, gdy jej zdjęcie wykorzystano do reklamy podpasek



• **Lee Miller w Szwajcarii w 1947 r.** FOT. BRIDGEMAN IMAGES – RDA / FORUM

syn, nie myśli o samobójstwie, bo „Roland i Tony byliby szczęśliwi bez niej”.

Gotowanie jako terapia

Ratuje ją gotowanie. Zapisuje się na kurs do słynnej szkoły Cordon Bleu, gromadzi przepisy i książki kucharskie. Pod koniec życia ma ich ponad 2 tys., mówi, że to jej ulubiona lektura przed snem. Udaje się jej pogodzić z Rolandem, ze wspólnych podróży po świecie przywozi lokalne smakołyki i przyprawy oraz, oczywiście, kolejne przepisy. Polski przyjaciel uczy ją gotować bigos, ale największą satysfakcję sprawia jej wymyślanie własnych potraw, czasem dość surrealistycznych, jak pieczony kurczak pokryty złotem, „perski dywan” z pomarańczy i kandyzowanych fiołków czy lody o smaku coli i pianek.

W 1966 r. Roland Penrose dostaje od królowej Elżbiety II tytuł szlachecki za zasługi dla świata sztuki. I tak Lee Miller zostaje Lady Penrose. Bawi ją, jakie wrażenie robi to na jej rodakach.

Odmawia prośbom o udostępnienie swoich zdjęć do książek czy na wystawy. Twierdzi, że przepadły.

W 1976 r. dowiaduje się, że ma raka. Nie chce agresywnej terapii, nie chce zamieszania. Umiera rok później otoczona przez rodzinę. Syn i synowa, porządkując jej rzeczy, znajdują na strychu odbitki i negatywy jej zdjęć. Tak 33-letni Antony dowiaduje się, co w czasie wojny robiła jego matka. ●

• Korzystałam z książki Antony'ego Penrose'a „The Lives of Lee Miller” oraz artykułów w „Vogue'u”, „New Yorkerze”, „Guardianie” i „Observerze”.

Futro „sparowane” z „ognistą czerwienią”



„Długa suknia projektu Versace nie przeszkodziła jej jednak w tym, by... przykucnąć na czerwonym dywanie w momencie, gdy zauważyła fana specjalnej potrzeby”. Cemu autorka wybrała określenie „fan specjalnej potrzeby”?

Michał Rusinek

Od czasu do czasu należy odłożyć na bok dzienniki i tygodniki opinii, by odpocząć od miazmatów dyskursu politycznego. Jeśli już musimy coś w takich chwilach czytać, niech to będą chociażby czasopisma poświęcone showbiznesowi. Tam na politykę się nie natkniemy i zmysły nasze nieco odpoczną.

Tak nam się przynajmniej wydawało, dopóki w wakacyjnej lekomyślności nie natrafiłszy na artykuł Marii Elas, znajdujący się w internetowym wydaniu magazynu „Viva!”, zatytułowany ponętnie: „Zachwyciła nie tylko urodą, ale także wielkim sercem! Imprezy Angeliny Jolie omal nie popsuł... były mąż”. Są w tym tytule wszystkie kwestie, które być powinny: estetyczne, etyczne i społeczne, a ściślej: matrymonialne.

Pierwsze zdanie tekstu uzupełnia te kwestie wyłącznie o przymiotniki. Dowiadujemy się bowiem, że uroda aktorki jest „nieprzemijająca”, a serce – „ciepłe”. Trochę dziwny poziom temperatury, liczyliśmy, że będzie „gorące”, a już najlepiej by było, gdyby było „wielkie”. No cóż. Rzeczona im-

preza to premiera filmu „Maria” na festiwalu w Wenecji. Autorka nie pisze jednak ani słowa o filmie poświęconym Marii Callas, który nas bardzo zainteresował (pisze o nim tylko jedno słowo: „wyjątkowy”), skupia się za to na garderobie Angeliny Jolie wcielającej się w tytułową rolę: „Aktorka założyła kilka wspaniałych kreacji, jednak na głównej imprezie pojawiła się w długiej, beżowej sukni i narzucie ze sztucznego futra, które sparowała z ognistą czerwienią na ustach. Wyglądała wprawdzie obłędnie!”.

Rozumiemy, że poetyka opisów garderoby rządzi się swoimi prawami i parowanie jest w niej na porządku dziennym i nocnym, cieszy nas, że przy produkcji wzmiankowanego futra nie ucierpiało żadne zwierzę futerkowe, dziwi natomiast awangardowe użycie przysłówka „wprawdzie”. Chyba że redaktorka Elas miała na myśli archaiczne określenie „po prawdzie”, biblijne „za prawdę”, albo też zwyczajne „naprawdę”. My, językowi konserwatyści, a zarazem przecież czytelnicy żądni sensacji, oczekivalibyśmy po przysłówku „wprawdzie” jakiegoś „ale”, po którym nastąpiłaby informacja o jakiejś wpadce czy innym skandalu. Tu jednak nie tylko zdanie się skończyło. Skończył się także akapit.

W kolejnym akapicie opisana została fabularna sytuacja o wspomnianym w tytule wymiarze etycznym. Autorka nie byłaby jednak sobą, gdyby i tu nie wplotła kwestii garderobianych, a nawet lokowania produktu: „Długa suknia projektu Versace nie przeszkodziła jej jednak w tym, by... przykucnąć na czerwonym dywanie w momencie, gdy zauważyła fana specjalnej potrzeby, który bardzo pragnął zamienić z nią kilka słów”. Jesteśmy lekko zirytowani: nie trzeba nam powtarzać, że suknia była długa,



• **Festiwal w Wenecji. Angelina Jolie na czerwonym dywanie przed pokazem filmu „Maria” (reż. Pablo Larraín)**

pamiętamy to z poprzedniego akapitu. Rozumiemy, że czasami trudno jest znaleźć stosowne określenie na osoby z niepełnosprawnością, nie rozumiemy natomiast, czemu autorka wybrała określenie „fan specjalnej potrzeby”?

Nawet jeśli nie chciała – i służyć – posłużyć się skompromitowanym eufemizmem „dziecko specjalnej troski”, to nie powinna zastępować „troski” „potrzebą”, bo tym sposobem kompromitacji bynajmniej nie da się uniknąć.

Tu znów wraca motyw termiczno-kardiologiczny: „Znana ze swojego ciepłego serca aktorka nie zwlekała ani chwili i poświęciła mu całą swoją uwagę, a ten wyjątkowy gest uchwycili paparazzi”. Cieszymy się, że poświęciła uwagę swoją, a nie cudzą i jesteśmy wdzięczni fotografom, że wykazali się refleksem. Dzięki ich refleksowi uświadamiamy sobie, że nawet osoby w niewygodnych ubraniach od czołowych projek-

tantów potrafią mieć ludzkie odruchy. Zapamiętajmy to sobie i weźmy z nich przykład, bo a nuż los sprawi, że będzie nas stać na wdzianka od Versace.

Pozostał jeszcze wątek byłego męża, czyli Brada Pitta, spotkania z którym aktorce udało się szczęśliwie uniknąć w Wenecji. Nawet nie chcemy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby to się nie udało. Wątek ten pojawia się ostatnim akapicie. Na początku autorka nieco niestosownie wypomina aktorce wiek: „Otoczona fanami oraz przyjacielmi ze świata filmu 49-letnia gwiazda wyglądała na szczęśliwą na premierze tego wyjątkowego filmu. Uśmiech nie schodził jej z twarzy!”. Było to z pewnością dobrze widać za sprawą wspomnianej ognistej czerwieni. Usta jej mogły jednak wygiąć się w podkówkę; gdyby napisała to zdanie redaktorka

Elas, zapewne dodałaby, że „przysłowiową”, bo szczególnie ceni ona sobie przymiotniki. Na przykład w tym fragmencie: „O mały włos jednak ta impreza mogła wyglądać zupełnie inaczej... Okazuje się, że na Festiwalu Filmowym w Wenecji swój najnowszy film prezentuje także jej były mąż, Brad Pitt! Na szczęście organizatorzy wykazali się niemalym sprytem i premiery odbywają się w innych dniach”. Spryt nie mógł być sprytem bezprzymiotnikowym. Nie pod piórem pani Elas.

Tak czy owak, odetchnęliśmy z ulgą: „Premierowy pokaz filmu Brada Pitta »Wilki« odbędzie się (...) 1 września. W tym czasie była żona, z którą rozstał się w kontrowersyjnych okolicznościach, będzie już dawno w Stanach Zjednoczonych, oddając się dalszej pracy nad promocją filmu »Maria«”. Na czym polegała kontrowersyjność rozstania? Nie wiemy. Zapewne wyjaśnia to jakiś inny artykuł Marii Elas, ale nie mamy już sił, by go czytać.

Lektura tego tekstu dostarczyła nam wiele radości, ale też zastanawiamy się, czemu jest tak on fatalnie napisany. Nie posądzamy o jego autorstwo sztucznej inteligencji, bo ona posługuje się językiem o wiele sprawniej. Jeśli już – w jego pisaniu mógł pomagać, a w tym przypadku raczej przeszkadzać, Google Translator, zwłaszcza że autorka artykułu raczej nie była w Wenecji. Może on służyć osobom studiującym creative writing jako przykład na to, czemu warto unikać przymiotników i dlaczego emocji nie wzbudza się za pomocą wielokropków i wykrzykników. Żal nam za to czytelniczek i czytelników magazynu „Viva!”. Na pocieszenie przypominamy sobie, że prasę tego typu raczej się ogląda niż czyta. A po obejrzeniu zdjęć Angeliny Jolie musimy przyznać, że naprawdę wyglądała ona obłędnie. Bez żadnego „wprawdzie”. ●

REKLAMA

Kraj/34334059

SPOTKANIA AUTORSKIE

18.09 / GODZ. 19
NOWY TEATR
W WARSZAWIE

19.09 / GODZ. 18
CK ZAMEK W POZNANIU

20.09 / GODZ. 16
JESIENNE TARGI KSIĄŻKI
W WARSZAWIE

Plac Defilad 1,
Scena główna
(po spotkaniu podpisywanie
książek na stoisku D11)

KONCERN AUTOKRACJA

DYKTATORZY, KTÓRZY CHCA
RZĄDZIĆ ŚWIATEM

ANNE APPLEBAUM

PRZEŁOŻYŁ MICHAŁ ROGALSKI

**NOWA KSIĄŻKA
ANNE APPLEBAUM**

**O TYM, CO DZIŚ ZAGRAŻA
DEMOKRACJI**

**JAK DZIAŁAJĄ AUTOKRACI
- CZY CHCĄ ZMIEŃĆ
GLOBALNE ZASADY GRY?**

Inigo López Palacios

EL PAÍS

Bez względu na to, z iloma gwiazdami rocka się rozmawiało, nic nie przygotowuje na spotkanie twarzą w twarz z Nickiem Cave'em. Ten Australijczyk rozciąga wokół siebie niesamowitą aurę – najzwyklejszy z punków, doświadczony heroinista, facet, który wyszedł z piekła, a dziennikarzy zjada na surowo. „Tak o mnie mówią? Dobrze wiedzieć”, uśmiecha się krzywo.

Zobaczmy: pierwszą rzeczą, którą można przeczytać w jego książce „Faith, Hope and Carnage” jest to, że „nienawidzi wywiadów”. Cave to jednak od razu prostuje: „Ależ teraz je wręcz lubię, bo wreszcie oznaczają rozmowę. Moim problemem długo była ta okropna sytuacja, w której siadałem z dziennikarzem i z góry było wiadomo, co dalej: jak tam nagrywało się nowy album, co szykujemy na nową trasę... Śmierć z nudów” – wyjaśnia, smarując delikatnie masłem swojego croissant. Jemy śniadanie w luksusowym londyńskim hotelu w sierpniowy poniedziałek, krótko po zwycięstwie Partii Pracy w wyborach parlamentarnych. Cave mieszka w Anglii od dekad, ale czy interesuje się tutejszą polityką? „Bardzo, ale z relatywnie neutralnego punktu widzenia, powiedziałbym. Ludziom się to zwykle nie podoba, ale taki już jestem. Nie zajmuję stanowisk w debacie politycznej, po prostu nie mam prawdziwych przekonań w tym zakresie. To znaczy takich, za które bym umierał” – zaznacza.

Stworzony do sukcesu

Wygląda na co najmniej dziesięć lat mniej niż swoje 67. Wysoki, szczupły, włosy starannie zaczesane do tyłu, wszelka siwizna przykryta czarną farbą. Nosi jeden z garniturów szytych dla niego na miarę przez jego przyjaciółkę, projektantkę Bellę Freud, z biżuterii tylko obrączka i zegarek. Idealny angielski dżentelmen, ale jest w nim cały czas coś niepokojącego, może to przez to kpiące-prowokujące spojrzenie niebieskich oczu.

31 sierpnia wydał „Wild God”, 18. album studyjny nagrany z The Bad Seeds. Premiera płyt tego zespołu to w świecie muzycznym zawsze wydarzenie, tak jest od dekad. W tym roku mija 40 lat, odkąd Cave po raz pierwszy podpisał album własnym nazwiskiem. Wcześniej był liderem The Birthday Party, zespołu, z którym zbudował swoją reputację życiowego kamikadze. I owszem, stracony styl życia swoją drogą, ale za tą maską kryła się stalowa determinacja: podczas gdy gwiazdy jego pokolenia po kolei odchodziły w niepamięć, on stale się rozwijał, a każdy jego kolejny artystyczny krok przykuwał uwagę. W latach 80. stał się muzykiem prawdziwie kultowym: Cave, który zawsze czcił Elvisa Presleya, sam zaczął stanowić perwersyjnie pokręconą wersję barytonowych croonerów z klasycznej epoki lat 60. Nikt nie mógł mu się oprzeć. Jego



Nick Cave powraca odmieniony

DZIKI BÓG DLA K

Nie wiem, kim i gdzie bym dziś był, gdyby mój syn nie umarł. Dopiero cierpienie czyni z nas prawdziwych ludzi.

osobowość była tak silna, że był w stanie nagrywać covery klasycznego country, gatunku wówczas pogardzanego, i nadal gromadzić punkową publiczność. W latach 90., wraz z rozkwitem alternatywnego rocka, stał się jego ikoną. To jego wspaniała dekada, z powalającą płytą „The Murder Ballads” czy słynną „Red Right Hand”, zainspirowaną „Rajem utraconym” Milтона pieśnią, która po latach pozwoliła odkrywać Cave'a dla siebie kolejnemu pokoleniu, wpatrzonemu w serial „Peaky Blinders”, który ozdabiała.

Jeśli dotarcie na szczyt było w jego przypadku nieuniknione, biorąc pod uwagę skalę jego charakteru, to już podziwu godne jest to, że jak dotąd nigdy go nie opuścił. Dziś jest, mówiąc bez przesady, dumą narodową Australii i osobnym zjawiskiem popkultury: autorem songów, książek, ścieżek dźwiękowych do filmów, hymnów gospel, dla wielu – świeckim wariantem namiętnego kaznodziei. I wszystko, czego dotknie, sprzedaje się od ręki, czy chodzi o bilety na koncerty, czy o ceramikę, której tworzeniem zajął się w pandemii. Chodzi o serię figurek, które opowiadają historię diabła, ale estetycznie tkwią sw tyłu wiktoriańskiej porcelany ze Staffordshire. „Nie planowałem ich sprzedawać,

ale Xavier Hufkens, belgijski handlarz sztuką, uznał, że warto. I teraz różni ludzie kupują je od niego po zaskakująco wysokich cenach. Nie narzekam”, przyznaje.

Kolosalna potrzeba wielkości

Swoje dzikie lata Cave ma dawno za sobą. Na scenie długo wykorzystywał emplotę krzykacza z mordem w oczach, a jego publiczność podziwiała go głównie dlatego, że sprawiał wrażenie, że absolutnie nic nie wydawało się dla niego ważne. Kulturował wizerunek szorstkiego, impulsywnego rockmana, zawsze gotowego do ataku. Jeden z tych facetów, od których lepiej się nie odwracać plecami.

Przyznaje, że jako młody człowiek był „egomaniakiem z niską samooceną i ogromnym popędem seksualnym”. „To jeszcze nie było nic nadzwyczajnego, najgorsze, że uwielbiałem taki być. Zależało mi tylko na dobrej zabawie. Miałem też kolosalną potrzebę zrobienia czegoś ważnego. Wierzyłem w siebie aż do przesady, mimo że w tamtych czasach zupełnie nic nie wskazywało na to, że mam coś wartościowego do zaoferowania światu. Ale od tamtego czasu zmieniłem się bardzo”.

Siedzący przede mną Nick Cave narodził się ponownie 14 lip-

ca 2015. Tego dnia jego 15-letni syn Arthur, jeden z bliźniaków urodzonych ze związku Cave'a z obecną żoną, projektantką Susie Bick, zginął po upadku z klifu w Brighton, niedaleko rodzinnego domu. „Nie wiem, gdzie bym teraz był jako człowiek, gdyby Arthur nie zginął. Mówię to po ostrożnym namyśle, ale uważam, że to dopiero ból naprawdę czyni cię świadomym człowiekiem. Kiedyś byłem niedorobionym, niekompletnym, od śmierci Arthura widzę to wyraźnie. Wtedy życie było po prostu czymś, co się wydarzało. Toczyło się, a ja nawet nie zwracałam na nie uwagi. Ale wartość tego życia nagle się zmieniła, gdy zaczęliśmy próbować radzić sobie ze śmiercią syna. Teraz postrzegam świat jako z zasady totalnie piękny, a ludzi jako niezwykle, wrażliwe i odporne istoty. Moja relacja ze światem zmieniła się całkowicie z powodu tej śmierci. Zdaję sobie sprawę, że gdybym mógł zawręć jakąś kosmiczną umowę i wrócić do poprzedniego życia, z Arthurem obok mnie, zrobiłbym to natychmiast, ale niestety takie umowy nie są możliwe”.

Potem kolejna śmierć: w 2022 r. Jethro, najstarszy z czwórki jego dzieci, został znaleziony martwy w Melbourne. Miał 31 lat, cierpiał na schizofrenię. Cave nie mówi o nim, ponieważ o to poprosiła go matka Jethro, była modelka Beau Lazenby. Ojciec i syn spotkali się dopiero w wieku siedmiu lat: kiedy Jethro się urodził, Cave mieszkał już w Sao Paulo ze swoją ówczesną partnerką i ich synem Lukiem, młodszym od Jethro o miesiąc.

W ostatnich miesiącach Cave stracił również bliskich przyjaciół, w tym Marka E. Smitha z The Fall i Shane'a McGowana z The Pogues, na którego pogrzebie Cave dał pamiętny występ. Wcześniej odeszła także Anita Lane, jego pierwsza partnerka i artystyczna współpracowniczka, najważniejsza inspiracja w pierwszym okresie twórczości. „Kiedy punk rock wybuchł w Melbourne, zebrała się nas tam wokół cała grupa, ale to Anita była zdecydowanie, w oczach wszystkich, najbystrzejsza i najdojrzsza. Pracowała ciężko, ale różniła się ode mnie także w tym, że nie musiała tego pokazywać całemu światu. Mawiała, że najlepsze pomysły to te, o których nikt nie wie. Wtedy myślałam, że to straszne marnowanie jej talentu. Teraz już tak nie uważam. Ona niczego nie zmarnowała”.

Od 2015 roku cała twórcza aktywność Cave'a – w tym The Red Hand Files, strona internetowa, którą utworzył, aby odpowiadać na osobiste pytania swoich fanów (sto tysięcy ludzi chciało tam dostać odpowiedź swojego idola) – dotyczyła kolejno: śmierci, bólu, żałoby, poczucia winy, ale teraz wreszcie także nadziei.

„Wild God” jest trzecim albumem wydanym z The Bad Seeds od śmierci Arthura (w tym czasie był jeszcze „Carnage”, sygnowany jedynie przez Cave'a i Warrena Ellisa) i stanowi dopełnienie trylogii żałobnej: najpierw zimny, wypełniony poczuciem dojmującej pustki „Skeleton Tree”, potem „Gho-

Heroina oferuje uporządkowaną egzystencję. Powiedziałbym, że jest konserwatywna. Konserwatysta pragnie systemów, porządku i tego typu rzeczy. To ja

– To zaskakujące, że określa pan siebie, ikonę rockandrolla, jako konserwatystę – mówię.

„Nie mam na myśli konserwatyzmu w politycznym sensie. To raczej cecha mojego temperamentu. Przypuszczam, że jestem kimś z fundamentalnym zrozumieniem natury i integralnie wbudowanej w nią straty. Kto rozumie, że o wiele łatwiej jest coś zburzyć, niż zbudować. Zakładam, że domyślnym ustawieniem wielu ludzi jest burzenie do imentu wszystkiego, co im się nie podoba. Myślenie, że skoro system nie działa, trzeba go zniszczyć. Ja tego tak nie widzę. Uważam, że na świecie istnieją poważne i złożone problemy, do których należy podchodzić z maksymalną uważnością. Powiedzmy, że radykał we mnie jest malutki”.

Z tym by można polemizować. Weźmy relację Cave’a z Bogiem. Zawsze używał chrześcijańskiego imaginarium. W jego piosenkach pojawiają się gęsto cytaty z Ewangelii, demony, męczennicy, ogień Ducha Świętego. Ale bardziej niż wiarą, wydawał się zawsze zafascynowany religijnym folklorem, a w odwiecznej walce dobra ze złem był raczej po stronie aniołów upadłych. Był rockową wersją złowrogiego, fałszywego wędrownego kaznodziei z „Nocy myśliwego”. Owszem, modlił się w swoich piosenkach, ale były to wyzywające modlitwy do mściwego boga.

Wszystko to się zmieniło po śmierci Arthura. Muzyk potrzebuje odpowiedzi, a swoje wątpliwości formułuje z czymś, czego nigdy wcześniej nie okazywał: z pokorą.

Wychowany w domu niepraktykujących anglikanów Cave tłumaczy, że nie jest zainteresowany „duchowością” – czymś, co uważa za rozmyte i ogólne – ale właśnie religią. „Religia to duchowość plus rygor. I to nie jakakolwiek religia, tylko właśnie chrześcijaństwo”. Problem polega na tym, że jego teksty, które kiedyś opowiadały dość konkretne historie, teraz stały się bardziej abstrakcyjne i na przykład nie jest całkiem jasne, kim lub czym jest ów Dziką Bóg z tytułu jego nowej płyty.

Nie chcę być ateistą, chociaż czy Bóg istnieje?

„Dla mnie... nie mogę nawet uwierzyć, że o tym mówię, ale dla mnie Bóg nie jest niezmienną istotą, która trwa poza światem i wie wszystko, patrzy na świat z góry i czyni z nas tańczące marionetki w spektaklu o z góry ustalonym scenariuszu. Wierzę, że Bóg ma swoje emanacje w świecie, w swoim stworzeniu, w ludziach. Oznacza to, że nie jest statyczny, ale jest ciągłym projektem, który przekształca się i rośnie wraz z nami” – wyjaśnia. „Wierzę też, że Bóg cierpi, jak bohater »Wild God«, który szuka tego samego, co my wszyscy: kogoś, kto w niego uwierzy. Wydaje mi się, że człowiek właśnie za tym tęskni?”

– Jeśli jednak dodamy do tego to, co dla pana kuszące w religii, rygor i zasady, to nie wiem, do jakiego kultu to pasuje. Jest pan członkiem jakiejś kongregacji?

– Obawiam się, że jestem wierzącym dla ateistów i ateuszem dla wierzących. Religia jest dla mnie strukturą i systemem. Postrzegam ją podobnie do moich nawyków w pracy, które są bardzo ustrukturyzowane, ale w środku dzieją się tam różne dziwne rzeczy. Chodzi o to, że rygor trzyma

mnie w ryzach, ale też pobudza moją wyobraźnię. Tak właśnie postrzegam kościoły: jako stworzone przez człowieka struktury oferujące pewnego rodzaju wyzwolenie – można tam oddać się zarówno absolutnemu smutkowi, jak i absolutnej radości. Można dać upust uczuciom, których nie jesteśmy w stanie odpowiednio wyrazić w świeckim kontekście. Są rzeczy, które czuję w kościele, a których nie mogę wyrazić poza nim, chyba że poprzez muzykę. Ale jestem pełen wątpliwości. Gdy podejrzywam, że te wszystkie dogmaty są jednak niedorzeczne, zamiast czytać Akwinatę zwracam się do Richarda Dawkinsa, Sama Harrisa czy Dana Denneta, mocnych wójujących ateistów. Ale z kolei kiedy słyszę, jak ci ateści mówią o swoim ‘systemie wierzeń’, nie utożsamiam się z nimi. To nie ja. Może nie jestem dobrym wiernym, ale ateistą też nie. Dlatego, że podchodzę do życia w sposób poetycki, a ludzie tacy jak Dawkins – w sposób ultraracjonalny. Nigdy tak nie potrafiłem. Nie wiem, czy Bóg istnieje. Nie wiem też, czy Jezus Chrystus umarł za nasze grzechy. Wiem, że czasami, gdy jestem w kościele, różne rzeczy zaczynają mieć dla mnie sens. Trwa ciągła walka z moim racjonalnym ja.

– To wszystko nastąpiło po śmierci Arthura?

„Religia towarzyszyła mi nawet w najbardziej chaotycznych momentach życia. Kiedy mieszkałem w Berlinie, nie dawałem rady słuchać nabożeństw po niemiecku, ale namiętnie czytałem Biblię”.

Berlin – miejsce, w którym Cave stał się de facto solowym artystą. W 1980 r. wraz z The Boys Next Door postanowił spróbować szczęścia w Londynie. W samolocie zmienili nazwę i na Heathrow lądują już jako The Birthday Party. Jednak wizyta w Anglii to katastrofa – krytycy dostrzegają wartość ich wściekłego gotyckiego post punka, ale nie publiczność. Są zbyt ekstremalni: banda obszarpanych dzikusów, którzy, jeśli mają szczęście, noce spędzają na podłodze jakiegoś squatu. W 1982 r. grupa postanawia przenieść się do „miasta odmieńców”, w którym heroiny jest pod dostatkiem, mieszkania są tanie, a ludzie żyją tak, jakby każdy dzień był ich ostatnim: do Berlina Zachodniego tuż przed upadkiem muru. „To był absolutny przywilej być tam w tamtym czasie” – mówi Cave. – „To był nasz wariant la belle époque, ale mroczniejszy i bardziej podziemny. Każdy był tam wtedy jakimś artystą. Dzieliliśmy się hojnie pomysłami, pijąc w tych samych barach, non-stop. To było niepowtarzalne: chaotyczne, ale kreatywne. Do przetrwania tylko raz w życiu.

Po dwóch latach takiego życia The Birthday Party się rozpadło. A raczej zakończył się twórczy tandem Cave’a z Rowlandem S. Howardem. To do dziś niejasy obszar: Cave jest bardziej wokalistą i autorem tekstów niż muzykiem, zawsze potrzebował muzycznego partnera i często był oskarżany o żerowanie na kreatywności współpracowników i porzucanie ich, gdy już wszystko z nich wyssał. „To, że cynicznie wykorzystuję talent innych ludzi, jest popularną narracją, ale większość z tych, co tak twierdzą, nie jest artystami, więc nie bardzo mają pojęcie, co to właściwie znaczy być artystą. Moim zdaniem

oznacza to intymną współpracę i ciągłą wymianę pomysłów, i to właśnie praktykuję. Jedną z rzeczy, z których jestem najbardziej dumny w mojej karierze jest to, że miałem długie i kreatywne relacje, które trwały przez lata i były korzystne dla obu stron. W przypadku Rowlanda nie ma sensu mówić, że kradłem jego pomysły. Jakie niby pomysły? Różnica między nami polegała na tym, że ja nie mam depresyjnej osobowości. Nigdy w życiu nie miałem depresji. A Rowland był niezwykle wrażliwy i łatwo go było zranic”.

Cave zastąpił Rowlanda Niemcem Blixa Bargeldem, którego nieprzewidywalna gra na gitarze dała zespołowi ekstatycznego kopaa i stanowiła o jego marce, dopóki Cave nie podziękował Bargeldowi w 2003 r. Zastąpił go Mick Harvey, ostatni z muzyków, którzy byli z Cave’em jeszcze w Melbourne, a wtedy brzmienie zespołu skierowało się w stronę bardziej klasycznego rocka. Harvey odszedł w 2009 r., również w gniewie na lidera, i od tego czasu aż do teraz podstawowym partnerem Cave’a jest inny Australijczyk, multiinstrumentalista Warren Ellis.

„Z Warrenem wszystko się zmieniło. Kiedy Mick odszedł, zabrał ze sobą swoją gitarę, a my byliśmy szczęśliwi, że pozbyliśmy się tego instrumentu. Nudził nas, bo sprawiał, że wszystko było rockowe. Ellis popchnął nas w bardziej abstrakcyjnym, atmosferycznym kierunku. Ale myślę, że »Wild God« to takie The Bad Seeds, jak należy. Dziś zespół ma energię, która przenosi mnie z powrotem do tego, czym kiedyś byliśmy, ale bez konieczności powtarzania pomysłów z przeszłości”.

Jego relacja z Ellisem jest tak głęboka, że był czas, kiedy wydawało się, że już nie potrzebuje reszty The Bad Seeds. Ale dzisiejszy Nick Cave jest inny: kilka miesięcy temu został dziadkiem i każdego ranka zażywa kąpiel w lodowatej wodzie („Właśnie wróciłem z Islandii i powiem ci, że wskakiwanie tam do oceanu stawia człowieka do pionu”). Doświadczył fundamentalnej straty i jej konsekwencji. „Byłem przerażony tym, co z moją żoną zrobiła śmierć naszego syna. To wystawiło nasz związek na okrutną próbę. Został przetestowany w każdy możliwy sposób i wyszliśmy z tego z bardzo szczególną więzią, opartą i na miłości, i na katastrofie. Jesteśmy teraz wobec siebie bardzo uważni. Wiemy już, jak bardzo jesteśmy delikatni. Jeśli się kłócimy, szybko to rozwiązujemy. Nie pozwalamy sobie na żadną złą krew”.

Szczerść, z jaką Cave opowiada – każdemu, kto chce słuchać – o swojej traumie, jest godna podziwu. „Może na takiego nie wyglądam, ale codziennie boję się, że pochłonnie mnie tragedia. Niedawno pewna kobieta zadzwoniła do mojej żony. Jej syn zmarł pięć lat temu, a ona nadal nie wiedziała, co robić, ponieważ z mężem nadal nie zamienili o tym ani o słowa. I to jest ta druga alternatywa: żałoba może być absolutnie niszcząca dla ducha. Trzeba więc uczyć się patrzeć na świat i być w stanie dostrzegać to, co skłania ku dobru. Być może świat jest popieprzony. Ale ogólnie wszystko idzie dobrze. Praca, relacje z rodziną, przyjaciele. To wystarczy, żeby nadal budzić się co rano”. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski

ans przywołujący ducha zmarłego syna, i wreszcie „Wild God” – żywiołowy album, pełen niemal religijnych hymnów. Jak krzepiąca oda do życia.

Gdy proponuję takie ujęcie interpretacyjne, Cave mówi: „Po części masz rację, ale to nie było zaplanowane. Kiedy nagrywamy, nie mamy kontroli nad rezultatem. Zdaję sobie sprawę, że »Skeleton Tree« może mrozić. Nie chodzi o to, że nie ma tam dobrych piosenek, ale brakuje czegoś fundamentalnego. Kiedy nagrywałem »Ghosteen«, nadal tkwiłem w żalu graniczącym z obłędem. Na tym tle »Wild God« postrzegam jako czystą radość. Nick Cave nagrał radosną płytę – trudno uwierzyć, prawda? To była długa, trudna podróż, ale czuję, że przetrwałem nie tracąc autentyczności. Czy to ma według ciebie jakiś sens?”.

Ma. Nick Cave, jeśli kojarzył się ze śmiechem, to sarkastycznym, złośliwym, szyderczym. Był głośny i cyniczny. Typ człowieka, którego charyzma polegała w dużej części na umiejętności gnojenia. Do tego ostry ćpun. Spróbował heroiny w Melbourne w 1980 r., na kilka miesięcy przed przeprowadzką do Londynu: miał wtedy 22 lata i nie rzucił nalogu na dobre aż do czterdziestki.

Kokaina to ohyda

„Do pewnego stopnia heroina, poza wspianiałym uczuciem, jakie daje na samym początku, jest rodzajem dziwnego mechanizmu, które porządkuje egzystencję – mówi. – Częścią ludzkiej trage-

dii jest brak jasności, co zrobić ze swoim życiem. Wiele osób po prostu nie wie, jak należałoby je przeżyć. Ale uzależniony od heroiny nie ma tego problemu: ćpun budzi się rano i jedyną opcją jest danie w żyłę, w przeciwnym razie cały świat pogrążyłby się w chaosie. Musi iść po narkotyki. I to dwa razy dziennie. W pewnym sensie jest to forma ściśle ustalonego porządku i struktury. Właśnie dlatego kiedy rzuca nałóg, życie narkomana staje się piekłem. Struktura jest wali. To właśnie lubiłem w heroinie: kiedy brałem inne narkotyki, to już nie było to samo. Kiedy mieszkałem w Brazylii, mieli tam tylko kokainę, która jest paskudna, bo generuje wyłącznie chaos. Kurewsko jej nienawidzę. Brałem ją cały czas, ale to coś wstrętnego. Jak alkohol. Jak się upijesz, nie wiesz, co się dzieje. Straszna rzecz w byciu alkoholikiem jest to, że to, co robiłeś poprzedniej nocy, kompletnie nie ma znaczenia. Mogłeś wskoczyć do jeziora i uratować tonące dziecko, ale i tak budzisz się rano wyłącznie z poczuciem winy. A heroina oferuje uporządkowaną egzystencję. Powiedziałbym, że jest bardziej konserwatywna. Konserwatysta pragnie systemu, porządku. Myślę, że jestem tego rodzaju człowiekiem. Przy okazji zaznaczmy wyrażenie, że kiedy mówię o narkotykach w ten sposób, w żaden sposób nie promuję ich zażywania. Miałem kilka bardzo dobrych lat, gdy brałem, ale zmarnowałem też bezpowrotnie mnóstwo czasu. I pako-

CZUŁOŚĆ, WOLNOŚĆ, RÓWNOWAGA



FOT. GETTY IMAGES

Z **EDYTĄ SADOWSKĄ**,
FUTUROLOŻKĄ I INNOWATORKĄ,
ROZMAWIA **NATALIA WALOCH**

NATALIA WALOCH: Zajmujesz się m.in. trendem „make tech human”. Co to znaczy?

EDYTA SADOWSKA*: W skrócie chodzi o to, żebyśmy w naszym technocentrycznym świecie pamiętali, że jednak to my, ludzie, znajdujemy się w centrum i że technologia powinna służyć człowiekowi. Oraz że jest projektowana przez nas, dla nas.

Owszem, technologia pomaga nam wybrać najkrótszą drogę z Warszawy na Mazury, ale należałoby pamiętać, że potrzebujemy umiejętności odnajdywania się w terenie, którą za sprawą technologii gubimy.

Oczywiście nie ma co zrzucać na nią całej winy. Dzięki sztucznej inteligencji mieliśmy mieć więcej czasu, a okazało się, że skoro różne rzeczy możemy dzięki niej zrobić szybciej, to możemy robić ich więcej. Technologia znalazła się w społeczeństwie, które jest przekonane, że jeśli można coś robić szybciej i więcej, to powinno się te supermoce wykorzystać dla zwiększenia produktywności. A dlaczego nie dla odpoczynku?

Ułatwianie nam wszystkiego niekoniecznie służy naszym mózgom, prawda?

– Owszem. Analityczka trendów Natalia Hatałska i zespół Infuture Institute na tegorocznej mapie trendów umieściła analfabetyzm funkcjonalny. Ten trend opisuje zanikanie zdolności czytania ze zrozumieniem i pisanie, a także jasnego sformułowania myśli. Pojawienie się chatu GPT spowodowało, że zamiast bazować na współpracy z technologią, zaczęliśmy bezrefleksyjnie zlecać jej czynności do wykonania.

Potraktowaliśmy AI jak pralkę. Już obserwujemy masowe wykorzystanie sztucznej inteligencji do produkcji tekstów w me-

ANAS NIE WYZWOLI

A wiesz, że perfekcyjność nie jest już w cenie? W designie jest taki trend, żeby produkować rzeczy z niedoskonałością, jakiej mogły się dopuścić tylko ludzkie ręce

diach – przestaliśmy pisać posty na LinkedIn czy maile, bo chat robi to za nas. Prowadzi to nie tylko do znaczącego spadku ich jakości, ale także do powolnego ztracania umiejętności pisanie. Sama ostatnio złapałam się na tym, że po miesiącu zlecenia pisanie maile AI było mi trudno wrócić do pisanie osobiście. Po zaledwie miesiącu!

Co to dla nas oznacza?

– Po pierwsze – że wchodzimy w świat bezwartościowych treści, bo treść wygenerowana przez algorytmy, opierającą się na jednym prompcie [zapytaniu], rzeczywiście jej nie ma. A po drugie, takie używanie technologii nie przyniesie ewolucji naszego gatunku. Te rozwiązania są po to, by nas wspierać, a nie nas zastępować. Chat może być świetnym boosterem naszych umiejętności, krytykiem, współpracownikiem.

Technologia ma nas wzmacniać, a nie osłabiać, robiąc z nas wtórnych analfabetów. Zawsze zachęcam do myślenia w dłuższej perspektywie – już nawet nie tych stu lat, choć bardzo to polecam, ale chociażby kilkunastu czy kilkudziesięciu. Jak możemy wykorzystać rozszerzenie naszych zdolności, po to by się rozwijać jako jednostki, społeczności, gatunek?

Jakie błędy popełniamy, rozwijając dziś AI?

– Przede wszystkim nie rozmawiamy o tym, co się dzieje. Dam przykład. Kiedy uczelnie się zorientowały, że studenci będą korzystać z chatu GPT przy pisaniu prac, wymyślono system, który miał to wykrywać. Czyli odpowiedzieliśmy technologią na technologię, zamiast usiąść do stołu i pomyśleć, jakie zagrożenia, ale także wartości może do świata nauki wnieść ta technologia. Po wielu miesiącach powoli pojawiają się rekomendacje, żeby nie zakazywać, ale raczej zwrócić uwagę na etykę, transparentność, wskazać dobre praktyki. O przyszłości naprawdę można dyskutować!

W jakim momencie AI nas zastąpi?

– Na pewno nie jesteśmy w najlepszej kondycji – przepracowani i przebudżeni, co zresztą jest pochodną tego, jakie możliwości dała nam technologia. Bardzo dużo zmieniła pandemia: granice przestały istnieć, można pracować zdalnie z dowolnego miejsca na świecie, mieć 15 spotkań na Zoomie dziennie, 10 projektów, pięciu wirtualnych asystentów i nadal żyć, a właściwie już chyba tylko oddychać. Tyle że stoimy pod ścianą. Mówiąc wprost: jesteśmy białkowi. Biologiczne ciało nie daje rady pędzić tak, jak pędzą nasze umysły.

Dlatego właśnie wolimy takie wynalazki jak kąpiel leśna za

pieniądze z przewodnikiem, zamiast po prostu iść na spacer. Bo oprócz tego, że jesteśmy pracownicy i zmęczeni, jesteśmy też nieumiarkowani, konsumpcyjni i chcemy wszystko zmonetywizować.

– Owszem, choć to nie dotyczy najmłodszego pokolenia. To my jesteśmy z generacji, dla której wartość materialna wyznaczała miejsce na szczeblu struktury społecznej. Dla nas samochód oznaczał, że nas stać, a młodzi go nie potrzebują – mogą pożyczyć albo jechać pociągiem.

Idąc dalej, jesteśmy non stop przebudżeni. Oglądając film, scrollujemy telefon, rolki dają nam wyrzut dopaminy, którą tak kochamy. Tyle że nasz mózg nie do końca za tym nadąża. No i do tego wszystkiego media syntetyczne...

Co to takiego?

– To te media, które kreują treści – teksty, obrazy, dźwięki – za pomocą AI. Moja intuicja mówi mi, że to potężne zagrożenie, które czeka za rogiem i robi nam ogromną krzywdę, bo załamie się nam paradygmat prawdy. Dotąd uważaliśmy, że prawdziwe jest to, co widzimy. Taka definicja przestanie obowiązywać i będzie to bardzo problematyczne, bo my swój obraz świata opieramy na zmyśle wzroku. Co gorsza, takiego deepfake'a możesz zrobić pod strzechą bez żadnych szczególnych umiejętności. Mówiąc najprościej, będzie-

my mogli stworzyć dowolne wideo z dowolnymi osobami, a granicą będzie tylko nasza wyobraźnia.

Bez możliwości dojścia do prawdy czeka nas chaos. Było to dobrze widać w czasie pandemii podczas walki zwolenników nauki z antyszczepionkowcami, którzy mieli „swoją prawdę”.

– To w ogóle świetny grunt dla różnych teorii spiskowych, których wysyp widzimy. A jeśli dostatecznie duża liczba ludzi zacznie wierzyć, że Ziemia jest płaska, to robi się niebezpiecznie. Deepfake to potężne narzędzie nie tylko w rękach polityków. Wpuszczasz wygenerowane wideo do sieci, leci wiralowo i kultura wykluczania społecznego od razu się włącza. Nie ważne, że po paru godzinach pójdziesz dementi. Jeden w nie uwierzy, inny nawet nie przeczyta. Jak żyć w świecie, w którym nie wiesz, co jest prawdą?

Jak to, czego jesteśmy świadkami, może przebudować nasze relacje społeczne?

– Kiedy rozmawiam z młodzieżą, często pojawia się w jej prognozach dystopia, świat w ciemnych barwach. Dla mnie to sygnał, że coś jednak poszło nie tak, że nie dajemy rady. Dystopia jest wyrazem naszych lęków przed przyszłością. Zaczynamy czuć, że jesteśmy przemęczeni, zaczynamy stawiać granice dotyczące pracy i wymagań turboefektywności. Pojawia się JOMO – antytrend wobec FOMO oznaczający radość z bycia odłączonym.

Mam szczęście mieszkać w małej podhalańskiej wsi. Zaczynam myśleć, że jeśli w moim lokalnym sklepie miałoby nie być pani Krysi czy pani Zuzi, tylko samoobsługowa kasa, to ja nie chcę tam chodzić. I nie mam wcale przekonania, że będziemy chcieli zautomatyzować takie zawody jak kasjer czy sprzedawca. Z nimi możesz zamienić dwa słowa, a w kolejce porozmawiać o pogodzie. To są małe rzeczy, które jeszcze kilka lat temu

uważaliśmy za nieistotne, a które zaczęliśmy postrzegać inaczej.

Wraz z pojawieniem się samoobsługowych Żabek Nano, gdzie nie spotkamy nikogo. – Wierzę, że sensem naszej ewolucji jest zdolność komunikowania się, współpracy i budowania relacji. Bez tego nie pójdziemy dalej.

Zgadzam się, tymczasem w Lidlu niedaleko mojego domu zlikwidowano trzy kasy z ludźmi i zrobiono sześć samoobsługowych. Czy nie wyłudzimy zbiorowo na kozetce, gdzie będziemy musieli się od nowa uczyć relacji.

– To pytanie o ogólnospołeczną świadomość. Być może w swojej masie wciąż wolimy korzystać z kasy samoobsługowej, bo tak jest szybciej. Jest taki wykres odnoszący się do innowacji (krzywa Rogersa). Według niego, zanim trend wejdzie do mainstreamu, jego załazek jest testowany przez innowatorów, a później pierwszych użytkowników. I zobacz: mamy już grupę ludzi, którzy wyprowadzają się na wieś, gdzie chcą mieć spokój, palić w kominku i robić lokalnie zakupy. Choć to nie jest trend ogólnospołeczny, ja jednak upieram się, że coś się dzieje, że na mapie naszych potrzeb odkopujemy, co dla nas ważne. W dużych miastach powstają małe restauracje, małe piekarnie, wspólne ogródki. Jestem optymistyczna, jeśli chodzi o nasze relacje, uważam, że ich całkiem nie zniszczymy. Nie pozwolimy sobie na to.

A jakie są te tzw. kompetencje przyszłości w świecie z AI? – Po pierwsze, nie znoszę zlepek słów „kompetencje przyszłości”, bo kompetencje przyszłości są w przyszłości i nikogo nie interesują. Mówię raczej o kompetencjach do przyszłości, dlatego że w tym jest sprawczość. I jeśli miałabym wymienić jedną umiejętność – kluczową w świecie, który stoi przed nami – to jest to poczucie indywidualnej sprawczości.

W raporcie Future Skills ubiegłorocznego The World Economic Forum czytamy właśnie o nowej roli kompetencji połączonych z poczuciem sprawczości: o samoświadomości, budowaniu odporności psychicznej, motywacji, ciekawości, zdolności uczenia się.

Czym jest taka sprawczość, o jakiej mówisz? – To przede wszystkim patrzenie na przyszłość pod kątem tego, co mogę zrobić. Umiejętność kreślenia różnych scenariuszy w danej sytuacji i poszukiwania różnych rozwiązań. To zadawanie pytań wobec przyszłości i szukanie na nie odpowiedzi. To też świadomość własnej sprawczości.

Kiedy korzystam z narzędzi technologicznych służących np. do tłumaczenia z obcych języków i widzę, że co prawda pracuję szybciej, ale zaczynam gorzej mówić po angielsku, to coś z tym robię i to zmieniam. Szukam rozwiązań, które mogą wdrożyć do swojego planu dnia. Myśląc o sprawczości, szukamy wielkich i doniosłych idei, a tymczasem sprawczość wobec jutra to droga krok za krokiem.

Krytyczne myślenie też się nam pewnie przyda? – Absolutnie. Warto wrócić do kwestii deepfake’ów. Pojawia się technologia, które pomogą nam

je rozpoznawać: będzie można ściągnąć apkę, wrzucić w nią wideo i to sprawdzić. Ale to będzie wymagało pewnej pracy: pobrania zdjęcia czy filmu, a następnie wrzucenia go w apkę. Nie każdemu będzie się chciało. Kluczowe zatem staje się krytyczne myślenie, świadomość tego, że nie wszystko, co widzę, jest prawdą.

Krytyczne myślenie to nie tylko fact checking, ale także nasze funkcjonowanie ujęte całościowo w otaczającym nas ekosystemie. Ono służy nam do oceny rozwiązań, myślenia długoterminowego, patrzenia szerszego, niż proponują to big techy. To świadomość możliwości, ale także zagrożeń, jakie niosą za sobą technologie. Wiesz, ile wody zużywa pięć promptów skierowanych do chata GPT? Około pół litra.

Bez krytycznego myślenia wciąż będziemy pytać chata, czy pierwsza na świecie była kura, czy jajko. W świetle zmian klimatycznych i postępującego braku wody za moment to będzie realny problem dla nas wszystkich.

Kiedys w internetowym sklepie odzieżowym dostałam od algorytmu podpowiedź, że góra stroju kąpielowego, który wybrałam, nie pasuje do dołu. „Serio? – pomyślałam sobie wtedy. – Potrzebujemy serwerów, które niszczą środowisko, dla czegoś takiego?”. W Stanach Zjednoczonych z ich powodu poziom wód gruntowych opadł już tak bardzo, że zakazano podlewania ogródków, są za to olbrzymie mandaty. Znałoma z Kalifornii opowiadała mi o sąsiadce, która musiała zrezygnować z pięknego różanego ogrodu właśnie z tego powodu.

Popatrzmy w krytyczny sposób na rozwiązania technologiczne takie jak chociażby dane w chmurze – to brzmi tak lekko, prawda? Myślimy, że to nic nas nie kosztuje, bo tego nie widzimy, tymczasem to potężny koszt dla środowiska.

Od tego, żeby zdawać sobie sprawę z takich rzeczy, jest właśnie krytyczne myślenie.

A jak nowe technologie, o których rozmawiamy, mogą się przysłużyć kobietom? Wielu badaczy próbuje prognozować, kto będzie wygranym, a kto ofiarą nowej wielkiej rewolucji. – Gdybym miała pomyśleć konkretnie o kobietach, to moja pierwsza myśl kieruje się w stronę kobiecych mikrobiznesów. AI daje świetne nowe możliwości zarządzania małą organizacją czy niewielkim projektem, co stworzy wiele szans małym przedsiębiorcom. Może zbuduje też nowe pole, wspierając odważne decyzje o rozpoczęciu własnego biznesu.

Ale nie myślm tylko o AI. Nowe technologie, automatyzując rynek pracy, zostawiają miejsce na lukusowy rynek usług ludzkich. Nazwałam go specjalnie lukusowym, bo w przyszłości pełna empatii rozmowa z drugim człowiekiem może stanowić dużą wartość.

A co z sektorem opiekuńczym, który, podobnie jak edukacyjny, jest bardzo sfeminizowany? – Skoro mówimy, że ważne zaczynają być kompetencje „pójścia do środka”, wglądu w siebie, to myślę, że tutaj kobietom przychodzi to nieco bardziej naturalnie i może mieć znaczenie na rynku pracy przyszłości. Nie znaczy to, że mężczyźni nie mają takiego wglądu

du czy że nie prowadzą głębokich rozmów, ale na pewno u kobiet pojawia się więcej emocji. Przede wszystkim kultura pozwalała im je okazywać w większym stopniu niż mężczyznom.

Co to dla nas oznacza? Oglądałam kilka dni temu w telewizji materiał o fundacji, która dostała z Japonii terapeutyczne roboty focchi dla dzieci migrantów. W czasach gdy zajmowałam się transhumanizmem, myślałam, że roboty społeczne to całkiem dobry koncept: społeczeństwo się starzeje, więc sektor opiekuńczy będzie rósł i być może takie roboty będą nam potrzebne. Ale ta robotyczna foka wywołała we mnie przerażenie.

Patrzyłam, jak dzieci trzymały ją na rękach, i pomyślałam: „Naprawdę jesteśmy w takim miejscu, że już potrzebujemy robota, żeby mnie wysłuchał, żebym miała kogo pogłaskać?”. I uważam, że nie, przeciwnie: potrzebujemy więcej ludzi, żeby zaopiekować się sobą wzajemnie. I tutaj otwiera się olbrzymie pole dla kobiet. Ale nie tylko w zawodach, które wiążą się z empatią, ale też z technologią, bo te nowe technologie trzeba sensownie i z empatią dla przyszłych użytkowników projektować i wdrażać.

Pewnie większość z nas bez większego problemu powierzy inwestowanie pieniędzy algorytmowi, ale raczej niewiele osób posłałoby dziecko do żłobka z robotycznymi opiekunkami. – Otóż to, zwłaszcza że jest też i taka prawidłowość, że im bardziej

Każdy wolalby ludzką pielęgniarkę, nawet gdyby miała być nieco niemila, prawda?

robot jest podobny do człowieka, tym bardziej nas przeraża. A jednak próbujemy, jak smakuje ten świat: wielką popularnością cieszą się roboty seksualne. Pytanie, czy to właśnie nie jest prosta droga do ściany, bo zmęczeni i przebodźcowani przypominamy sobie jednak, że mamy zmysły, skórę, że chcemy dotykać swojego kota, a nie automatycznej foki, bo kot jest ciepły i pachnie w określony sposób. Dotykamy drugiego człowieka z bardzo złożonych powodów i wciąż chodzimy z przyjemnością do restauracji, w której są ludzie, zapachy i smaki...

...choć pewnie moglibyśmy szybciej odżywić się kapsułkami czy kroplówką. – Właśnie. I mimo że technologia sprawiła, że trochę zapomnieliśmy o ciele, siedząc przed komputerami, to jednak sobie o nim przypominamy. Dlatego w pandemii taka masa ludzi zaczęła walczyć ze stresem za pomocą morsowania, czyli silnego bodźcowania ciała zimną wodą, czy pieczenia chleba, którego zapach roztaczał się po całym mieszkaniu.

Pewnie też nikt z nas, leżąc w szpitalu w bólu i niepewności, nie chciałby opieki robotycznej pielęgniarki. – Jasne, każdy wolalby ludzką pielęgniarkę, nawet gdyby miała

być nieco niemila, prawda? Bo to wciąż są emocje, a my ich potrzebujemy do budowania relacji.

W świecie, jaki znaliśmy od setek lat, czyli krótko mówiąc, patriarchalnym, emocje nie miały dobrej prasy. Uważano je za dowód słabości, przekonywano, że przez nie kobiety nie nadają się do polityki czy nauki. Czyżby teraz emocje miały wyjść na światło dzienne z komórki, do której były odesłane?

– To bardzo ciekawe pytanie. Pomyśl: przecież moglibyśmy prosić sztuczną inteligencję, żeby podejmowała różne decyzje, polityczne czy biznesowe, bo przecież jako pozbawiona emocji powinna być do tego idealna, prawda? Kalkulacja, algorytm i ciach! – wychodzi nam, że np. w ogóle nie oplaca się wspierać osób z niepełnosprawnościami. Przez wieki mówiliśmy, że emocje przy podejmowaniu decyzji szkodzą, ale kiedy dostaliśmy narzędzie ich pozbawione, nagle mówimy: „Hola, hola! Do podejmowania decyzji jednak potrzebujemy inteligencji społecznej czy emocjonalnej”. Mamy najnowocześniejszą technologię w dziejach, ale mówimy: „To my, ludzie, jesteśmy lepsi od AI, bo mamy emocje”. Już za-przeczyliśmy temu utrzymującemu się przez wieki twierdzeniu, że emocje są zbędne i szkodliwe.

Mało kto chciałby, żeby leczył go onkolog bez emocji, który by stwierdził, że nie ma sensu już nam niczego podawać, bo według algorytmu leczenie naszego raka się nie kalkuluje. – Ale lekarz wspomagany przez technologię mogący więcej czasu poświęcić na rozmowę z pacjentem to już inny horyzont. I nagle te emocje, które były tyle czasu odkładane na ciemną półkę, wcale nie są takie złe, bo to one sprawiają, że jesteśmy ludźmi.

Choć niedoskonałymi. – A wiesz, że perfekcyjność nie jest już w cenie?

W designie jest taki trend, żeby produkować rzeczy z błędem ludzkim, z niedoskonałością, jakiej mogły się dopuścić tylko ludzkie ręce. Coraz częściej nie chcemy fotela idealnego, chcemy fotel, który zrobił człowiek. Szukamy rzemiosła.

Tu znowu widzę pole dla kobiet. Przez dekady artystki odsyłano do robienia biżuterii, ceramiki i pracowni tkanin, podczas gdy w pracowniach malarstwa i rzeźby zostawali mężczyźni. Dziś ta część sztuki, gdzie mamy małe rękodzieło, ma szansę być doceniona. – Za tym idą swetry i czapki robione na drutach, a nie kupione w sieciówce. Ogrodnictwo przeżywa re-

nesans, a to dziedzina, która zależy od naszej sprawczości. Atawistycznie potrzebujemy podotykać ziemi, poprzycinać gałązki, wypławić grządki i zobaczyć efekty. I nie chcielibyśmy tego oddawać robotowi.

Jaką rolę odgrywają i będą odgrywać kobiety w projektowaniu AI?

– Wraz z pojawieniem się dużych modeli językowych (chat GPT czy Claude) próg wejścia do technologii się zmienił. Nie wymaga ona od nas już takich kompetencji programistycznych, które były przeszkodą dla kobiet, bo jednak większość osób na kierunkach związanych z IT to byli mężczyźni (pomału za sprawą świetnych akcji typu „Kobiety w IT” ten trend się zmienia). I nie chodzi tu o to, że nie mamy zdolności do programowania, tylko tak funkcjonował świat, który zbudowaliśmy. Ale trend się odwraca, w badaniu przeprowadzonym przez Women Go Tech wskazano, że to właśnie Polki w Europie korzystają z AI najwięcej.

Popatrzmy też na technologie nie tylko przez pryzmat kompetencji twardych. Nadchodzi czas szerszego spojrzenia na technologie, właśnie z uwzględnieniem dłuższej perspektywy i skutków społecznych. To miejsce jest bardzo szybko wypełniane przez kobiety. ●



FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Edyta Sadowska

• doktorka nauk społecznych, futurologka, wykładowczyni akademicka, innowatorka. Laureatka programu Jutronauci (Gazeta Wyborcza & Kulczyk Investment).

CZUŁOŚĆ, WOLNOŚĆ, RÓWNOWAGA

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans. „Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”.

OGŁOSZENIE

Kraj/34325562

Czułość. Wolność. RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY

SPONSOR

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

KULCZYK FOUNDATION

eprasa.pl 4d2c24c17c

1RP

Tomasz Różycki*

Zanim wiersz Adama Zagajewskiego „Spróbuj opiewać okaleczony świat” trafił na okładkę specjalnego, żałobnego numeru tygodnika „The New Yorker” po zamachach na World Trade Center i od razu stał się sławny w Ameryce, autora tego wiersza znano i ceniono już w Europie, zwłaszcza w Niemczech, gdzie na przełomie lat 70. i 80. spędził dwa lata jako stypendysta organizacji DAAD. W Polsce był znany w wielu środowiskach jako autor ważnych pokoleniowo i polemicznych nie tylko estetycznie, ale także politycznie książek.

1. Spróbuj

Jego obecność na amerykańskiej scenie życia literackiego zaczęła się od tego, że jeden z ważniejszych wydawców w kraju wydał jego wiersze, zarekomendowane – jak opowiadał potem Adam – przez Josifa Brodskiego. Tymi wierszami zachwycali się Miłosz, Herbert, Susan Sontag i wielu amerykańskich poetów i krytyków, a Adam prowadził zajęcia na uniwersytetach w Houston i Chicago.

Potem – na skutek zbiegu okoliczności, a przecież wiemy, jak to jest z przypadkami – „Spróbuj opiewać okaleczony świat” pojawił się w niezwykłym momencie w „New Yorkerze” i na spotkaniach autorskich często proszono autora o przeczytanie tego właśnie wiersza, a przecież niemal każdy wiersz Zagajewskiego był taki: każdym próbował opowiedzieć o radości, żalu, o zachwycie, żalobie i o pocieszeniu w poezji, która jest tym wszystkim jednocześnie.

Adam Zagajewski urodził się we Lwowie, mieście, w którym od pokoleń mieszkała jego rodzina i które straciła zmuszona do wyjazdu, kiedy był kilkumiesięcznym dzieckiem. Urodził się w okaleczonym kraju, tuż po II wojnie światowej, która w samej Polsce zabrała 6 mln mieszkańców i starła z powierzchni ziemi jej stolicę. Przez całe życie robił właśnie to: próbował opiewać świat, który mimo wszystko jest wstrząsająco piękny. Być może chciałby, aby tak jak w jego wierszu „Wielki Piątek w korytarzach metra”, gdzie „Pasja świętego Mateusza” przemienia ból w piękno, i jemu udała się taka próba.

Urodził się 21 czerwca, w dzień paradoksu, letniego przesilenia, gdzie wszystko się zaczyna i kończy równocześnie, tam, gdzie wskazówka sezonów osiąga apogeum i zaczyna opadać, kiedy Ziemia na swej osi obrotu wychyla się najbardziej w kierunku Słońca, a równocześnie to pierwszy dzień ponownego upadku w ciemność.

Jego rokiem urodzenia był rok 1945, przełomowy, kiedy wszystko się skończyło i wszystko zaczęło. Zmarł 21 marca, w Międzynarodowe Święto Poezji, w pierwszy dzień kalendarzowej wiosny, kiedy żegna się zimę i świętuje odrodzenie życia w naturze, a w Polsce od lat obowiązywał Dzień Wagarowicza i tysiące dzieciaków uciekało ze szkół na węgry, żeby świętować wolność. Aż do tego roku, ponieważ wyjątkowo w roku 2021 szkoły w większości wypadków były zamknięte.

I to, że nazywał się A.Z., tak jakby wahadło przechodziło od jednego do drugiego krańca alfabetu, przemierzając po drodze wszystkie możliwości języka, całą skalę. Ale dość tej taniej kabaly.

Przypominam sobie moment, kiedy przyjechałem do Krakowa na studia. Właśnie upadła komuna, odwracały się czasy, był przełomowy i paradoksalny rok 1989. Kraków był brudny – mury kamienic niemal czarne, powietrze zanieczyszczone spalinami. Lata 80. w Polsce były latami zmęczenia, kryzysu i codziennej walki. Nawet najprostsza pospolita czynność wymagała wielkiego wysiłku. Wydawało się, że życie składa się z samych utrudnień.

Na straganie przy Uniwersytecie Jagiellońskim kupiłem dwie lub trzy jego książki, które do tej pory były niemal nieosiągalne, ich druk w Polsce nie był legalny w czasach komunistycznych. Były to wydania „podziemne”, reprinty paryskich i londyńskich książek jego wierszy i esejów.

W tamten ciepły dzień, siedząc na ławce na Placach we wciąż jeszcze nierealnym dla mnie, przyjeźdnego z prowincjonalnego śląskiego miasta, Krakowie, przeżyłem moment oszołomienia. Poczulem, że trafiam na poezję należącą do żywiołu powietrza: można było nią oddychać. Można było unieść się lub inaczej – zanurzyć się i natychmiast być uniesionym, tak jak tego doświadcza ciało w ciepłym Morzu Śródziemnym. „W tej jednej czarodziejskiej chwili jest mu wszystko jednakowo bliskie i jednakowo da-



Poezja wciąż jest o krok przed nami. Chce nam powiedzieć coś, czego na razie jeszcze nie rozumiemy

CIEMNYPIŁA

ADAMA ZAG

lekie: czuje się zespolony ze wszystkim. Przeszłość niczego mu nie zabrała, przyszłość niczego mu nie da. W tej czarodziejskiej chwili zapanował nad czasem” (Hugo von Hofmannsthal, „Poeta i nasze czasy”, przeł. Jan Kasprówicz).

Wtedy, na ławce, spojrzałem na ten smutny i brudny kraj inaczej, tak jakby ktoś nagle potwierdził, że jest w naszym życiu coś ponad to, coś być może niewidzialnego na pierwszy rzut oka, ale ważniejszego i piękniejszego, dodającego otuchy i odwagi, wyzwalającego. A ponieważ wiersze te jeszcze niedawno, za czasów Polski Ludowej, były objęte zakazem druku, pomyślałem, jak żalosne, słabe i podle musi być państwo z dziesiątkami tysięcy funkcjonariuszy, skoro boi się takiej poezji, boi się oddechu.

Była to poezja bardzo konkretna i polska, tak bardzo jak tylko może być polskie wspomnianie utraconego Lwowa – i równocześnie oderwana od przeklętych polskich problemów, inna, światowa, wolna. Nie dlatego, że wiersze te były oderwane od rzeczywistości, jak zarzucała im nieraz polska krytyka, nie – one były o rzeczywistości samej, ponieważ nasza rzeczywistość jest podwójna już choćby przez samo to, że składa się z widzialnego i niewidzialnego, a w dodatku, gdyby zacytować Hegla, jest zagro-

żona „furią zanikania” i dlatego dostępna nam tylko na mgnienie.

Poezja to również świadomość tego zanikania, elegia, pożegnanie rzeczywistości, moment żaloby, potrzebny, abyśmy mogli udźwignąć nie tylko stratę, ale także nadmiar pamięci. Poezja to także wyobraźnia, i tak jak nasza rzeczywistość składa się w połowie z pamięci, a w połowie z wyobraźni.

Piszę to, ponieważ pewne rzeczy wydarzają się w życiu tylko raz, możemy je pominąć milczeniem, ale to milczenie prędzej czy później przerosnie nas i pochłonie. Możemy także spróbować podziękować za nie, choćby nieudolnie, ale podziękowanie z natury rzeczy jest mniejsze niż dar, który się otrzymało.

Aby opisać coś, należy nabrać do tego dystansu. Najlepiej także, aby obiekt opisu znieruchomiał, co nie jest w tym wypadku możliwe, nawet za pomocą takiego środka utrwalającego, jakim jest śmierć. Nie można bowiem opisać serca dzwonu w ruchu, można spróbować najwyżej opowiedzieć o jego balansowaniu.

I nawet nie chodzi o to, że na dystans w tym przypadku prawdopodobnie zawsze będzie za wcześnie. Po prostu nie wiem, czy dystans w tym wypadku w ogóle jest możliwy, bo trudno nabrać



FOT. JAKUB WODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

SZCZ AJEWSKIEGO

wystarczającego dystansu do samego siebie. Jak pisał poeta Wallace Stevens: „Cytaty mają szczególne znaczenie ze względu na to, że notujemy wyłączenie własne słowa, niezależnie od tego, kim jest ten, kto je napisał. To »kim jest ten« to sam cytujący, ale pod inną postacią, w innej epoce, w innych okolicznościach” (list do Elsie Violi Kachel z 7 stycznia 1909 r.).

I nawet nie w tym rzecz, że to, o czym chcę napisać, jest niewidzialne czy nieuchwytnie, po prostu nasze spotkanie odbyło się gdzieś w żywiole powietrza i odtąd pewna nieuchwytna część jest nam wspólna. Ta nieuchwytna część wcale nie zniknęła, ona wciąż tu jest, wciąż jest we mnie i właśnie dlatego dystans nie jest możliwy.

Zresztą podobnie jak w przypadku większości opublikowanych wspomnień o umarłych – wszystko to, co napisane, w większej mierze dotyczy wspominającego, nie umarłego. Przyjaźń to także odbijanie się w oczach innego. I to mnie uspokaja.

„Nieuchwytnie jest życie i tylko/ we wspomnieniu odsłania swoje rysy,/ tylko w nieistnieniu. Nieuchwytnie są/ popołudnia, dojrzałe i głośnie, liście/ pełne soku, wypukłe owoce, szeleszczące/ jedwabie kobiet (...). Nieuchwytnie góry na widnokręgu./ Tęcza niedotykalna. Wielkie skały obłoków/ płyną po-

woli po niebie. Nieuchwytnie./ bogate popołudnie. Moje życie./ wirujące i nieuchwytnie, wolne” (wiersz „Owoce”).

2. Opierwać

Poezja Adama Zagajewskiego wydawała mi się inna od wszystkiego, co czytałem do tej pory, zwłaszcza z polskiej – choć nie tylko – poezji współczesnej, naznaczonej jakąś ponurą ciężkością, jakimś drewnianym suchym kołataniem języka. Nie wiem, czy bar-

*Urodził się 21 czerwca, w dzień paradoksu,
letniego przesilenia, gdzie wszystko się zaczyna
i kończy zarazem. Zmarł 21 marca, w pierwszy
dzień kalendarzowej wiosny, kiedy świętuje się
odrodzenie życia w naturze*

dziej wpływał na jej kształt koszmar II wojny światowej, czy powojenne zniewolenie sowieckim systemem politycznym.

Poezja Adama miała w sobie oddech i przestrzeń, nie była ciasna, była rozsadzona światłem. Nie miała w sobie splątania i mazołu, była – jak pisał sam autor – „poszukiwaniem blasku”. Była poezją radości: czystej radości istnienia, podziwu dla piękna i świata, bycia jego dzieckiem. Radości takiej, jaką jest radość kąpieli w ciepłym Morzu Śródziemnym.

Tak, Adam Zagajewski wiedział i pisał także o zgrozie, cierpieniu i zniszczeniu, pisał, że w tym samym morzu toną uchodźcy, tak jak wiedział i pisał o tym, że Lwów, który tak kochał, tuż przed jego narodzinami był także miejscem zbrodni, pogromów i niesprawiedliwości. „Wiersz rośnie na sprzecznościach, ale ich nie zarasta” – tak to sformułował w „Odzie do wielości”.

Nie rozgrzeszał świata, ale jego poezja podejmowała to, co czyni poezja od początku swego istnienia: celebrytuje ludzki byt, celebrytuje życie. Nawet wtedy, kiedy opuszcza nas nadzieja, może zwłaszcza wtedy potrzebna jest poezja, która próbuje przezwyciężyć rozpacz. Bo to nie jest koniec, to nigdy nie jest koniec, jak mówi poezja. Bo pomimo wszystko świat zasługuje na to, aby go chwalić, życie zasługuje na to, aby za nie dziękować, i dobro jest potężniejsze niż zło. „Zachłyśnięcie się światem” – to właśnie uwielbiał w poezji Zagajewskiego Czesław Miłosz.

Wiersze Adama często są ekstatyczne, organiczne, wychodzące od konkretnego i przekształcające się w hymn – jak między wieloma innymi, w wierszu „Lawa”, który mógłby być próbą odpowiedzi na słynne zdanie Adorno, że pisanie wierszy po Auschwitz jest barbarzyństwem.

Opowiadają o błyskach szczęścia, o momentach, w których, jak powiedziałby Schopenhauer, „wolni jesteśmy od haniebnego naporu woli, świętujemy sabat okielznania woli, koło Ixiona zatrzymało się w miejscu” („Świat jako wola i przedstawienie”, przeł. Jan Garewicz), a które Nietzsche określał mianem „wiecznego powrotu”. To poezja lekka i przesywająca zarazem, kiedy ją czytam, mam wrażenie, że kalendarz znów się pomylił i zapomniał o świętach, które ona ogłasza.

„Cóż jednak, pomyślałem, jeżeli jednocześnie/ i Heraklit, i Parmenides mają rację/ i tuż obok siebie istnieją dwa światy,/ jeden spokojny, drugi szalony; jedna strzała/ mknie bez pamięci a druga przygląda się jej/ z pobbazaniem; ta sama fala płynie i nie płynie,/ zwierzęta rodzą się i giną w tej samej chwili./ listki brzozy bawią się wiatrem i jednocześnie/ niszczą w rdzawym, okrutnym płomieniu./ Lawa zabija i utrwała, serce uderza/ i jest uderzone, była wojna, wojny nie było./ Żydzi umarli, Żydzi żyją, miasta spłonęły,/ miasta stoją, miłość płowieje, wieczny pocałunek,/ skrzydła jastrzębia muszą być brązowe./ ty wciąż jesteś ze mną chociaż nas już nie ma,/ okręty toną, piasek śpiewa i chmury/ wędrują jak strzępy weselnych welonów. (...)

Młodość zamienia się w nicość w ciągu/ jednego dnia, twarze dziewcząt zamieniają się/ w medaliony, rozpacz zamienia się w zachwyt/ i twarde owoce gwiazd rosną na niebie/ jak winogrona i piękno trwa drżące i nieporuszone/ i Bóg jest i umiera, noc wraca do nas/ co wieczór a świt jest siwy od rosy”.

Uchwycony moment przejścia, transcendencji, fotografia, która przylapuje znikanie, jakby poezja była Miłoszowskim „momentem wiecznym”. „Jeżeli przez wieczność – pisze Ludwig Wittgenstein – rozumieć nie nieskończony czas, lecz beczasowość, to ten żyje wiecznie, kto żyje w teraźniejszości” („Tractatus logico-philosophicus”, przeł. Bogusław Wolniewicz).

Tak, jakby wciąż istniało „tamto”, zniknięte życie, wszystko było jeszcze możliwe, niczego nie straciliśmy i równocześnie wciąż istnieje żal po stracie, nieutulony, którego nie musimy się wstydzić, wciąż istnieje nasz płacz. Jakaś niewidzialna ręka pisze wiersz, dotyka nas i kiedy śpimy, przedstawia w pokoju przedmioty, zmienia nasz świat, zostawiając czasem swój tajemniczy ślad. Jeszcze z wiersza o Garonnie z tomu „Niewidzialna ręka”:

„Nikt nie patrzył, nie było kamer,/ tylko oko błękitu; absolutna ignorancja,/ błogość, gloria, uspokojenie./ Nóż do otwierania listów/ leżał na drewnianym stole,/ garść orzechów, sliwka węgierka,/ która świeciła fioletowo/ jak na hiszpańskim płótnie,/ i zużyty plastikowy długopis/ z ciemnymi smugami poezji”.

Nazywano go poetą elegijnym, z czym po pewnym czasie się zgodził, jeśli poezja jest także próbą zatrzymania czegoś, co przemija i zmierza do nieistnienia. Podwójność, paradoks, dychotomia – ale też całość, bo sprzeczności współistnieją w całości. Pi-

sząc o co najmniej podwójnej rzeczywistości, Adam Zagajewski nie ma na myśli łatwej metafizyki, to nie poeta katolicki. „Mistyka dla początkujących” – tak lubił nazywać swoją poezję i poezję w ogóle – lub cytując swego ojca, inżyniera – „Lekka przesada”.

Jego wiersze i eseje to nie są wielkie epifanie skierowane do Boga i wychwalające jego jedynowładztwo, to raczej próba pokazania całej rzeczywistości – czyli także tego, co niewidzialne, życia wewnętrznego, życia duchowego splecionego z życiem namacalnym, bolesnym i okrutnym. Widzialna część zaraz zniknie, pozostaje tylko światło, promyk nadziei.

Jak w malarstwie Caravaggia, wiersze Zagajewskiego pokazują moment przejścia, sekundę, kiedy zapala się boska iskra i pada w ciemność, oświetlając złe, zdziwione lub roześmiane ludzkie twarze, twarze wykrzywione cierpieniem lub nienawiścią, podłością lub po prostu twarze zwykłe, pospolite, które przemienia blask: moment, który decyduje, że nic nie będzie jak wcześniej. Wyzwalająca iskra boskości, tajemnicza i nieoczywista, przynosząca za ledwie nikły błysk nadziei, oświeślała ludzkie wady i ogłaszała litość dla umęczonego, ale także piękne-go ciała i całego materialnego świata – jak sam napisał o tym w wierszu: „Oni żyją w półmroku i nagle przychodzi światło”.

Dokonuje się przemiana, przejście, ruch waha-dła od jednego do drugiego wychylenia. Nagle zwykła chwila staje się oknem, a rama obrazu framugą drzwi, przez które możemy wyjść poza nasz czas, w małą wieczność, w małe zmartwychwstanie.

3. Okaleczony

Adam Zagajewski spędził na emigracji 20 lat, mieszkał w Paryżu i Huston, a potem w Paryżu i Chicago; w obu amerykańskich miastach przez jakiś czas uczył. Nie nazywał się wygnańcem; protestował, że do Paryża pojechał ze względu na miłość swojego życia, Maję, a nie z powodu polityki, choć przecież w Polsce był objęty zakazem druku i nie mógłby tak łatwo wrócić do kraju. Mimo że pierwsze lata w Paryżu były trudne, uważał, że pisarze są najbardziej uprzywilejowani pośród wszystkich emigrantów. Nie giną cali, zostaje po nich ślad.

Wśród wierszy czytanych przeze mnie wtedy na ławce w Krakowie był także wiersz „Jechać do Lwowa” – już wówczas słynny, znany mi w liceum z powielanych samizdatowych wydań „Zeszytów Literackich”. Wiersz był mi szczególnie bliski ze względu na moją rodzinną historię.

Podobnie jak Adam, mój ojciec urodził się we Lwowie na Łyczakowie, tam, gdzie mieszkali także i Herbert, i Lem, i Debora Vogel. I moi rodzice zostali wysiedleni stamtąd do śląskiego poniemieckiego miasta. Wspominam o tym, ale przecież nie takie „przypadkowe” powinowactwo jest istotne, nie ono sprawiło, że ten wiersz stał się także i moim hymnem.

Lwów jest tam „drugą Jerozolimą”, a powrót do miasta z przeszłości w naszej rzeczywistości wi-dzialnej jest niemożliwy. Wspólnota wygnania jest wspólnotą tęsknoty za nieosiągalnym, za czymś mitycznym, co istnieje jedynie w pamięci lub bardziej nawet w wyobraźni.

„Jechać do Lwowa” to znaczy uciekać do Lwowa, wyjeżdżać w stronę wiecznego trwania, poza czas, do Nowego Jerozolima. Wyjazd jest ucieczką przed szarością i zwątpieniem, wyprawą do krainy zmarłych, którzy przecież wciąż żyją, tam, gdzie nic nie jest skończone. Jest wyprawą do raj, do cudownego „Nigdzie”. „Prawdziwe życie jest nieobecne”, jak pisał pewien szaleniec w poezji, najbardziej liryczny z liryków (Arthur Rimbaud, „Sezon w piekle”).

Ten Lwów Zagajewskiego nie jest Lwowem dla różnych towarzystw miłośników ziemi lwowskiej zbierających się, żeby powspominać w dość ortodoksyjnym duchu swój Lwów – to raczej Bizancjum z wiersza Yeatsa „Żeglując do Bizancjum”, greckie Elizjum. Brzoskwinia. Idealna i piękna. Nieuchwytna.

W mojej rodzinie lwowskie wspomnienia były na porządku dziennym i utrzymywały mnie w przekonaniu, że jesteśmy na Śląsku tylko chwilowo, wypędzeni z miejsca rajskiego. Lwów, najśmieszniejsze i najpiękniejsze miasto świata, był nietknięty we wspomnieniach – jeśli cokolwiek pozostało po potwornym czasie wojny i cynicznym zniszczeniu każdej świętości przez powojenne czasy komuny, to tylko Lwów, „spokojny i czysty jak brzoskwinia”.

To podwójne życie wygnańców Zagajewski wspaniale opisuje w eseu „Dwa miasta”, gdzie na faktyczną mapę Gliwic, w których spędził dzieciń-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zuzanna Ginczanka*

Maj 1939

*Raz wzbiera we mnie nadzieja,
raz jestem niespokojna.
Zbyt wiele rzeczy się dzieje –
coś przyjdzie: miłość lub wojna.*

*Są znaki, że przyjdzie wojna:
komety, orężdia, mowy.
Są znaki, że przyjdzie miłość:
serce, zawroty głowy.*

*Kometa błysnęła nocna,
gazeta nadbiegła dzienna.
O wiosno, wiosno miłosna!
Nie, nie miłosna. Wojenna!*

*Pełnia nadeszła wiosenna
i snów ze sobą naniósła.
O wiosno, wiosno wojenna!
Nie, nie wojenna. Miłosna!*

*Czytam codzienne dodatki,
wnioski z dodatków snuję,
obrywam na kwiatkach płatki:
kocham... lubię... szanuję...*

*Brzemienna! Wróżebna! Wiosno
inna od innych wiosen!
Cokolwiek byś mi przyniosła,
wszystko przyjmę i zniosę.*

*Na maju, rozstaju stoję
u dróg rozdrożnych i sprzecznych,
gdy obie te drogi twoje
wiodą do spraw ostatecznych.*

*Tęsknota nadciąga chmurą,
wieści przez radio płyną.
Czy pójdę, czy pójdę górą,
czy pójdę dolinę?*



FOT. ALAMY STOCK PHOTO

***Zuzanna Ginczanka** – ur. w 1917 r., poetka, muza poetów i pisarzy. Wiosną 1944 r., po szmalcowniczym donosie, zginęła w Krakowie, prawdopodobnie w obozie w Płaszowie.

Wiersz ukazał się w „Wiadomościach Literackich” nr 28/1939. Tutaj za: Ginczanka, „Wiersze zebrane”, Wyd. UKSW, Pogranicze, Warszawa – Sejny 2014

stwo po przyjeździe ze Lwowa, nałożona jest wyobrażona i utrzymywana we wspomnieniach przesiedlonych – rodziny, znajomych i sąsiadów, bo wszyscy niemal w otoczeniu Adama byli lwowiakami – mapa lwowskich ulic. Tak, aby chodząc po Gliwicach, wyobrażali sobie wciąż, że chodzą po Lwowie. Aż do kumulacji w postaci sąsiada z dołu, który odmawiał wychodzenia na zewnątrz, bo nie zgadzał się z tym, że to, co tam widzi, to nie jest jego ukochany Lwów. Jeśli już pojawiał się na podwórku, aby wyrzucić śmieci, to zawsze w piżamie, w geście odmowy, jakby mówił, że jest tu tylko na moment i nie zamierza na poważnie brać otaczającej go rzeczywistości.

„Jechać do Lwowa” nauczyło mnie czegoś ważnego – pokazywało nierealność i nieuchwytność własnej tęsknoty i pozwalało uwolnić się od przekleństwa pamięci, Lwów umieszczając w perspektywie uniwersalnych idei. „Dlaczego każde miasto musi stać się Jerozolimą, a każdy człowiek Żydem?”. Cytując to, czulem, że moja tęsknota została włączona

na do uniwersalnej wspólnoty nas wszystkich, ludzi każdego czasu i każdej mowy.

Wiersz „Spróbuj opiewać okaleczony świat”, opublikowany na czarnej okładce „New Yorkera” po tragedii 11 września 2001 r. w Nowym Jorku, stał się nagle głosem wielu tysięcy Amerykanów. Adam, jak kiedyś powiedział, napisał go po wycieczce z ojcem na pogranicze Polski z Ukrainą, gdzie po 50 latach od wydarzenia wciąż widzieli ruiny i pokrzywy zarastające ślady zniknięcia ukraińskich wiosek w górach, z których wysiedlono ludność w czasie powojennej akcji „Wisła”.

Wiersz został napisany półtora roku przed zamachami w Nowym Jorku, zanim ktokolwiek mógł pomyśleć o tragedii czekającej Amerykę. Został napisany dlatego, że świat był okaleczony wcześniej, że ludzie ginęli w czasie II wojny światowej, przed nią i po niej, że nadal tam, z ciemnych zarośli patrzą na nas cienie naszych bliskich z Kołomy, Ravensbrück, Srebrenicy. Że wreszcie poezja jest żałobą po każdej śmierci, po każdym zniknięciu, jest świadkiem, powtórzmy, „furii zanikania”; to, że wiersz okazał się nagle boleśnie prawdziwy tym razem dla kogoś innego, gdzie indziej, w innym języku, wynika z jego uniwersalizmu, który wzywa do pamiętania, że mimo wszystko dobro, prawda, miłość i piękno istnieją tuż obok śmierci i póki żyjemy, powinniśmy o tym pamiętać i dziękować za każdą chwilę szczęścia. Warto pisać wiersze, aby świat mógł się odrodzić i trwać.

„Cóż to za spotkanie – jakie rzadkie” – „pacjent znajduje lekarza”, jak pisał w „Traktacie o pustce”. Znów okazało się, że poezja znalazła słowa na to, co dopiero się może stać, że była tam przed nami, była starsza od nas, czekała, zanim się narodziliśmy. I że potrafi połączyć ludzi we wspólnotę współczucia.

Poezja wciąż jest o krok przed nami i chce nam powiedzieć coś, czego na razie jeszcze nie rozumiemy. Tak, jakby chciała odsunąć jeszcze trochę nieuchronnie nadciągający moment, na chwilę zatrzymać czas, jakby była ćwiczeniem transcendencji, wprawką w znikaniu.

„Ten Niemiec na tarasie kawiarni/ trzymał na kolanach niedużą książkę./ Udało mi się zobaczyć jej tytuł:/ Mistyka dla początkujących./ Od razu zrozumiałem, że jaskółki,/ które, przenikliwie gwizdząc,/ patrolowały ulice Montepulciano,/ (...) i witraże w kościołach jak skrzydła motyli/ pomazane pyłkiem kwiatów,/ mały słowik, który ćwiczył recytację/ tuż przy autostradzie,/ i podróże, wszystkie podróże,/ to była tylko mistyka dla początkujących,/ wstępny kurs, prolegomena/ do egzaminu, który odłożony został/ na później” (z „Mistyki dla początkujących”).

4. Świat

Jeśli słowa z jego samotności trafiły do mojej samotności, mieliśmy małą solidarność, połączeni w najmniej widzialnym, a najbardziej obecnym z żywiołów – żywiole powietrza. Wtedy, kiedy odkrywałem jego poezję, w Polsce narastał chór wybrzydzących i Adam stał się pierwszym chłopcem do bicia – im więcej pojawiała się w jego wierszach nazwisk filozofów, malarzy, odwołań do muzyki, nazw zagranicznych miast, tym bardziej stawał się winny, tym częściej padały oskarżenia o to, że gardzi zwykłym człowiekiem, że jest „sytym kocurem”, że szybuje gdzieś ponad prawdziwymi problemami.

Im więcej znajdował czytelników na świecie, tym mniej zadowoleni byli polscy krytycy i młodsze pokolenie poetów. Im bardziej próbował chwalić okaleczony świat, tym bardziej z niego kpiono, piękno-ducha, który rzekomo nie cierpiał. Ba, odnosił sukcesy na Zachodzie, stał się solą w oku zawistnych, uwikłanych w polskie sprawy, polskie pieniądze, polskie hierarchie i polskie pola znoszących się kotterii i grup kolegów.

Mówiono: to poezja dla intelektualistów, dla melomanów, dla koneserów sztuki, dla amerykańskiej, pełnej kompleksów i aspirującej do europejskiej oglady klasy średniej, dla europejskiej zamożnej elity słuchającej na wakacjach w Toskanii kwartetów smyczkowych o zachodzie słońca.

Mówiono: proszę, Zagajewski, zdawałoby się jeden z poetów zaczynających od krytyki socjalistycznej rzeczywistości, zaangażowany w ruch „Solidarności”, twórca cenzurowany, zapowiadający się jako jeden z porte-parole dla prostego człowieka walczącego w roboczym drelichu z niesprawiedliwością społeczną systemu, opozycjonista upominający się o prawa jednostki, nagle uciekł na Zachód i oddaje się estetyzacji rzeczywistości.

Mówili: zmienił się, bo pojechał do Paryża i zaczął chodzić do tych pięknych restauracji, zapo-

mniał o tym, jak to jest być Polakiem. W Polsce takich rzeczy się nie wybaczają, potrzebny jest poeta, który dzieli nasz wspólny los, i nawet, jeśli mówi „Ja”, to i tak ginie na barykadzie pośród innych.

To kolejny z polskich przeklętych problemów: od pisarza wymagało się, aby był z „My”, aby był „My”, bo tylko tak wspólnota jest w stanie oddać mu głos i nadać rangę. Przekleństwo polega na tym, że polskie „My” buduje się zbyt często w opozycji do innego i potrafi być w głębokiej sprzeczności z „My” uniwersalnym.

On sam pięknie o tym pisał w „Solidarności i samotności”, tomie esejów z 1986 r., gdzie próbował znaleźć równowagę pomiędzy dwoma biegunami – wspólnotowej solidarności i samotnego, sceptycznego indywidualizmu, egalitaryzmu i elitaryzmu – pomiędzy którymi poruszało się wahadło jego refleksji. Mówił tam o balansowaniu, o ciągłym przebieganiu drogi pomiędzy „My” a „Ja”, o sztuce utrzymywania dystansu do jednego i drugiego, w momencie gdy dystans jest niemal niemożliwy, ale konieczny. Tak, aby „My” nie pożarło, nie pochłonęło „Ja” i nie odebrało mu prawa do marzeń i do tego, aby móc się pięknie różnić. Ale też tak, aby „Ja” nie straciło kontaktu, nie oderwało się od pola grawitacji „My” i nie poszybowało w zupełną samotność, aby utrzymywała ją siła empatii. Samotność, podobnie jak solidarność, była konieczna do tworzenia. Wiersz znów rósł na sprzecznościach.

„myślałem/ o sztuce malowania i o sztuce życia./ o tylu dniach pustych i zimnych./ o chwilach bezradności./o mojej zimnej wyobraźni./ która jest sercem dzwonu/i żyje tylko w rozkołysaniu./ uderzając o to, co kocha/ i kochając to, co uderza” (z wiersza „Plótno”).

Jak wiadomo, dźwięk dzwonu słyszymy z opóźnieniem. Najpierw serce uderza w płaszcz, a zanim drgania rozejdą się i usta dzwonu oddadzą je powietrzu, a następnie nasze uszy odtworzą dźwięk, mija sekunda. Im większy dzwon, im potężniejsze uderzenie, im potężniejsze drgania, tym opóźnienie jest większe, a dźwięk trwa dłużej. Dźwięk dzwonu, jak każda muzyka, jest czasem płynącym w powietrzu, opóźnieniem, przemijaniem.

Wbrew temu, co mówili krytycy, Adam pozostał zaangażowany. Na międzynarodowej scenie brał udział w dziesiątkach inicjatyw, niezmiennie i cierpliwie tłumaczył polską osobność wszystkim wokół: Niemcom, Hiszpanom i Amerykanom, a także udowadniał, że wszyscy należymy do tej samej duchowej wspólnoty; jest w niej miejsce i dla Bacha, i dla Caravaggia, i dla Kawafisa, i dla Simone Weil, dla Milesa Davisa, dla Anatolija Marczenki i dla Ruth Buczyńskiej.

W Berlinie był członkiem Akademii der Künste, w Paryżu wszedł w skład założycieli „Zeszytów Literackich”, niezwykle ważnego dla zachowania polskiej kultury pisma literackiego, był przyjacielem środowiska paryskiej „Kultury”, był przyjacielem Józefa Czapskiego i tylu innych. Miał uczniów, cierpliwie polecał im polską literaturę, pomagał młodym twórcom z całego świata opublikować gdzieś wiersz, wyjechać na festiwal, spotkać się z uznaniem. O tym, co robił dla krakowskiej kultury po powrocie z emigracji do Krakowa, doskonale wiedzą jego przyjaciele.

Nie mogę wymienić nawet dziesiątej części jego zaangażowania, po prostu dlatego że Adam był wyjątkowo dyskretnym człowiekiem i nigdy nie był gwiazdą, jak niektórzy pisarze otaczający się dworem popleczników, zapatrzonych fanek i młodych poetów, przymilających się krytyków i wydawców.

Kiedy w Polsce w ostatnich latach pojawił się rząd depczący prawa obywatelskie, Adam był jednym z protestujących i komentujących sytuację, także w swoich niezwykłych wierszach. Znów stał się poetą opozycji, znów nienawidziła go władza.

Zastanawiające, jak często w jego poezji pojawia się słowo „my” i jaką wciąż potrafi zbudować wspólnotę z czytelnikiem. Występował w obronie uchodźców i przeciwko szowinizmowi. Nie bał się oskarżeń ani ataków. Na spotkania z nim przychodziły tłumy wielbicieli, na forach internetowych i w kawiarniach zawistnicy syczeli. W ostatnich latach w Polsce tylko on miał wciąż odwagę używać niektórych, wykpiomych już przez akademicką nowomowę słów. Szedł swoją ścieżką i czasem się wydawało, że pozostawał na niej zupełnie sam.

Wtedy, siedząc na ławce na Plantach, nie wiedziałem, że poznamy się, zaprzyjaźnimy i wkrótce stanie się jedną z najważniejszych osób w moim życiu, ani że dziś nie będę potrafił znaleźć słów, żeby o nim napisać, ponieważ najtrudniej pisać o kimś, kto jest po prostu dobry. A teraz, jak sam pisał w wierszu

„Ten dzień”: „jest, wydaje się, w najsilniejszym punkcie swego istnienia, jeszcze rośnie (...) osiągnął pełnię, największą pełnię możliwą, jest tak pełny, tak wielki, wspaniały, że nie mieści się w życiu”. I że po jego śmierci, o której wiadomość dotarła do mnie w małym miasteczku w górach Szwajcarii, przeczytałem w miejscowej gazecie, że umarł „der grosse polnische Dichter” [wielki polski poeta], i dopiero wtedy, jak myślę, wielu zaczęło czuć, jaką postać straciłimy. Dźwięk dzwonu dociera z opóźnieniem, choć niektórych ogłusza.

Pozostało to, co napisał, nad czym pracował i czego nie zdążył już opublikować. Już po śmierci Wydawnictwo a5 postarało się o wydanie zbioru esejów o Józefie Czapskim. Dzięki redakcji Andrzeja Franaszki powstała książka „Najwyższy człowiek świata” ukazująca wzajemną relację Czapskiego i Zagajewskiego, ich wyjątkową przyjaźń.

Następna pośmiertna książka została wydana w czerwcu 2024 r., trzy lata po śmierci autora. „Trzy czwarte” – taki tytuł zdecydowała się nadać po konsultacjach z wydawcami i Mają Zagajewską redaktorka tomu Anna Czabanowska-Wróbel. „Trzy czwarte” to tytuł jednego z ważniejszych wierszy w tomie, a także znak niepełności, niedokończenia pracy.

Publikowanie pośmiertnych książek niedokończonych przez poetę zawsze jest opatrzone wieloma znakami zapytania: nie wiemy, jak on sam ułożyłby wiersze i jak jeszcze pracowałby nad nimi, nie wiemy, czyby ich nie zmieniał, wykreślał i redagował. Nie wiemy, jaki by im nadał układ, nie wiemy, z ilu by zrezygnował i, co najważniejsze, ile mógłby jeszcze dopisać nowych utworów. Nie wiemy też, jaki nadałby tytuł całości.

Wszystkie te wątpliwości anihiluje jednak to, że dzięki publikacji możemy usłyszeć głos poety, możemy czytać jego wiersze. Nie przepadną w archiwach, nie znikną z pola widzenia czytelników. Słyszymy słowa, mimo że nie widać mówiącego.

To echo głosu, który sławił istnienie świata w porywających, epifanijskich hymnach z czasów „Jechać do Lwowa”, wciąż słyszalne w wierszach z pośmiertnego tomu, ale zdzerzone z gorzką świadomością mijania, zachwyt spotyka się z grozą, istnienie jest dlatego porwijąco piękne, że w każdej chwili może być przerwane. Kwitnące i pachnące lipy to narkoza dla przechodniów, pacjentów ogromnej kliniki, jaką jest świat, sanatorium pod klepsydrami, w którym czas płynie dla niektórych inaczej.

Ale wiersze z tomu nie usypiają naszej wrażliwości, działają bez znieczulenia, pozostają zaangażowane w świat, w jego niesprawiedliwość i grozę, przypominają o tym, że często sami jesteśmy sprawcami cierpień naszych bliźnich, cierpien zwierząt i ludzi, a istnienie w świecie oznacza ból i radość w zmiennych proporcjach.

Bezpośrednio i szczerze mówią czytelnikowi: ja i ty, my wszyscy bierzemy udział w tym korowodzie istnienia, w codziennie odbywającej się próbie za-

Mówili: zmienił się, bo pojechał do Paryża i zaczął chodzić do tych pięknych restauracji. Zapomniał o tym, jak to jest być Polakiem. W Polsce takich rzeczy się nie wybaczają

wodzimy i nie jesteśmy bez winy („Wystarczy rozglądać się dokoła: ty, mój drogi czytelniku i ja, autor”; z wiersza „Trzy czwarte”).

„Albo – zupełnie gdzie indziej – ból szczura./ którego oślepiły więźniarki obozu./ żeby jego rozpaczliwe krzyki/ odstraszały inne szczury./ I to się powiodło, nastąpiła cisza/I my wciąż żyjemy w tej ciszy/Coraz głębiej i głębiej” (z wiersza „Cierpienie zwierząt”).

Inny wiersz z tomu „Trzy czwarte” – „Ojciec pisze kartkę do mamy” – przytacza mało znane wydanie z historii rodzinnej Adama Zagajewskiego. W czasie wojny, w lipcu 1944 r., matka poety przebywała na wsi pod Dębicą, gdzie ze Lwowa przewiózł ją z małą starszą siostrą Adama Tadeusz Zagajewski, ojciec poety.

I Lwów, i Dębica były jeszcze pod niemiecką okupacją, choć Dębica jest położona dużo dalej na zachód niż Lwów. Armia Czerwona zbliżała się do Lwowa, w którym miało lada dzień wybuchnąć powstanie – przebywanie wtedy w mieście mogło być niebezpieczne, a podlwowskie wsie były jeszcze gor-

szym schronieniem ze względu na mordy na ludności cywilnej dokonywane przez ukraińskie podziemie. Poddębicka wieś wydawała się dobrym ukryciem w przypadku nadejścia nowej sowieckiej ofensywy.

Ojciec pisał do matki kartki ze Lwowa, gdzie sam pozostał. Nie ma na nich nic specjalnego – ze względu na okupacyjną hitlerowską cenzurę nie mogło być na nich ważnych informacji, ojciec prosi więc, żeby np. smażyła konfitury, bo we Lwowie cukier jest bardzo drogi.

Kiedy ruszyła ofensywa, Sowietci w lipcu 1944 r. zajęli Lwów (z wiadomym skutkiem dla polskiego powstania, które najpierw na parę dni z sukcesem wyzwoliło miasto), a pod koniec sierpnia także, po ciężkich walkach, Armia Czerwona zdobyła Dębicę, gdzie front się zatrzymał, jak wiemy, aż do stycznia 1945 r.

Zrządzeniem przypadku matka i siostra poety znalazły się po sowieckiej stronie frontu, w bardzo niebezpiecznej teraz przyfrontowej lokalizacji. Na szczęście jednak oboje rodzice nie zostali rozdzieleni przez linię frontu i Tadeusz Zagajewski mógł po swą żonę przyjechać i zabrać ją na powrót do Lwowa – jak wiemy na krótko, ale na tyle długo, żeby urodził się tam w ostatnim możliwym momencie – Adam Zagajewski.

Brakowało bardzo niewiele, żeby to się nigdy nie stało. Nie on, nie tam, nie wtedy. Prawdopodobnie właśnie dlatego powstał wiersz. Czytamy w nim: „Wielkie bitwy jeszcze trwają i trwają nikczemne morderstwa”, ale pojawia się „skromna nadzieja o ciemnej barwie konfitur z malin czy moreli”.

Korespondencja prawdopodobnie zaginęła w trakcie ewakuacji, odnalazł ją przypadkiem u antykwariusza dopiero po 2010 r. we Wrocławiu mój przyjaciel i przekazał Adamowi, niekryjącemu zaskoczenia. (Zachowała się ze względu na widoczki lwowskie, które kiedyś były w cenie, lub ze względu na kolekcjonowane niegdyś z zapalem znaczki pocztowe efemerycznego tworu, jakim było okupacyjne niemieckie Generalgouvernement).

Kartka pocztowa, karta wyciągnięta na stół z talii tasowanej i układanej przez los i historię. Dzięki niej możemy czytać wiersze, słyszeć głos nawet po śmierci, wyjątkowy i jedyny. „Głos, który chwali, z nim zgaśnie”, jak pisze Zagajewski w wierszu „Wiedług Marianne Moore”. Dzięki tomowi „Trzy czwarte” wiemy, że głos co prawda na chwilę gaśnie gdzieś w eterze, ale potem z niego powraca jak z wielkiej międzygwiazdnej podróży. Niewykluczone, że z archiwów poety jeszcze go usłyszymy.

Pozostał ze mną na zawsze obrazek z festiwalu literackiego w małej miejscowości wysoko w Alpach (Alto Adige, Südtirol). Kwiecień, w dolinie już ciepło i pachniały kwiaty.

Pojechaliśmy wysoko w góry, najpierw kolejką, a potem wyciągiem krzesełkowym. Okazało się, że tam, kilkaset metrów ponad dolinami, wciąż jest białe. Śnieg padał ogromnymi płatami, jechaliśmy wyciągiem jeden za drugim w odległości kilkunastu metrów od siebie. Żaden z nas nie był przygotowany na taką pogodę, Adam miał na sobie tylko lekki czarny płaszcz.

Widziałem go z przodu, zawieszzonego wiele metrów nad ziemią, przesuwającego się wzdłuż szpale-ru ogromnych świerków, jakby płynął w białym tunelu. Śnieg padał coraz gęstszy, sunęliśmy w pełnej ciszy i cała sceneria wydawała się nierealna.

W pewnym momencie zobaczyłem, że zupełnie spokojnie rozkłada parasol, żeby się nim osłonić. Wydawało się, że jego ciemna sylwetka unosi się w powietrzu za pomocą parasola, postać w czarnym płaszczu kołysała się z wolna przede mną jak szare piórko drozda, odległa o moment opóźnienia, nieuchwytna w spiętym śniegu jak migająca litera na białym ekranie, „która błądzi i znika, i powraca”. ●



FOT. KRZYSZTOF CŹWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Różycki

• ur. w 1970 r., poeta, eseista, tłumacz. Autor m.in. poematu „Dwanaście stacji” (Nagroda Kościelskich) i tomu wierszy „Kolonie” (finał nagrody Nike). Za tom „Ręka pszczelarza” otrzymał Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej za rok 2022.



Zakochany

BOHATER I ZDRAJCA

Przyłożyła mu pistolet do głowy i powiedziała: albo ja, albo kula. – Ty! – odparł z wahaniem i we wrześniu 1920 roku wzięli ślub.

Dorota Ronge-Juszczak

P

Panna młoda była rozwódką, miała 43 lata, pan młody 64 i właśnie pożegnał stan kawalerski. Eugénie Hardon (wołała, by nazywać ją Annie albo Ninie) nie miała na co czekać. Wiedziała, że jej ukochany spotyka się z innymi kobietami, ale dopiero wiadomość, że jedną z nich poprosił o rękę, zmusiła ją do działania. Od siedmiu lat byli kochankami, w czasie wojny organizował jej przyjazdy jak najbliższej frontu, by móc szybko dojechać do hotelu.

Po każdym spotkaniu pisał listy pełne wyznań i tęsknoty. „Moja najdroższa Ninie, bez przerwy i z ogromną czułością o tobie myślę, nawet sobie nie wyobrażasz, jakie dreszcze odczuwam, kiedy jestem w twoich ramionach, uwielbiam twoje ciało, a wspomnienie twych pieszczot przyprawia mnie o drżenie”.

Tylko w 1916 roku – przez dziesięć miesięcy, gdy trwała bitwa pod Verdun, a on, Philippe Pétain, był dowódcą armii – napisał do niej ponad 80 listów.

NINIE

Urodził się w 1856 roku w departamencie Pas-de-Calais, w skromnej rolniczej rodzinie. Wcześniej stracił matkę, a po powtórny ożenku ojca wychowywała go jej rodzina. Dbano o jego wykształcenie: dostał się do Akademii Saint-Cyr, najlepszej uczelni wojskowej we Francji, do której przyjmowano synów z dobrych rodzin. Dla chłopaka z prowincji, bez nazwiska, był to olbrzymi awans w hierarchii społecznej.

▲ Bohater I wojny światowej Philippe Pétain, wówczas jeszcze nie marszałek, lecz generał, dekoruje sztandar pułku, który walczył w Szampanii i nad rzeką Aisne

FOT. LEONARD DE SELVA/BRIDGEMAN
IMAGES/EAST NEWS

Dużo czytał, uczył się języków, interesował się sztuką wojenną. Już wtedy rozumiał, że oficer zawsze musi być blisko swoich żołnierzy, i do końca życia był wierny tej zasadzie.

Ninie znalazł od dawna. Była córką zamożnych przedsiębiorców, którzy nie zgodzili się na jej małżeństwo z Pétainem. Dla panienki z pałacu Courquetaine nie był żadną partią. Ledwo oficer piechoty na żołdzie, bez pieniędzy i dobrego pochodzenia. Mademoiselle Hardon wydano za lekarza. Urodziła syna, po kilku latach małżeństwo się rozpadło.

Z Philippem odnaleźli się ponownie w 1913 roku, zostali kochankami. Od razu chciał się żenić, podejrzewał, że ona ma jeszcze innych kochanków. Rzeczywiście miała i nie spieszyło jej się do ponownego zamążpójścia za pułkownika, który wybił się na emeryturę. Ale wybuchła wojna i niewiele dotąd znaczący pułkownik nagle zrobił błyskawiczną karierę.

BOHATER NARODOWY

W ciągu kilkunastu miesięcy spędzonych na polu bitwy dosłużył się stopnia generała brygady, potem dywizji i w 1916 roku za skuteczną obronę twierdzy Verdun został głównodowodzącym armii francuskiej i bohaterem narodowym; wszak zatrzymał Niemców!

Stał się najbardziej podziwianym i pożądanym mężczyzną we Francji, obiektem adoracji kobiet i mężczyzn. Otrzymywał ponad 200 listów miesięcznie, a w nich poświęcone mu poematy, ody, piosenki i propozycje małżeńskie, z których sobie drwił. Holdy jednak przyjmował i na listy odpisywał.

Choć miał obsesję na punkcie Ninie, przez całą wojnę korespondował z 40 innymi kobietami, a intymna treść listów – „Najdroższy, po twoim wyjeździe rzuciłam się na łóżko i oszalała całowałam miejsce, które twoje piękne ciało jeszcze tak niedawno zajmowało” – dowodzi, że z wieloma również się spotykał. Ninie jeździła do wód i nie ukrywała, że nie marnuje tam czasu, co jego doprowadzało do rozpacz. „Ofiarowałam ci moją miłość, przywiązanie, życie, a ty tym wzgardziłaś” – skarżył się w listach.

Byli jak dwoje na huśtawce. Urządzali sceny zazdrości, wysyłali pożegnalne listy, szantażowali wzajemnie samobójstwem, definitywnie się rozstawali, po czym przeżywali cudowne chwile pojednania.

W międzyczasie on szukał pocieszenia w ramionach sanitariuszek. Trochę mu to utrudniały niekończące się wizyty dziennikarzy, polityków, artystów, pisarzy i koronowanych głów. Wycieczki na front i oglądanie wojny z bliska stało się modne. „Ci Belgowie, Hiszpanie, wszyscy traktują moją kwaterę jak oberżę, wdzierają się, kiedy chcą” – pisał do Eugenii.

Nie znosił tych wymuszanych gości i traktował ich lekceważąco. Kiedy na pole bitwy przybył premier Francji Raymond Poincaré, Pétain poprosił go, aby powiedział do żołnierzy kilka ciepłych słów, dodał im otuchy. Szef rządu, ponury sztywniak, ograniczył się do zdawkowego: „Panowie, dziękuję”. Pétain dopowiedział resztę: „Sam panowie widzicie, premier nie ma wam nic do powiedzenia”.

Był przeciwny decyzji o podpisaniu układu rozejmowego z Niemcami. Jednak marszałek Ferdinand Foch nie chciał już więcej ofiar i 11 listopada 1918 roku w Compiègne podpisano rozejm.

PANI MARSZAŁKOWA

Gdy po wojnie Pétaina mianowano marszałkiem Francji, Ninie zapragnęła zostać panią marszałkową. Tyle że marszałek już nie należał na małżeństwo z wojenną kochanką. Wprawdzie nadal „uwielbiał jej

„Ten starzec kierował się doświadczeniami swej młodości, nie zauważył, że świat się zmienił, on kompletnie nie rozumiał Hitlera”

– PISAŁ O PÉTAINEO HISTORYK ÉRIC ROUSSEL



• **Zdjęcie z młodości Eugénie Hardon, żony Philippa Pétaina. Gdy wychodziła za marszałka, była rozwódką, miała 43 lata, a on 64**

FOT. BRIDGEMAN
IMAGES / FORUM

ciało, pieszczoty i przyjemnie było mieć ją pod ręką”, to jednak teraz ważniejsza była Mella. Czyli hrabina Jacqueline de Castex, młoda wdowa po dowódcy batalionu piechoty. Poznali się tuż po wojnie i oboje stracili dla siebie głowę. Był to tak klasyczny *coup de foudre*, że po kilku spotkaniach poprosił ją o rękę. Ale Jacqueline chwilowo odmówiła, ze względu na pamięć o poległym niedawno mężu.

Ninie nie czekała, aż hrabina skończy żałobę i się namyśli. Wzięła pistolet i złożyła marszałkowi wizytę. Lubila o tym opowiadać.

W środowisku marszałka ślub Pétaina z kobietą rozwiedzioną był skandalem. Rozwódka może być kochanką, ale nigdy żoną generała czy marszałka. Szef sztabu generalnego Ferdinand Foch otwarcie odradzał mu to małżeństwo. Bohater narodo- wy bez ślubu kościelnego? Jak można coś takiego zrobić katolickiemu narodowi? Od marszałka odwróciła się rodzina. Jednak Pétain był przywiązany do Ninie, poza tym dał słowo, a oficer słowa dotrzymuje.

Ożenek nie zmienił jego kawalerskich obyczajów: małżonkowie mieszkali osobno w sąsiadujących ze sobą mieszkaniach, połączonych drzwiami. Czasami jadali razem śniadanie, gawędzili. Ninie nie miała żadnych ambicji politycznych. Na uroczystościach oficjalnych bywała rzadko, choć było ich bez liku, zważywszy na stanowiska pełnione przez Pétaina: wykładowca w szkołach wojskowych, wiceprzewodniczący Rady Wojennej, minister wojny, ambasador Francji w Hiszpanii. Kiedy tam rezydował, jego żona przedstawiała się gościom sama, „gdyż mąż mógłby tego nie zrobić”. Poza tym zaszczycił, przemawiał, wizytował, reprezentował (był m.in. w Polsce na pogrzebie Józefa Piłsudskiego).

Otoczenie Pétaina nie lubiło jego żony, była obiektem kpin i złośliwości. Szydzono z jej obwisłego podbródka czy płaszcz przedwojennego kroju, a nawet tego, jak się poruszała. Ninie, urodzona w 1877 roku, cierpiała na reumatyzm i miała kłopoty z chodzeniem.

ZA TO PAN MARSZAŁEK...

Niemal do ostatnich chwil życia zachował doskonałą formę fizyczną. Trzymał się prosto, wyglądał młodziej, niż wskazywała metryka. Przystojny i wysportowany, stworzony do noszenia munduru, zawsze spokojny i opanowany.

Miał pewność siebie człowieka, który wie, decyduje i jest odpowiedzialny. I dużo uroku – robił wrażenie nie tylko na kobietach. „Jest kochany przez swoich żołnierzy, którzy widzieli, jak ich szef razem z nimi w szybkim tempie pokonał pięć kilometrów niebezpiecznej drogi. Doceniają, że był w stanie to zrobić i że chciał z nimi być” – pisał dyrektor „Timesa”, który w 1916 roku przyleciał specjalnie do Verdun, aby poznać generała.

Dużo podróżował, najczęściej w okolice Rouen, gdzie mieszkała Mella z córkami. Lokalna prasa z dumą donosiła, że „marszałek Pétain wraz z rodziną zjedli wczoraj obiad w restauracji La Poste”. Bywał w zamku hrabiny.

„Myślę ze wzruszeniem o mojej nocnej wizycie w twojej sypialni. Kiedy znowu będę mógł przeżyć tak cudowne chwile?” – pytał w liście. A ona odpowiadała: „Chcę, żebyś wciąż trzymał mnie w ramionach i całował, całował...”. W końcu przyznała: „Im częściej jestem z tobą, tym bardziej żałuję, że powiedziałam »nie«. Ty wyjechałeś, a ja pozostałam jak oszalała”.

I tak przez 25 lat. Dwa domy i dwie kochające kobiety. Plus sekretarki, aktorki, dziennikarki, panny, mężatki...

GŁOWA PAŃSTWA

To przyjemne życie skończyło się, gdy wybuchła wojna. Francja w ciągu sześciu tygodni 1940 roku została pobita przez Niemcy i w rządowych gabinetach gorączkowo myślano, co dalej. Zwrócono się do Pétaina.

„Jak jest katastrofa, to mnie wolają” – skomentował. I dodał: „W czasie, gdy pano-

wie ministrowie się wahają i myślą o swojej reputacji, nasi żołnierze wciąż giną. Drogo płacimy za tyle lat anarchii. Gdzie są teraz ci deputowani, którzy głosowali za rozbrojeniem?”.

Oczekiwano wybitnego dowódcy, który powie, jak pokonać Niemców, tymczasem rządzący usłyszeli, że należy dążyć do zawieszenia broni. Nie wszyscy to akceptowali, ale czas nagił. Marszałek został premierem – przecież ktoś musiał ponieść odpowiedzialność – i to on łamiącym się głosem zakomunikował: „Z ciężkim sercem mówię, że trzeba wstrzymać walki”.

Rodacy przyjęli to z niedowierzaniem, bólem, gniewem, niepokojem, rozpaczą i... nadzieją, że nie będzie więcej rozlewu krwi. Francja podpisała zawieszenie broni na warunkach niemieckich, hańbiące i rujnujące kraj. Znaczna część Francji znalazła się pod okupacją, w pozostałej utworzono tzw. Państwo Francuskie z siedzibą administracyjną w Vichy i Philippem Pétainem na czele. Człowiekiem, którego Francuzi kochali i któremu uwierzyli, że robi to dla dobra narodu. Bo czyż mogli nie ufać jego „dobrym, błękitnym oczom?”.

Był teraz „przywódcą, który uratował naród przed otchłanią”. Setki tysięcy jego portretów wisiały w domach i urzędach, poeci pisali ody. Powstała pieśń, która później stała się nieformalnym hymnem państwa Vichy: „Maréchal, nous voilà!”. (Marszałku, oto jesteśmy!) Oddali mu całą władzę. Nikt nie zauważył, że miał 84 lata?

Ninie została Pierwszą Damą, co całkowicie zaspokajało jej ambicje. Odradził jej przeprowadzkę do Vichy, a gdy przyjeżdżała, zatrzymywała się w hotelu Majestic, podczas gdy on rezydował w Hôtel du Parc. „Widujemy się przy stole” – żartował.

Gdzie widywał się z Mellą, gdy odwiedzała córkę i wnuków? Zięć Melli dostał pracę w rządzie Vichy. Pétain traktował ich jak rodzinę, ale był ostrożny, nie chciał scen zazdrości i awantur. Swemu adiutantowi powtarzał: „Psst... ani słowa pani marszałkowej”.

Ninie po unieważnieniu pierwszego małżeństwa nalegała na ślub kościelny, przed którym on się bronił. Co Mella by na to powiedziała? Chociaż z nią od razu wzięłby ślub kościelny, mimo że przedtem musiałyby się wypowiadać: długo by to trwało. W końcu ustąpił i do kościoła wysłał swego reprezentanta, ale nawet przysięga przed Bogiem nie dała Ninie gwarancji mężowskiej wierności. W hotelu widywano, jak osobistą windą wjeżdżał na górę z młodą kobietą u boku...

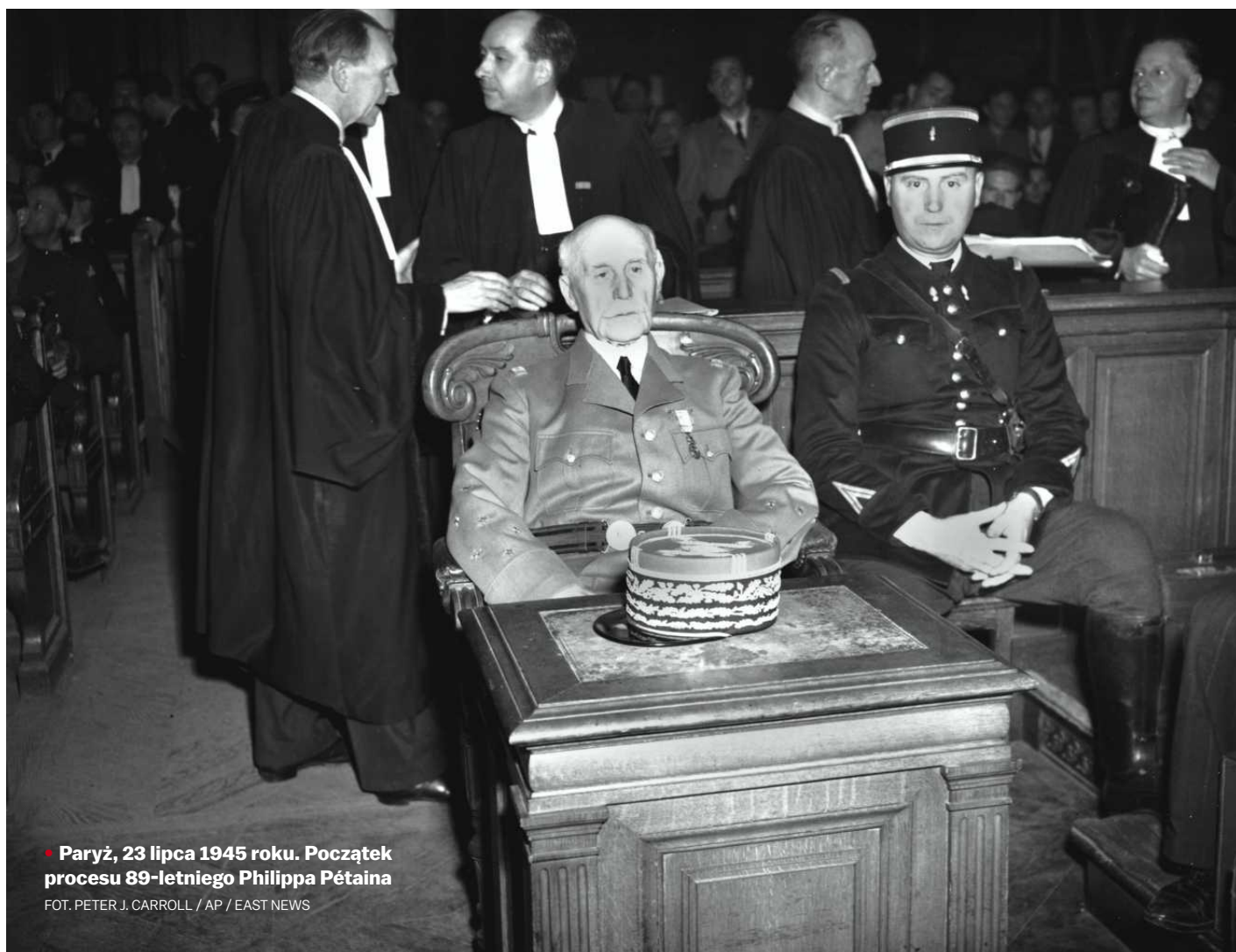
ZDRAJCA I KOLABORANT

Kilka lat upłynęło, nim naród się zorientował, że człowiek, któremu zaufali, kolabował z Niemcami i przed niczym ich nie uchronił. Francja utrzymywała wojska okupacyjne, dwa miliony Francuzów wysłano na przymusowe roboty do Niemiec, 75 tys. Żydów wywieziono do Auschwitz, żandar- mi francuscy byli na usługach okupanta, Niemcy masowo mordowali niewinnych ludzi i rabowali dzieła sztuki, brakowało jedzenia, leków, wszystkiego.

A zbawca narodu był zmęczonym starcem, niezdolnym pełnić swe obowiązki dłużej niż przez dwie godziny dziennie. Zasypiał podczas posiedzeń rządu i nie był w stanie podjąć żadnej decyzji. Służalcze otoczenie wciąż mu schlebiało, więc ulegał złudzeniu, że nadal jest popularny, kochany i niezastąpiony.

„Ten starzec kierował się doświadcze- niami swej młodości, nie zauważył, że świat się zmienił, on kompletnie nie rozumiał Hitlera” – pisał po wojnie francuski historyk Éric Roussel, zaś brytyjski generał Edward Spears, patrząc na tego starca, odczuwał „mieszaninę smutku i litości”.





• Paryż, 23 lipca 1945 roku. Początek procesu 89-letniego Philippa Pétaina
FOT. PETER J. CARROLL / AP / EAST NEWS

Były marszałek został zdegradowany i oskarżony o kolaborację z wrogiem, obalenie republiki, zdradę narodową i dostarczanie siły roboczej dla przemysłu wojennego Niemiec. Podczas procesu nie odpowiadał na żadne pytania



W sierpniu 1944 roku Niemcy świadomi, że to już koniec, ewakuowali rząd Vichy do Niemiec i osadzili w zamku Sigmaringen. Największą niedogodnością dla marszałka było to, że musiał dzielić z żoną apartament i sypialnię. Po roku wymuszonej emigracji wymógł na Niemcach, by pozwolili mu wrócić do kraju, bo tam szykuje się jego proces i chciałby bronić swojego honoru.

Wracał przez Szwajcarię, a na granicy czekał generał Marie Pierre Koenig z uzbrojonymi ludźmi. Nie podjął wyciągniętej na powitanie ręki marszałka, tylko odczytał mu rozkaz o aresztowaniu. Pociąg z Pétainami był po drodze obrzucany kamieniami i petardami, z okrzykami: „Śmierć Pétainowi”.

W lipcu 1945 roku zdegradowany Philippe Pétain został oskarżony o kolaborację z wrogiem, obalenie republiki, zdradę narodową i dostarczanie siły roboczej dla przemysłu wojennego Niemiec. Podczas procesu nie odpowiadał na żadne pytania, wygłosił oświadczenie, że poświęcił się dla ojczyzny i wszystko robił dla dobra Francji, a jego współpraca z Niemcami czyniła znośniejszym życie Francuzów i nikt poza narodem nie ma prawa go sądzić. Skazano

go na karę śmierci, którą zamieniono na dożywocie, oraz konfiskatę majątku.

STARZEC OBCIĄŻONY HISTORIĄ

Osadzono go w forcie Portalet w Pirenejach. Choć wciąż wierzył, że lada dzień odzyska wolność, zażądał szafy, dywanu i mniej brudnego stołu. „Wątpię, aby człowiek w jego wieku mógł przeżyć w takich warunkach” – orzekł miejscowy lekarz.

Pétain źle znosił izolację, popadł w depresję, w listach do żony skarżył się na samotność. Przyjechała po kilku miesiącach, odziana w koronki i obwieszona biżuterią. Nie zyskała sympatii władz więziennych. Wciąż była panią marszałkową, wyniosłą, traktującą personel jak służbę. Domagała się, by ją obsługiwać, sprawdzała czystość.

Personel nie pozostawał dłużny. Aby dojść do twierdzy, ta schorowana, niemłoda kobieta, każdego dnia musiała pokonać długą drogę pod górę. Mijający ją samochodem szef strażników Joseph Simon pozdrawiał ją serdecznie i jechał dalej. Po powrocie do Paryża opowiadała o nieludzkich warunkach, w jakich trzymany jest marszałek.

Przeniesiono go na Île d'Yeu, wyspę w Zatoce Biskajskiej, gdzie klimat jest łagodniejszy, a i warunki w dobrze strzeżonej twierdzy lepsze. Do dyspozycji miał dwie izby i własną toaletę, ale brak elektryczności powodował, że musiał prosić strażników o ciepłą wodę i więcej drewna do pieca.

Coraz dotkliwiej doskwierała mu samotność i monotony tryb życia. Codziennie rano dokładnie, jak w wojsku, ścielił łóżko, trochę czytał, wychodził na dozwolony spacer i pisał listy do Ninie. Lubił wizyty adwokata Jacques'a Isorni, bo przywoził mu wiadomości od Melli. Dopytywał, czy ona uważa go za zdrajcę. Isorni starał się o ulaskawienie, jednak Pétain nie chciał łaski, tylko rewizji procesu, by stała się sprawiedliwą.

Bywał zagubiony, pytał, czy jest jeszcze marszałkiem i czy skazano go za zdradę. Pani Pétain była zmęczona podróżami, oczekiwaniem na statek, brakiem pieniędzy, ale chciała być blisko męża, skłonna nawet zamieszkać razem z nim. Isorni domagał się wypuszczenia go z powodów humanitarno-medycznych. We Francji powstał honorowy komitet na rzecz uwolnienia „starca obciążonego historią”.

Ale jak możemy go uwolnić? – pytały władze w Paryżu. Czy mamy potem da-

rować karę tysiącom ludzi skazanych za kolaborację, zdradę, denuncjacje, gwałty, kradzieże, morderstwa i donosy?

Na wyspę przyjechała parlamentarna komisja, by ocenić sytuację. Pétain był chętny do rozmowy, tyle że nie wiedział, o czym mówi. Zdziwił się, że był szefem rządu, prosił, by mu o tym opowiedzieć. Charles de Gaulle publicznie mówił o dramacie człowieka i narodu: „Starzec zamknięty w forcie; starzec, któremu wszyscy powinniśmy być wdzięczni, ponieważ pod Verdun oddał Francji wielką przysługę. Pozwólmy umrzeć w godnych warunkach człowiekowi, który kiedyś przyniósł chwałę Francji, a potem popełnił straszliwy błąd... dziś jest nieszkodliwym starcem”.

Ninie się zdenerwowała: „Generał de Gaulle zrobiłby lepiej, gdyby milczał. Przecież to on wysłał tam mojego męża, a dzisiaj troszczy się o niego z powodów politycznych”. Już nie pamiętała, że to de Gaulle był inicjatorem wniosku, by karę śmierci dla Pétaina zamienić na dożywocie. Codziennie odwiedzała męża, sprawdzała jego menu, przynosiła witaminy, dużo rozmawiali. „Moja żona mnie wzrusza, nigdy nie myślałem, że jest taka dobra. Sprawilem jej w życiu dużo przykrości” – zwierzał się Pétain adwokatowi.

Ninie zdawała sobie sprawę, że na wszystko było już za późno. Dla niego nie ma znaczenia, gdzie będzie umierał, nawet nie zauważył zmiany miejsca i otoczenia.

Na początku 1951 roku stan fizyczny i psychiczny najstarszego więźnia świata był na tyle zły, że szef twierdzy poprosił władze w Paryżu o zgodę na stały pobyt żony przy umierającym. Choć była trudna do zniesienia, agresywna, z byle powodu robiła awantury. Ale to ona podtrzymywała słabnące morale marszałka, który wyznawał jej swoje uczucia, jak w czasach Verdun: „Nie pragnę niczego poza tym, by być tylko przy tobie, jesteś moją największą miłością...”. Chwilę później jej nie rozpoznawał i skarżył się, że ta brzydka kobieta uważa się za jego żonę.

Isorni przywiózł mu list od Melli. Pétain czytał i nie wiedział, kim jest madame, która tak czule do niego napisała. Ninie miała poważne problemy finansowe i nie była pewna, czy gdyby marszałek nagle odzyskał wolność, miałby z czego żyć, czy będzie mogła mu zapewnić opiekę medyczną, jaką ma w więzieniu.

Simon nie ograniczał jej już wizyt, skupił się teraz na otrzymanych z Paryża instrukcjach dotyczących pogrzebu więźnia. Trumna jest na miejscu. Zmarłego należy ubrać w cywilne ubranie, wdowa może dodać któryś z jego insygniów władzy. Nic więcej. Żadnych odznaczeń. Mszę żałobną przewidziano w więziennej kaplicy, tylko w obecności rodziny i adwokatów, pochówek na miejscowym cmentarzu. Nie ma mowy o wielkiej ceremonii.

W połowie 1951 roku prezydent podjął decyzję, aby chorego przewieźć do szpitala. Tyle że chory nie nadawał się już do transportu. Przeniesiono go do prywatnej willi na wyspie, a opiekę nad nim przejęła wojskowa służba medyczna.

Philippe Pétain zmarł 23 lipca 1951 roku. Miał 95 lat. Ninie dopilnowała, by ubrano go w generalski mundur, kepi, rękawiczki i aby dodano wojskowe ordery.

W 1973 roku grupa wielbicieli marszałka wykradła trumnę z jego ciałem, by przewieźć ją na cmentarz pod Verdun – Pétain zawsze chciał spocząć wśród swoich żołnierzy. Trumnę odnaleziono w garażu na przedmieściach Paryża. Rząd nigdy nie zgodził się na przeniesienie jej pod Verdun.

We Francji do dziś trwają dyskusje o roli Pétaina w historii kraju. Wciąż nie brakuje ludzi, dla których pozostaje bohaterem. Poświęcono mu około trzystu książek i niezliczoną liczbę artykułów prasowych. ●

Bibliografia: Marie-José Chavenon, „Eugénie H. Madame la Maréchale Pétain”; Marc Ferro, „Pétain. Les leçons de l'Histoire”; Bénédicte Vergez-Chaignon, „Pétain”; Hervé Bentégeat, „Et surtout, pas un mot à la Maréchale...”.

Zmora wojny pozycyjnej

STOPA OKOPOWA

• Żołnierz francuski w okopie na froncie zachodnim I wojny światowej suszy nogę, by uniknąć zachorowania na stopę okopową

FOT. HIRARCHIVUM PRESS / ALAMY / BEW

Gdy suche skarpety są cennie jak broń.

Joanna Banaś

N a filmie dokumentalnym z 1944 roku lekarze szczypcami usuwają żołnierzom pocerniałe palce u stóp. Odchodzą łatwo, jakby odrywali głowy krewetkom. Żołnierze z odpadającymi palcami znaleźli się w szpitalach polowych z powodu stopy okopowej – choroby dziesiątkującej oddziały walczące w chłodzie i wilgoci. Do masowej świadomości wiedza o niej dotarła podczas I wojny światowej, ale, choć od dawna wiadomo, jak jej zapobiegać, choroba nadal zbiera żniwo.

BEZ CZUCIA W NOGACH

Właśnie przypada 110. rocznica bitwy nad Marną (5-9 września 1914), która zatrzymała marsz Niemców na Paryż. Ich oddziały przystąpiły do odwrotu, jednak po przejściu ok. 65 km zaczęły się okopywać. Francuzi zrobili to samo. Po zaledwie kilku tygodniach linia umocnień prowadziła od Morza Północnego do granicy szwajcarskiej i liczyła ponad 700 km. Tak zaczęła się najsłynniejsza wojna pozycyjna w dziejach ludzkości – trwała do wiosny 1918 roku

Niemcy mieli w niej przewagę taktyczną. Jako że pierwsi zbudowali swoje okopy na nielicznych wzgórzach płaskiej Flandrii, z podwyższenia lepiej widzieli wrogów. Do tego ich przeciwnicy, którzy kopali w dolinach, napotykali na wodę gruntową przesączającą się do ich okopów. Po ulewnych deszczach, które pierwszej jesieni Wielkiej Wojny nękały żołnierzy zwłaszcza we Flandrii, dno okopów przypominało błotną kałużę, w niektórych miejscach głęboka na metr.

I wtedy żołnierze walczący w okopach masowo zaczęli się skarżyć, że czują w stopach przeraźliwe zimno. Szybko tracili w nich czucie. Początkowo niektórzy próbowali temu przeciwdziałać, poruszając palcami w butach, ale bezskutecznie. Skóra na ich stopach marszczyła się coraz bardziej. Stawała się najpierw trupioblada, płamista, sina, aż wreszcie czerniała. Pojawiał się obrzęk, potem pęcherze.

Uszkodzone tkanki mogłyby się zregenerować, gdyby choć przez kilka dni żołnierz przebywał w suchym i ciepłym otoczeniu. Tylko jak to zrobić, skoro przeciwnik cały czas strzelał, a w okopie stała woda? Więc stopy puchły coraz bardziej, nawet trzykrotnie, a pęcherze pękały. Otwarte rany i wilgoć to przepis na infekcję, choć na tym etapie stopy można było jeszcze wyleczyć. Jednak gdy wkradła się gangrena, żołnierz albo tracił palce u nóg lub całą stopę, albo umierał. Zdarzały się też przypadki samoistnej amputacji, gdy palce same odpadały.

Choroba atakowała gwałtownie – w niektórych przypadkach od pierwszych objawów choroby do operacji ratującej życie mijało zaledwie kilkanaście godzin.

OKOPOWE CIERPIENIA

„Stopy mi marzną. Nie czuję ich. Mam wrażenie, że moja wrażliwość kończy się na kostkach. Od trzech dni i nocy moje stopy rosną w płynnym błocie i nie ma metra kwadratowego suchej ziemi, gdzie mógłbym je wyciągnąć z tej przymusowej kąpieli. Podczas gdy w ciągu dnia nadal mogę poruszać palcami u stóp i machać moimi biednymi, zdrętwiałymi kończynami w błocie, noce są szczególnie bolesne, ponieważ śpię ze stopami w wodzie, a ich całkowity bezruch powoli, ale nieubłaganie je znieczula. – pisał w wojennych wspomnieniach francuski artylerzysta Jean Petit (1886-1918).

Brytyjski podoficer Joseph Price, który na zachodnim froncie walczył w latach 1914-16, w nagraniu dla brytyjskiego Imperial War Museum wspominał: „Twoje stopy rozmię-



kały, pojawiały się odmrożenia. (...) Gdy zdejmowałeś buty, widziałeś swoje stopy pomarszczone jak ręce praczki i zimne, po prostu straszne”.

Francuski piechur Victorin Bès (1895-1961) służył w wojsku pięć lat, od końca 1914 roku Walczył w Lotaryngii, Szampanii, pod Verdun i w Salonikach – wszędzie tam opisywał żołnierską codzienność w swoim czarnym zeszytce (jego dziennik ukazał się drukiem w 2010 roku). Przy dacie 20 kwietnia 1916 roku Bès zanotował: „Mamy zimno i śnieg: kilku ewakuowano z powodu odmrożonych stóp. Widząc ich na tyłach przez ostatnie kilka dni, wyglądających na szczęśliwych pomimo powagi ich dolegliwości, słysząc, jak mówią im: »Szczęściarz z ciebie «, około północy powziąłem postanowienie: jutro odmrozę sobie stopy”.

Zdesperowany żołnierz pisze, że włożył prawą stopę do lodowatej wody. „Ból staje się potworny, moja wola słabnie, cierpię zbyt mocno... Wkładam buty z powrotem. Gówno, gówno i tysiąc razy gówno. Szkoda, zginę od pocisku lub kuli, ale nie mam odwagi odmrozić sobie stopy. Jeśli z patriotycznego punktu widzenia dobrowolne okaleczenie się jest tchórzostwem, to ja będę odtąd twierdził, że potrzeba wielkiej odwagi i silnej woli, by dokonać tego aktu rozpacz”.

„Wszystko jest tu mokre i brudne, dosłownie gnijesz”, w styczniu 1915 roku pisał z frontu zachodniego żołnierz z Heidelbergu Fritz Niebergall i prosił rodziców o przysłanie skarpet. Zginął, zanim je dostał.

ICH STOPA DŁUGO TAM NIE POSTAŁA

Początkowo dowódcy sądzili, że stopy ich żołnierzy są po prostu odmrożone. Trochę trwało, zanim okazało się, że przyczyna musi być inna, bo najwięcej przypadków odnotowano w dodatniej temperaturze (10-12 st. C.), zdarzały się też w środku lata.

Ustalono, że stopa okopowa powstaje wskutek niedokrwienia i infekcji, szybko powodując martwicę i nieodwracalnie uszkadzając nerwy stóp. Wystarczą trzy-cztery doby nieprzerwanego przebywania w chłodzie i wilgoci, na przykład w mokrym okopie. Stopie okopowej sprzyja nie tylko nieprzerwane noszenie ciasnych, przemoczonych butów, ale także bezruch, szczególnie długie przesiadywanie w kucki.

Nie pomagał fakt, że żołnierze w okopach byli niedożywieni (za to często pijani), skrajnie zestresowani, palili jak smoki (dodatkowo zwiężając swoje naczynia krwionośne), a w błocie, w którym stali niekiedy po uda, rozkładały się nie tylko ciała ich poległych kolegów, ale także myszy czy szczurów.

Pojęcie „stopy okopowej” (trench foot) pojawiło się w słowniku oksfordzkim już w 1915 roku Brytyjczycy, którzy prowadzili najdokładniejsze statystyki, w pierwszym półroczu wojny odnotowali w swoich szeregach 20 tys. przypadków choroby. Szacuje się, że do 1918 roku zachorowało na nią 74 tys. żołnierzy.

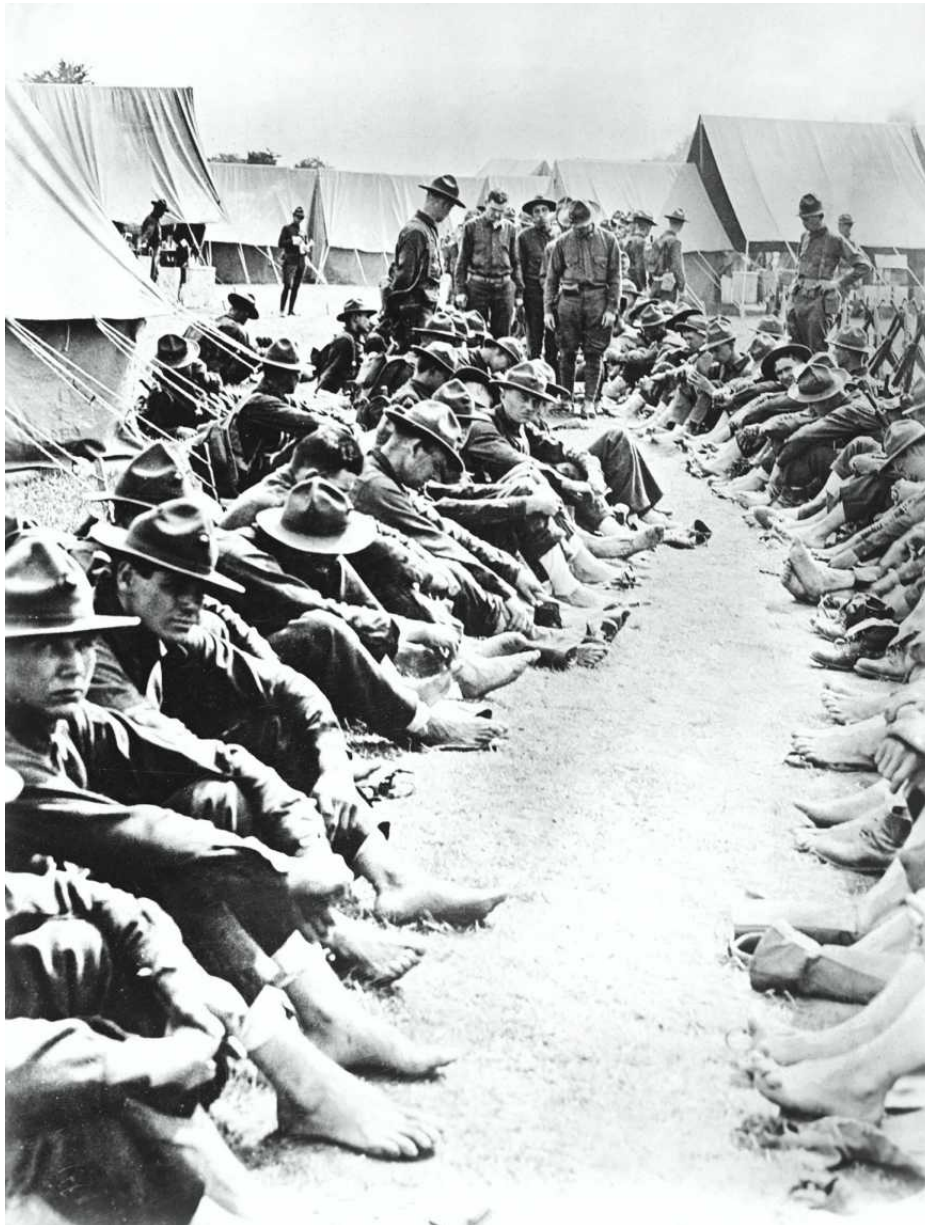
Chorobę żołnierskich stóp narażonych na zimno i wilgoć opisał już sto lat wcześniej naczelny chirurg Wielkiej Armii Napoleona Dominique-Jean Larrey (1766-1842), uczestnik kampanii rosyjskiej w 1812 roku. Jej przypadki odnotowano także podczas wojny krymskiej (1853-56).

NA WOJENNEJ STOPIE ZE STOPĄ

Dowództwa poszczególnych armii na zachodnim froncie I wojny musieli szybko pojąć, że stopa okopowa nie jest fanaberią, ale poważną chorobą wykluczającą żołnierzy z walki. Lekarze wojskowi zimą 1914/15, najgorszą dla żołnierzy w okopach, często



• „Utrzymuj stopy suche i czyste” – takie hasło znalazło się na plakacie propagandowym z czasów II wojny światowej, zachęcającego do dbania o higienę nóg. Poniżej Inspekcja stóp w armii amerykańskiej. Tylko szybkie zdiagnozowanie stopy okopowej pozwalało całkowicie wyleczyć tę chorobę FOT. BEW



FOT. LIBRARY OF CONGRESS/EAST NEWS

musieli „usuwać podudzia” pacjentów z zaawansowanymi objawami choroby.

Dowództwa zaczęły więc wdrażać działania profilaktyczne: budowano kanały odwadniające okopy, także z wykorzystaniem pomp. Na dnie okopów układano drewniane platformy, by nie żołnierze nie stali w wodzie. Przede wszystkim jednak żołnierze mogli suszyć stopy i zmieniać skarpety w suchych, ogrzewanych schronach.

Brytyjskie dowództwo wydało ulotki z instrukcjami dla swoich żołnierzy: cholewki butów mają być poluzowane, sznurowadła należy wiązać lekko, w miarę możliwości nosić dwie pary skarpet, byleby tylko nie uciskały stóp, które można też owijać słomą lub onucami.

Ale te rady dotarły na front zbyt późno, bo dopiero w styczniu 1915 roku, gdy zaczęło się ocieplać.

Zalecano też noszenie ze sobą dodatkowych skarpet pod mundurem – po jednej na jednym ramieniu. Jeśli to okazało się niemożliwe, „odświeżające” działanie miało mieć wywrócenie skarpety na lewą stronę. Każda kompania miała oddelegować jednego żołnierza do frontowej pralni, by dbał o suche skarpety dla towarzyszy broni. Do tego rodziny wojaków słały na front tyle skarpet, że można było wyrzucać je po jednym założeniu.

Brytyjscy oficerowie mieli za zadanie codzienne kontrolowanie stóp swoich podkomendnych. Ponadto zalecano smarowanie stóp olejem z wieloryba – brytyjski batalion miał zużywać na froncie aż dziesięć galonów (czyli 45 litrów) takiego tłuszczu dziennie. To działanie, choć spektakularne, nie miało jednak medycznego sensu – natłuszczona stopa nie mogła oddychać, więc objawy choroby tylko się nasilały. Bardziej skuteczne było impregnowanie tłuszczem butów.

Skuteczniejsze za to były „tupane” apele, podczas których brytyjscy żołnierze na komendę masowali sobie stopy dla poprawy krążenia.

W muzeum bitwy pod Verdun (1916) jednym z eksponatów są wysokie do pól uda, skórzane „buty okopowe” na drewnianych podeszwach, przypominające wodery. Nie były one jednak częścią umundurowania – robili je dla siebie sami żołnierze. Szybko pojawili się także ci, którzy na stopie okopowej chcieli się dorobić – w sprzedaży pojawiły się kremy do stóp, reklamowane jako „silny środek pobudzający skórę, przywracający krążenie w zmarzniętych kończynach, nieocienione w przypadku stóp okopowych”.

Okolo 1916 roku szkocki inżynier i wynalazca, pionier telewizji i wynalazca noktowizora (1926) John Logie Baird zaczął sprzedawać skarpety nasączone boraksem o działaniu antyseptycznym, wysuszającym i ściągającym.

Problemy w okopach mieli także Kanaadyjczycy, którzy w 1914 roku przyjechali na wojnę do Europy w butach, których podeszwy w błotnistych okopach dosłownie się rozpadały. Oficerowie wysłali do dowództwa armii dramatyczne apele o dostawę skarpet, tak by żołnierze mogli mieć co najmniej po trzy pary i zmieniać je dwa razy dziennie. Zanim w 1916 roku Kanaadyjczycy dostali solidniejsze, brytyjskie buty, tysiące ich rodaków dziergały skarpetki dla swoich żołnierzy walczących w Europie. Aż 1,3 mln par skarpet przysłała Australia. Kobiety, które je wydziergały, często dołączały do nich liściki do żołnierzy.

Naczelny chirurg brytyjskiej armii sir Anthony Bowlby (1855-1929) w lutym 1915 roku rozesłał do dowódców liniowych pismo, w którym podkreślił, że straty spowodowane stopą okopową powinny być traktowane równie poważnie, co straty spowodowane ranami, i że należy podjąć wszelkie środki ostrożności, aby ich uniknąć.

Amerykanin dr Dunlap Pearce Penhalow (1880-1960), lekarz Amerykańskiego Czerwonego Krzyża służący w Europie, opisał objawy choroby w 1916 roku w piśmie „Military Surgery”. Stwierdził, że wywołuje

ją nie tyle mróz, ile wilgoć. Zdaniem Penhallowa wcześniej wykrytą stopę okopową można było leczyć za pomocą odpoczynku w (suchym) łóżku, leków przeciwbólowych, kąpieli i nacierania stóp alkoholem oraz specjalnymi balsamami. Stawiał jednak na głównie na profilaktykę: żołnierskie buty powinny być na tyle luźne, by zmieściły się do nich dwie pary często zmienianych skarpet, oraz regularnie impregnowane tłuszczem. Raz na dobę każdy żołnierz powinien zdejmować buty i suszyć stopy. Jeśli nie ma medyków, żołnierze nawzajem powinni oglądać swoje nogi.

Mimo wprowadzenia zasad mających zapobiegać chorobie, podczas mokrego kwietnia 1917 roku we francuskiej jednostce stacjonującej wzdłuż szosy Chemin de Dames zachorował co dziesiąty spośród 2324 żołnierzy.

BELGIJSKI FENOMEN

Co ciekawe, w armii belgijskiej, odnotowano tylko cztery lekkie odmrożenia i jeden przypadek zgorzeli dużego palca u nogi podczas najsurowszej wojennej zimy 1914/15. Jak to możliwe? Odpowiedź okazała się prosta, niestety padła już pod koniec wojny, w 1918 roku, podczas alianckiej konferencji chirurgów wojskowych.

Otóż w armii belgijskiej zakazane były owijacze – paski materiału zawijane wokół łydki od kostki pod kolano, które miały zapobiegać przedostawaniu się brudu i zanieczyszczeń do wnętrza buta. Ich rolę pełniły u Belgów skórzane ochraniacze szerokie na górze, które nie ograniczały krążenia krwi w łydkach. Belgijski chirurg Antoine Depage (1862-1925), szef szpitala polowego w La Panne w zachodniej Flandrii, działającego zaledwie 12 km od linii frontu, tłumaczył podczas owej konferencji, że już z wojen bałkańskich (1912-13) raportował, iż owijacze kurczyły się, schnąc, i ścisnęły łydki, co utrudniało krążenie w stopach i pośrednio prowadziło do gangreny.

Także Włochów na froncie stosunkowo rzadko nękała stopa okopowa – ciasne owijacze zostały w armii włoskiej zastąpione dzianinowymi getrami, o czym chirurgom z innych krajów opowiadał inspektor medyczny włoskiej armii gen. Lorenzo Bonomo.

Jednak mimo prezentacji włoskich i belgijskich doświadczeń w zapobieganiu stopie okopowej, alianccy chirurdzy wojskowi nie zalecili całkowitego zakazu używania owijaczy, a jedynie nadzór nad ich stosowaniem.

KOBIETY, DZIERGAJCIE SKARPETY!

Gazety w całych Niemczech apelowały do kobiet o zaangażowanie w narodowe dzierganie dla żołnierzy na froncie, przede wszystkim długich, ciepłych skarpet. Pożądane były także inne welniane akcesoria: ocieplacze na nadgarstki, rękawiczki, nauszniki, szale i kominiarki. Rekordzistka akcji w Bremie, śpiewaczka w miejscowej operze, oprócz wielu akcesoriów wykonała ponad 50 par skarpet, co odnotowały „Bremmer Nachrichten”.

W styczniu 1915 roku zorganizowano ogólnoniemiecki dzień „Zbiórki wełny w Rzeszy”. „Merziger Zeitung” z dumą donosiła, że zbiórka okazała się „bezprecedensowym sukcesem”, bowiem zebrano duże ilości wełny, używanych ubrań, pościeli, dywanów itp., które po dezynfekcji zostaną wykorzystane do wyrobu akcesoriów dla żołnierzy marznących w okopach.

Jednak im dłużej trwała wojna, tym mniej Niemek dziergało akcesoria dla żołnierzy. Brakowało wełny i materiałów, które można by recyklingować, wojsko wołało zbierać datki w gotówce, by za nią kupować skarpety taniej, hurtowo. Do tego kobiety musiały zastępować w pracy mężczyzn i pracować w szpitalach.



• Francuski żołnierz walczący na froncie zachodnim podczas I wojny światowej chory na stopę okopową

FOT. NATIONAL MUSEUM OF HEALTH AND MEDICINE/EAST NEWS

W czasie I wojny światowej tysiące kobiet odpowiedziało na apel armii i dziergało skarpety dla żołnierzy. Australijki wydziergały aż 1,3 mln par, a rekordzistka Niemiec, śpiewaczka operowa, ponad 50 tys.

STOPY NA KOLEJNEJ WOJNIE

Amerikanin Eugene B. Sledge (1923-2001), późniejszy profesor biologii i wybitny znawca nicieni, w grudniu 1942 roku zaciągnął się do piechoty morskiej. Walczył z Japończykami na Pacyfiku i w Chinach. (Jego autobiografia „Ze starą wiarą na Peleliu i Okinawie” była podstawą serialu „Pacyfik” wyprodukowanego przez HBO, postać Sledge’a grał Joseph Mazzello). Wspominał, że gdy ruszał palcami u nóg, żeby poprawić ukrwienie, miał dziwne uczucie chlupotania błota w butach. Cudem nie wdała się infekcja. Dopiero potem dowiedział się, że to była stopa okopowa. Do końca życia czuł wdzięczność, że może nałożyć na nogi czyste, suche skarpety.

„The Time” ze stycznia 1945 roku raportował, że błoto wszechobecne w Europie w październiku i listopadzie 1944 roku zaskoczyło nieprzygotowaną na nie armię amerykańską. Do 12 grudnia stopa okopowa rozwinęła się aż u 17,5 tys. żołnierzy.

Podczas II wojny amerykańscy żołnierze cierpiący na stopę okopową dostawali w szpitalach polowych alkohol i leki przeciwbólowe, pielęgniarki masowały im stopy, stosowano fizjoterapię i masaże – pokazują to filmy dokumentalne z 1944 roku. Widać na nich także drastyczne metody ratowania życia chorym – szokująco łatwe amputacje palców u nóg i całych stóp.

Liczba przypadków stopy okopowej w amerykańskich szeregach zmniejszyła się o trzy czwarte, dopiero gdy zmuszono żołnierzy do dbania o stopy, nawet podczas bitwy. Nauczyli się suszyć skarpety, choćby

na krzakach lub hełmach. W niektórych rejonach suche skarpety wydawano razem z racjami żywnościowymi. W sierpniu 1944 roku zaczęto produkować dla armii ulepszone buty, wysokie do pół łydki, gumowe ze skórzaną cholewką, zaprojektowane do noszenia z dwiema parami grubych skarpet – większość ich dotarła na front w Europie dopiero w 1945 roku.

„The Time” zauważył, że o ile Niemcy nie uporali się z problemem stopy okopowej (np. w grupie 46 niemieckich żołnierzy wziętych do niewoli aż 14 miało stopę okopową), za to Rosjanie – owszem. Tygodnik relacjonował, że wszyscy sowieccy żołnierze są dobierani w pary i muszą regularnie masować sobie nawzajem stopy, a ten, którego partner zachoruje na stopę okopową, jest karany. Nie wspomniał jednak o tym, że Sowietom zamiast ciasnych skórzanych butów mieli filcowe walonki, a zamiast skarpet – onuce. Kto służył w Peerelu w wojsku, wie, że dobrze zawiązana onuca jest najlepszym przyjacielem żołnierza.

SUCHĄ STOPĄ

Także podczas wojny w Wietnamie więcej amerykańskich żołnierzy wyeliminowała z walki stopa okopowa, nazywana też zgnilizną dżungli, niż pułapki strzeleckie i miny lądowe razem wzięte. Za to żołnierze Wietkongu nosili sandały wykonane ze zużytych opon (ledwie kilka skrzyżowanych pasków), zwane sandałami Ho Chi Minha, i w przeciwieństwie do Amerykanów nie mieli problemów ze stopami podczas długotrwałych

walk w wilgotnym terenie. Podczas brytyjsko-argentyńskiej wojny o Falklandy, która trwała zaledwie trzy miesiące w 1982 roku, przyczyną 14 procent hospitalizacji brytyjskich żołnierzy były właśnie problemy ze stopami zbyt długo narażonymi na wilgoć.

W suchym i gorącym Afganistanie z powodu stopy okopowej cierpieli żołnierze, którzy mocno pocili się podczas wielogodzinnych patroli. Dr Philipp Schachtschneider, dermatolog ze szpitala wojskowego w Hamburgu, relacjonował, że chorzy mieli głównie zaawansowaną grzybicę stóp i zakażenia bakteryjne. Szczególnie często atakowała ich keratoliza dziobata, inaczej rogowiec pobrużdżony – choroba polegająca na tym, że bakterie trawią keratynę, powodując ubytki naskórka.

Problem oczywiście pojawił się także w Ukrainie podczas pełnoskalowej wojny z Rosją, w dużej mierze pozycyjnej.

Poza wojennymi frontami stopa okopowa nęka osoby bezdomne, podróżników pokonujących pieszo długie trasy, ale także uczestników kilkudniowych festiwali muzycznych odbywających się pod gołym niebem, jak brytyjskie Glastonbury, gdzie potrafi solidnie popadać.

W Polsce choroba występuje na granicy z Białorusią. Grupa Granica udzielająca pomocy uchodźcom w 2022 roku pisała na FB: „Las jest wilgotny. Pada deszcz, gryzą komary i meszki. Ubranie wierzchnie jako tako podsycha w ciągu dnia na słońcu. Buty i stopy, zarówno u dorosłych, jak i dzieci, niekoniecznie. Stopy niewyobrażalnie bołą przy czyszczeniu i opatrywaniu. Zdarza się, że dorosły mężczyzna zapłacze”.

POTOMKOWIE LECHISTANU

Ośrodek Studiów Wschodnich, jedną z najważniejszych polskich instytucji analitycznych, stworzyła garstka zapaleńców, fascynatów, po części dziwaków. I może to był klucz do sukcesu?

Andrzej Brzeziecki

N

W pogodny wiosenny dzień 1990 roku Antanas Valionis, młody Litwin studiujący w Polsce, siedział w kawiarni na placu Na Rozdrożu w Warszawie. Nie mógł wtedy wiedzieć, że za kilka lat będzie dyplomata, a nawet szefem MSZ Litwy, wszak ten kraj wówczas wciąż uznawano za część Związku Radzieckiego.

Niedaleko siedzibę miał polski premier, którym od ponad pół roku był Tadeusz Mazowiecki. Valionis kibicował polskim przemianom, ale bardziej interesowały go sprawy Litwy, która trwała w zawieszeniu. Wprawdzie w marcu 1990 roku ogłosiła niepodległość, ale nikt jej nie uznał. Żeby pojechać do Wilna, trzeba było pokazać paszport radzieckim pogranicznikom. A na ulicach miasta stały radzieckie wojska gotowe użyć siły.

W TRAMPKACH U PREMIERA

Valionis czekał na znajomego, który był właśnie u Mazowieckiego, by przekazać korespondencję od litewskich władz. Litwin pełnił rolę nieformalnego kuriera. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Warszawy, listy premierowi nosił ten sam znajomy. I za każdym razem wracał z odpowiedzią, że rząd polski jest po stronie Litwinów, ale nie może sobie pozwolić na konflikt z Kremlenem.

Tym razem jednak wrócił z zaproszeniem do gabinetu premiera. Litwin wpadł w popłoch – sportowe buty i džinsy to nie strój, w jakim składa się wizytę szefowi rządu. Ale chwilę później słuchał, jak Mazowiecki przekazuje mu zaproszenie do Warszawy dla szefowej litewskiego rządu Kazimiery Prunskienė. Do wizyty doszło w czerwcu 1990 roku. Polska wsparła rodzące się państwo i zapewniła, że nie ma terytorialnych pretensji do Litwy.

W styczniu 1991 roku doszło do przesilenia – Michaił Gorbaczow zdecydował się użyć siły, polala się krew, ale ostatecznie Litwa wybiła się na niepodległość.

W tej historii widać, jak formalne mieszało się wówczas z nieformalnym. Chłopak w trampkach odebrał zaproszenie dla

szefowej rządu państwa, którego formalnie nie było, od premiera, który sam niedawno był jedynie opozycyjnym publicystą. A w ich kontaktach pomógł człowiek, który formalnie kierował biblioteką w Akademii Sztuk Pięknych. Był nim Marek Karp, już wówczas także doradca rządu w kwestiach polityki wschodniej. Karp jeździł do Wilna z listami od liderów Solidarności, sugerował, kogo wysłać na placówki. Jego działalność – rozmowy, spotkania, pozyskiwanie przychylności narodów Europy Wschodniej dla siebie i Polski – wprawdzie wymyka się wymiernej ocenie, ale przyniosła wymierne korzyści. Siłą Karpią były urok osobisty i cierpliwość wobec wschodnich rozmówców. W czasach, gdy odradzały się nacjonalizmy, były to atuty. Dowód? Litwini przyznali mu Order Giedymina.

W życiu Karpią i w historii OSW wiele jest zbiegów okoliczności. Zarazem – jeśli im się przyjrzeć – okazały się wynikiem konsekwentnej postawy i fascynacji. Innymi słowy, choć Karp budował Ośrodek na wariackich papierach, to jednak na solidnych fundamentach.

SEMINARIUM U SWIANIEWICZA

Wywodził się z bocznej linii potężnej niegdyś litewskiej rodziny. Karpiowie nie byli magnaterią ani arystokracją, ale majątki mieli spore. Gdy Marek Karp przyszedł na świat w 1952 roku, Karpiowie byli już typową rodziną inteligentką – matka nauczycielka, ojciec specjalista w dziedzinie radiofonii.

Karp fascynował się historią, także rodzinną. Na studiach zaczął od mediewistyki, ale szybko zorientował się, że bardziej fascynuje go świat dawnej Litwy, czasy, gdy żyli w niej razem Polacy, Litwini, Białorusini, Żydzi, Tatarzy, Ormianie, Rosjanie, Niemcy... Ten świat już znikł, ale cóż szkodziło o nim marzyć?

Marzenia te w 1983 roku, podczas zarobkowego pobytu w Wielkiej Brytanii, zaprowadziły Karpią do niewielkiego lokum, w którym ostatnie lata życia spędzał Stanisław Swianiewicz. Ten ekonomista, który jako jedyny zdołał uniknąć śmierci w Katyniu, przed wojną pracował w wileńskim Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej, ważnym – jakbyśmy dziś powiedzieli – thinku-tank II RP. Był placówką, „jakiej nigdzie indziej poza Wilnem nie było”, pisał Miłosz, który wiedział, że pieniądze na nią dawał wywiad.

Karpią, gdy jechał na spotkanie ze Swianiewiczem, interesowali litewscy „krajowcy”: formacja polityczna, która na początku XX w. próbowała, nieskutecznie, odrodzić dawny litewski świat. Londyńskie rozmowy obu panów – seminarium, jak mawiał Karp – nie dotyczyły li tylko przeszłości. Do Polski wrócił z ideą utworzenia podobnej instytucji.

W latach 80. XX wieku intelektualści zaczęli odkrywać w Polsce mniejszości narodowe i wyznaniowe albo szukać śladów



• **Marek Karp oprowadza po Ośrodku Studiów Wschodnich Zbigniewa Brzezińskiego. Na ścianie widoczna słynna mapa, na której Stalin narysował nową granicę sowiecko-niemiecką ustaloną na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow** FOT. ARCHIWUM

OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH

po nich. Zaczęło się od Żydów, potem przyszła kolej na Ukraińców, Litwinów, Białorusinów. Bohdan Skaradziński, publicysta miesięcznika „Więź”, opublikował wtedy w drugim obiegu jako Kazimierz Podlaski książkę o Ukraińcach, Litwinach i Białorusinach. Czytelnicy zrozumieli, że jeśli chcą zgodnie z doktryną Mieroszewskiego i Giedroycia ułożyć sobie relacje z narodami za wschodnią granicą, powinni poznać ich przedstawicieli w Polsce, czyli zrozumieć, okazać empatię i wyprostować zaszłości.

Wśród czytelników Podlaskiego był Karp. Pod koniec lat 80. XX wieku publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym” reportaże o problemach prawosławnych mniejszości w Polsce. A gdy w 1989 roku w „TP” ukazał się jego wywiad z liderem litewskiego Sajudisu Vytautasem Landsbergisem, stał się znany.

WYWIAD? TAK, ALE BIAŁY

Gdy Mazowiecki został premierem i ściągnął na szefa MSW swego przyjaciela z „TP” Krzysztofa Kozłowskiego, Karp poszedł do niego z ideą tworzenia ośrodka analitycznego zajmującego się Wschodem. Polacy doskonale wiedzieli, że to nie jest zwykła zagranica i należy ten region bacznie obserwować. Ludzie z dawnych struktur nie potrafili myśleć nowymi kategoriami albo byli znani swym – do niedawna – radzieckim partnerom. Kozłowski, budując nowoczesne służby, zostawił w wywiadzie tylko tych, którzy zdawali się być profesjonalistami. A kiedy usłyszał o idei Karpią, zapalił się i obiecał wsparcie.

Poznał Karpią z Bartłojem Sienkiewiczem – jednym z nowych ludzi w resorcie, tworzącym pion analityczny. Sienkiewicz, młodszy o dziewięć lat od Karpią, prawnuk autora „Ogniem i mieczem”, nie wzdychał do świata dworów, zajazdów i polowań. Imponował mu krakowski, stańczykowy realizm polityczny. Kazał on obawiać się tego, co na Wschodzie, ale

też świetnie uzupełniał idealizm Karpią. Zaprzyjaźnili się i Sienkiewicz znalazł się wśród twórców OSW.

Tymczasem ledwo weszły w życie najważniejsze reformy, Mazowiecki i Lech Wałęsa pokłócili się i stanęli do walki o fotel prezydenta. Wydawało się, że rozegra się ona między nimi, ale nieoczekiwanie w pierwszej turze Mazowiecki przegrał ze Stanisławem Tymińskim, którego biografia, program i otoczenie były zagadką.

Mazowiecki ogłosił dymisję rządu, ale rzutem na taśmę podpisał dokument fundacyjny OSW. Pośpiech był wskazany, bo nowy rząd, nawet przychylny pomysłowi, potrzebowałby sporo czasu, by nadać bieg sprawom. A sukces Tymińskiego pokazał, że Polska nie może sobie pozwolić na brak informacji.

OSW to dziecko służb specjalnych – ludzi, z którymi Kozłowski tworzył Urząd Ochrony Państwa. Zarazem praca OSW to nie szpiegostwo, od początku miał operować na jawnych i dostępnych źródłach, czyli zajmować się białym wywiadem. Gromadzenie danych, porównywanie ich, daje nie gorsze rezultaty niż praca tajnych agentów.

KREWNI I ZNAJOMI KRÓLIKA

OSW utworzono w strukturach Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, bo Kozłowski i Karp chcieli ukryć związki z wywiadem. Szef MWGZ Marcin Święcicki, którego ojciec pracował przed wojną w Instytucie Europy Wschodniej w Wilnie, od razu się zgodził. Odpowiednią decyzję wydał ostatniego dnia 1990 roku, a 10 dni później mianował Karpią dyrektorem.

Ten miał więc nominację, ale resztę musiał sobie zorganizować sam. Kozłowski, poza pieniędzmi, pomógł jeszcze w zdobyciu kilku pokoi w kamienicy przy ul. Koszykowej 6a. Wcześniej mieścił się tam prasowy koncern PZPR, a jeszcze wcześniej instytucje podległe bezpieczeństwu. Pokoje były puste, zaniedbane, warunki spartańskie, toalety obskurne, ale jak wspominała Magdalena Hen, jedna z analityczek, każdy kiedyś w życiu był na campingu, więc jakoś sobie dawali radę.

Karp zaczął szukać ludzi. Naturalnym kluczem byli intelektualiści, publicyści, akademicy, ludzie niezależni, którzy sprawdzili się przed 1989 rokiem, słowem: krewni



i znajomi królika. Karp ściągał ludzi ze środowisk „Res Publiki”, warszawskiego KIK, redakcji „Więzi”. W pierwszych latach w OSW pracowali m.in. Paweł Śpiewak, Jacek Cichocki, Katarzyna Pelczyńska-Nałęcz, Bogumiła Berdychowska, Agnieszka Magdziak-Miszewska, Stanisław Zapaśnik, Wojciech Zajączkowski.

Atmosfera była luźna: palono papierosy, czasem na stole lądował jakiś trunek. Ale była to jednak praca – nieraz po godzinach, po nocach, w dni wolne.

Wśród analityków OSW nie brakowało ludzi potrafiących widziane przez wszystkich kropki łączyć inaczej, dzięki czemu powstawał inny wzór. Trzeba było ich wiedzę przetwarzać tak, aby była zrozumiała dla rządzących i dla biurokracji.

Nie zawsze to się udawało. Prof. Zapaśnik już w 1998 roku pisał, że „głównym celem kierowanej z Afganistanu działalności terrorystycznej są państwa Zachodu, a przede wszystkim Stany Zjednoczone”. Teza, że z zacofanego, górzystego Afganistanu przeprowadzone zostaną ataki na światowe mocarstwo, wydawała się politykom bajaniem jajogłowych.

INFORMACJE ZA PÓŁ LITRA

Przed erą internetu, gdy telewizja satelitar-na była rarytasem, a agencje prasowe przysyłały depesze na tasiemkach, podstawowa informacja była na wagę złota. Związek Radziecki się rozpadł i do głosu dochodzili nowi ludzie. Dziś to niewyobrażalne, ale wiedza o powierzchni, liczbie ludności,

składach rządów państw powstałych po 1991 roku była znikoma. Także o ich gospodarce.

Jednym z ważniejszych zadań okazało się pozyskiwanie prasy ze Wschodu. Kilkadziesiąt, a potem jeszcze więcej tytułów przyjeżdżało pociągami z Moskwy i innych stolic republik. Paczki nadawali pracownicy polskich placówek dyplomatycznych, przewozili je konduktorzy, a odbierali na dworcu w Warszawie pracownicy Ośrodka – odwiedzając się konduktorom butelkami wódki. Dzięki temu w OSW czytano radziecką prasę niemal na bieżąco.

W 1992 roku Sienkiewicz poprosił analityków o raporty na temat rynku zbożowego – plany upraw, prognozy zbiorów itp. Bogumiła Berdychowskiej, która zajmowała się Ukrainą, temat wydał się mało pociągający, ale gdy siadła do gazet, wiadomości agencyjnych, ujrzała Ukrainę w pigułce. Czytała o zbożach, a widziała szerszy obraz stosunków politycznych w tym kraju i jego relacji międzynarodowych.

Rosja znajdowała się w dramatycznej sytuacji i stabilność kraju zależała od tego, co wyrośnie na polach i uda się zebrać. Obawiano się, że głód wywoła niezadowolenie i kraj zacznie się trząść w posadach, co mogło być groźne dla Polski.

Wojciech Zajączkowski, zajmujący się Rosją, wziął depesze agencji TASS i gazety, ale też ostatnie radzieckie roczniki statystyczne. Odtworzył obraz sektora zbożowego Rosji, a potem naniósł nań dane z prasy, która informowała, ile i w jakim obwodzie obsiano pól i jakie są prognozy zbiorów. Systematycznie nanosząc dane, uzyskał obraz nie gorszy zapewne niż ten, jaki otrzymywał rosyjski minister rolnictwa.

Analitycy OSW musieli wypracować kontakty na Wschodzie, dlatego jeździli do krajów, którymi się zajmowali. Nie mieszkali tam w hotelach i nie jadali w restauracjach, tylko żyli jak zwykli mieszkańcy. Rozmawiali z nimi, nasiłkali ich mentalnością – po to, by lepiej ją zrozumieć.

Katarzyna Pelczyńska-Nałęcz na początku lat 90. XX w. pojechała do Jakucji, gdzie mieszkała u kobiety, której mąż polował na renifery. Mięso zakopywano w zmarzlinie, a potem jedzono cały czas. Warzywa w Jakucku były na wagę złota. Renifery musiały wystarczyć. Przyszłej ministrze pomidory śniły się po nocach.

ZANIM PRZYBĘDĄ JEŹDźCY

Dzięki tym wyjazdom i pisemnym analizom rok po roku „Okręt Koszykowa” zdobywał renomę. To między innymi raporty Berdychowskiej przyczyniły się do uznania przez Polskę Ukrainy. To materiały wysyłane do Waszyngtonu do Jana Nowaka Jeziorańskiego pomagały przekonać amerykańskie elity o potrzebie rozszerzenia NATO. Gdy w 1998 w Rosji wybuchł kryzys, w Polsce tylko OSW potrafił wyjaśnić, co się tam dzieje. Podobnie było, gdy zatonał „Kursk”. OSW szkolili także żołnierzy na misje w Afganistanie i Iraku.

Już od połowy lat 90. XX w. analitycy Karpia zwracali uwagę, że w Rosji „siłowi-ki” przejmują władzę. Zajmująca się służbami Jolanta Darczewska opisywała, jak

dawne KGB opanowuje instytucje władzy i gospodarki.

Gdy wiosną 1998 roku Władimir Putin został zastępcą szefa administracji prezydenta Rosji, Darczewska pisała, że to generałowie z Łubianki wzmacniają Kreml. A gdy kilka miesięcy później Putin został szefem FSB, opisywała jego pierwsze decyzje jako chęć wzmocnienia samej Łubianki. Kierunek zmian kadrowych dla Darczewskiej był jasny: chodziło o podporządkowanie sobie państwa.

Oceniała, że kryzys 1998 roku stworzył Putinowi historyczną szansę. Na początku następnego roku była już pewna, że „reprezentowane przez pokolenie KGB lobby siłowe, po sierpniowej zapaści finansowej i paraliżu władzy prezydenckiej, okrzepło. Kryzys sprawił, że zajęło miejsce zbankrutowanych i skompromitowanych oligarchów – przejęło ich polityczną funkcję »kreatorów ludzi władzy«”. Do tego docho-dził mariaż z nacjonalistami pokroju Aleksandra Dugina, na którego OSW zwracał uwagę w latach 90. XX wieku. Należało się spodziewać wzrostu roli aparatu przymusu oraz kontroli nad społeczeństwem, a może też międzynarodowej agresji. Następne lata potwierdziły te prognozy, choć wtedy były wyśmiewane przez zachodnich partnerów OSW, którzy uważali, że z Putinem można robić interesy.

Według Karpia OSW powinno być strażnicą patrzącą na Wschód, czy za horyzontem stepu nie widać kłębow pyłu wzbijanych przez końskie kopyta. Eksperci Ośrodka mają dostrzec pierwszy sygnał nadciągającej konnicy i ostrzec decydentów, bo jak już zobaczą jeźdźców, będzie za późno.

Być może tę metaforę Karp wziął z opowiadania jednego ze swych ulubionych autorów Ksawerego Pruszyńskiego. W „Trębaczu z Samarkandy” mowa jest o legendzie z czasów najazdu Tatarów na Lechistan i walce o Kraków. Czytamy w nim, że „zaalarmowane miasto się obro-niło. Tatarzy ponieśli klęskę”.

W Samarkandzie do dziś, pisał w połowie XX w. Pruszyński, Polacy są „synami Lechistanu. Nie ma dla nich żadnej Łotwy, żadnej Czechosłowacji. Nie słyszeli o Holandii, Szwajcarii czy Hiszpanii. Ale o Lechistanie słyszeli”.

Do pracy analityków motywuje słynna mapa wisząca na ścianie w OSW, na której widać podział II RP między III Rzeszę i ZSRR. Nie jest do końca jasne, czy kupił ją w którymś z antykwariatów w Moskwie albo w Kijowie sam Karp, czy zrobił to ambasador Jerzy Bahr i podarował OSW. To sztabowa mapa sowiecka wydana w końcu lat 30., na której odręcznie narysowano linię paktu Ribbentrop-Mołotow. W OSW mapa traktowana jest niczym klejnot. W zamyśle Karpia zawisła dla przestrogi – trzeba dokładać starań, by nigdy obca ręka nie kreśliła po terytorium Polski.

TRAGICZNY WYPADEK

Karp lubił jeździć na Wschód. Zaczynał od Litwy i Białorusi, a potem były kraje Kaukazu i Azji Centralnej. Gdy dzięki Zajączkowskiemu nauczył się kupować dywany, nie mógł się oprzeć, by z wypraw

nie przywieźć choćby jednej tkaniny. Kupował też ikony, samowary i mapy. Wojciech Górecki, analityk OSW i autor reporterskich książek, zapamiętał, jak w Gruzji delegacja OSW przymierzała zbroję Chewsurów. Średniowieczna kolczuga tylko na Karpiu dobrze wyglądała.

Przywiezionymi skarbami ozdabiał dwór w Ludwinowie, który kupił, jako ruinę, pod koniec lat 80. XX wieku. Odbudował go pieczołowicie, zyskując uznanie historyków sztuki. Kosztowało to krocie. By utrzymać dwór, Karp wdał się w interesy, których prowadzić nie umiał. Hodował krowy i sprzedawał mleko. Po kilku latach miał same długie. Szukał zarobku poza OSW, lub wykorzystując OSW, choćby w biznesie nawozowym, co urzędnikowi państwowemu nie przystawało. Ściągnęło to na niego kłopoty – oskarżono go o łapówkarstwo. Zdaniem prawników, mógł się wybronić, bo sprawa była naciągana, ale musiał ustąpić z funkcji szefa OSW – w 2003 r. przekazał pałeczkę Jackowi Cichockiemu.

Podejrzenie o nieuczciwość zżerało go, był w ciągłym stresie, nie spał.

W sierpniu 2004 roku jechał do izby celnej w Białej Podlaskiej w sprawie prowadzanych przez siebie krów. Szosa była w remoncie, jechał objazdem i nie był pewien drogi. Gdy znalazł skręt w lewo, przystanął, by przepuścić jadącą z naprzeciwka ciężarówkę Scanię. W tym momencie od tyłu uderzył go tir i pchnął na drugi pas, prosto pod koła scanii. Karp nie miał zapiętych pasów, wypadł z auta. Przeżył, ale jego stan był krytyczny. Gdy już wydawało się, że wszystko zmierza ku dobremu, Karp zmarł 12 września wskutek zatoru.

ŚMIERĆ NA POGRANICZU

Gdy okazało się, że kierowca tira, Białorusin, nie pojawia się na procesie, zrodziły się podejrzenia, iż Karp padł ofiarą zamachu. Dziennikarskie i prokuratorskie śledztwa tego nie potwierdziły, tak jak i teorii, że został „dobity” w szpitalu. Nie brak jednak ludzi przekonanych, że było to zabójstwo.

Zdaniem Cichockiego Karpia zniszczyło to, co kochał najbardziej – czyli „pogranicze”. Twórca OSW mawiał, powołując się na Sergiusza Piaseckiego, że między Siedlcami a Mińskiem rozciąga się obszar przejściowy między Zachodem i Wschodem. Przemycia się tamtędy: broń, pieniądze, narkotyki, kobiety, panują tu wielopoziomowe układy, a sprawy załatwia się łapówkami.

Wielkością Karpia było to, że w obliczu oskarżeń, choć przekonany o niewinności, usunął się w cień i pozwolił OSW funkcjonować dalej. Zadbął też o to, by stery w ośrodku przejął jego wychowanek.

Zarazem stworzył instytucję, która po 2004 roku okazała się gotowa na nadejście czasów, w których umiejętność obsługi arkuszy kalkulacyjnych jest równie ważna jak znajomość rosyjskiej duszy. OSW zmienił się i profesjonalizował, odpowiadał na nowe wyzwania, aby dostarczać możliwie najlepszych analiz polskim rządowi w burzliwych czasach.

Kilka tygodni po śmierci Marka Karpia w Ukrainie wybuchła pomarańczowa rewolucja, która była pierwszym krokiem do pełnej suwerenności tego kraju. Karp nie doczekał widoku polskich i europejskich flag na kijowskim Majdanie.

Z pewnością jednak miał udział w tym, że flagi te w ogóle się tam pojawiły. ●



12 września ukaże się książka Andrzeja Brzezieckiego „Zmierzyć arszynem. Marek Karp i Ośrodek Studiów Wschodnich” opublikowana nakładem wydawnictwa Znak Horyzont we współpracy z OSW. Tekst nie jest fragmentem książki.



Był ranek, 13 września 1971 roku. Z lotniska w Bielsku-Białej wystartował niewielki samolot amatorskiej konstrukcji nazwany „Kukulka”. Za sterami siedział Eugeniusz Pieniążek, licencjonowany pilot, swego czasu oblatywacz w bielskim Szybowcowym Zakładzie Doświadczalnym. Celem było Krosno. Pieniążek dotarł na miejsce, a po południu planował lot powrotny. Jednak zamiast lecieć tą samą trasą, skrzył na południe, ku Czechosłowacji.

Leciał nisko, tuż nad wierzchołkami drzew. Posługując się mapą samochodową, lecąc wzdłuż rzek oraz orientując się w położeniu przez odczytywanie nazw stacji kolejowych, które mijał, dotarł po 4 godzinach do Jugosławii. Wylądował w Suboticy, w serbskiej Wojwodinie. Jugosłowianie przetrzymywali go przez 7 miesięcy w areszcie, następnie wystawili jednodniową przepustkę i pozwolili wyjechać do Austrii. Stamtąd Pieniążek przedostał się do Szwecji, która od początku była jego miejscem docelowym. Od Szwecji bowiem wszystko się zaczęło.

Pieniążek, podczas pracy w bielskim PZL SZD, często wyjeżdżał za granicę, gdzie brał udział w pokazach szybowcowych. Zaprzyjaźnił się z pilotami z innych krajów, którzy, podczas pobytu w Polsce, często zatrzymywali się w domu pana Eugeniusza w Lesznie.

Te zachodnie kontakty zwróciły uwagę Służby Bezpieczeństwa, a kiedy Pieniążek odmówił pomocy do współpracy, esbecy zakazali mu wyjazdów, zablokowali paszport, wreszcie doprowadzili do zwolnienia z pracy. Wtedy Pieniążek umyślił ucieczkę na Zachód.

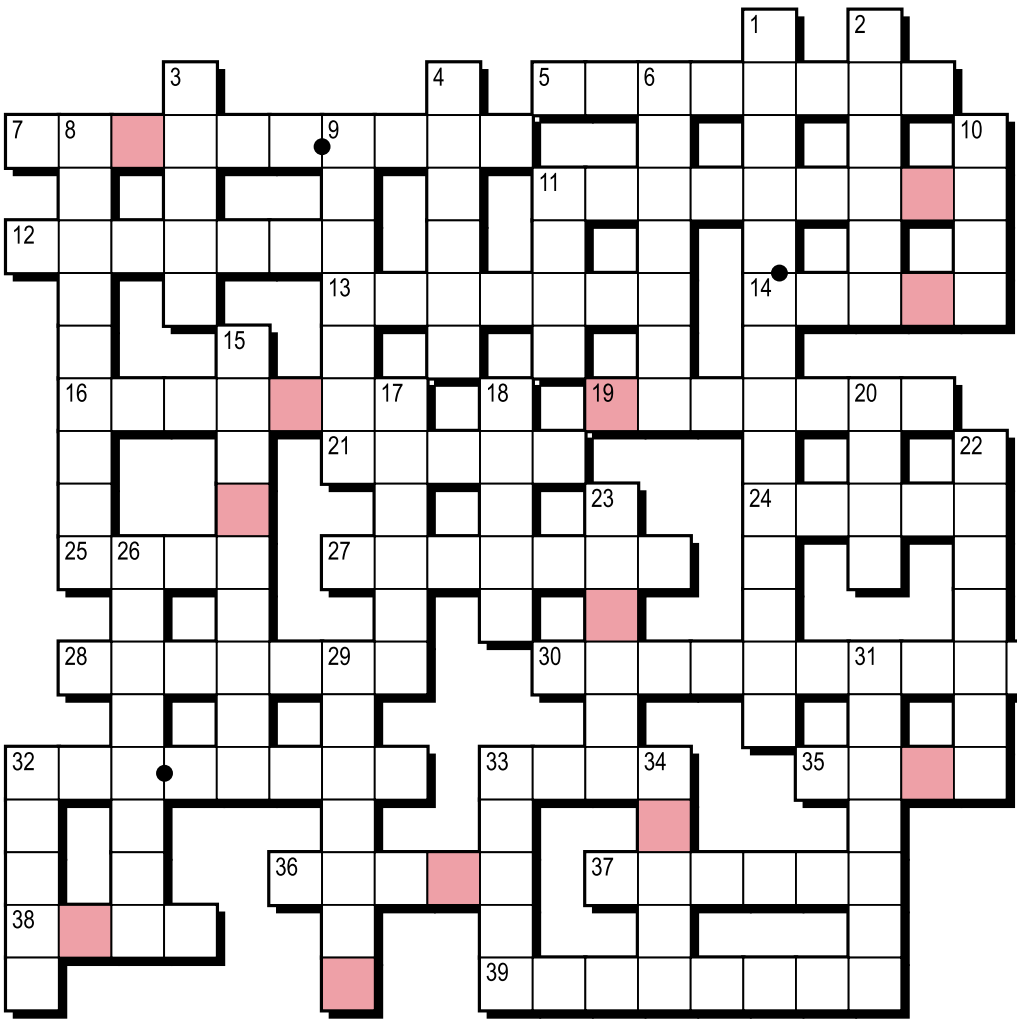
Rozpoczął budowę amatorskiej maszyny – wykorzystał dostarczone przez przyjaciół plany brytyjskiego samolotu Turbulent oraz części z szybowców Jaskółka i Foka 4. Drewniany samolot montował najpierw w mieszkaniu, potem w hangarze miejscowego aeroklubu. Po ok. dwóch latach maszyna była gotowa, córka Pieniążka ochrzciła go nazwą „Kukulka”, a pan Eugeniusz zarejestrował ją jako pierwszy w PRL amatorski samolot.

Pieniążek uciekać bezpośrednio do Szwecji nie mógł – przestrzeń nad Bałtykiem była ściśle kontrolowana przez radzieckie samoloty, odpadał też kierunek najbardziej oczywisty – Austria. Pas przy granicy austriacko-czechosłowackiej był strefą zamkniętą dla lotów. Pozostawała Jugosławia.

Już w Szwecji Pieniążek ściągnął tam najpierw rodzinę (wcześniej rozwiódł się z żoną, by ta mogła następnie zawrzeć fikcyjne małżeństwo z jego szwedzkim przyjacielem – pilotem), potem trafiła tam „Kukulka”.

Pieniążek po upadku komuny wrócił do Polski, podobnie jak „Kukulka”, którą przekazano do Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. Więcej o brawurowym locie Eugeniusza Pieniążka przeczytać można w serwisach samolotypolskie.pl i dlapi-lota.pl, a my dziś, z okazji rocznicy kukulczego lotu, zapraszamy do krzyżówki o ucieczkach i uciekinierach. W drogę!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 119 z 7.09:

Poziomo: 1) szczypta 8) Fellini 9) światełko 12) dobre strony 13) Kowalska 14) biadanie 15) nadzieje 16) Jesienin 18) Osiecka 22) Pollyanna 23) wskaźnik 24) Brylska 26) okulary 28) energia 29) motyle 31) Smutno 32) hasło 33) iza 34) Adam Asnyk

Pionowo: 1) Szekspir 2) zło 3) Pogoda ducha 4) afirmacja 5) blaski 6) endorfiny 7) Kasandra 10) wiosna 11) myślenie 14) Benigni 17) szklanka 18) obywatel 19) optymistka 20) plusy 21) Pangloss 23) warianty 24) Bogumił 25) Strauss 27) radość 30) end

HASŁO:
ŚWIETNE PROGNOZY

UCIECZKI

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

5) w lutym 1815 r. uciekł z Elby
7) pomieszczenie, z którego gracze muszą się wydostać w określonym czasie, rozwiązując zagadki
11) nazwisko wykonawcy piosenki „Uciekaj, moje serce”
12) Telly, zagrał w filmie „Ucieczka na Atenę”, serialu „Kojak”
13) czmychnięcie, danie dyla
14) Adrien, amerykański aktor („Uciek przed śmiercią”)
16) Zbigniew, jego poemat analizował Stanisław Barańczak w książce „Uciekinier z Utopii”
19) Janusz, reżyser filmu „Uciec jak najbliżej”
21) Franek, pierwsza część jego filmowych przygód nosi tytuł „Ucieczka”

24) ... McQueen, wystąpił w filmach „Ucieczka gangstera”, „Wielka ucieczka”
25) Stephen, autor powieści „Uciekinier”, w której ekranizacji zagrał Arnold Schwarzenegger
27) prorok, który uciekł z Mekki do Medyny
28) potocznie: strażnik w więzieniu
30) Adam, autor ballady „Ucieczka”
32) serial kojarzony z piosenką z określenia 11 poziomo
33) „Uciekający pociąg”, „Ucieczka z Los Angeles” lub „Ścigany”
35) ucieczka chce do niej dotrzeć szybciej niż peleton
36) Alice, kanadyjska pisarka, noblistka („Uciekinierka”)
37) ubiegać się o ... uchodźcy
38) nieubłagalnie ucieka
39) Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca ..., śpiewa m.in. „Uciekła mi przepióreczka”

Pionowo:

1) skomponował muzykę do filmu „Wielka ucieczka”
2) może zastosować taktyczny odwrót z pola bitwy (chodu!)
3) miasto w woj. lubuskim, miejsce wydarzeń stanowiących kanwę filmu „Wielka ucieczka”
4) ruszył za zbiegiem
6) „Ucieczka z ... Małp”, film science fiction (wpisujemy w mianownik)
8) więzienie, z którego uciekł Andy Dufresne
9) ... Kukliński, uciekał z Polski w listopadzie 1981 r.
10) ... greckie, np. o ucieczce Dedala i Ikara z Krety
11) „Wolność” w tytule filmu Wojciecha Marczewskiego
15) uciekinierzy
17) ... Szmydt, był sędzią, w maju 2024 r. uciekł na Białoruś
18) Janusz, zagrał cenzora w filmie z określenia 11 pionowo

20) bywa, że komuś ucieka z twarzy (czyli że ktoś błędnie)
22) ... „walka lub ucieczka”, pojęcie psychologiczne (działanie organizmu pod wpływem zagrożenia)
23) np. „W pogoni za miłością” (4 sezony)
26) ... Północna, kraj, w którym miała miejsce ucieczka 38 osób z więzienia Maze (1983 r.)
29) podobno pierwsze uciekają z okrętu, który ma zatonać
31) zawarte w zbiorze Urszuli Koziół „Ucieczki”
32) ... wojenni, kopią podkop w komedii „Jak rozpętałem II wojnę światową”
33) Erich, niemiecki filozof i psycholog, autor książki „Ucieczka od wolności”
34) musical z piosenką „Uciekali”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Kraj/34310976

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację